

Autor bestsellerów  
*Malowany człowiek*  
i *Pustynna Włócznia*

PETER D.  
BRETT

WIELKI BAZAR  
ZŁOTO BRAYANA

WOJOWNIK NIE UMIERA ZE STAROŚCI



fabryka słów  
WWW.FABRYKA.PL

ym

·  
C1]  
· · v>r:  
- y^; yV^mVr^

Ai.tor najbarziej błyskotliwego fantastycznego deb jtu jostatnich lat. Jego 'Malowany człowiek' w błyskawicznym tempie podbił niemal cały świat. Książkę kupiły m.in kraje -/Ameryk Pomocnej, Wielka Brytania, Niemcy, Parc?., Grecja, Iaponia. Rosja. Polska, Czechny. Hiszpana, Poitugalia.-Cliny, · Węyyi, Seibid, Włolij i Tutia. Pienista koenej odsłony cyklu, czyli „Pustynnej Włóczni”, była prawdz wym świętem ludzi rozkochanych w powieściach fantasy, a wksci c planowanej wysokobudze:owej ekranizacji hollywoodzkiej wciąż pedsycają tę trwającą jii ki ka lat ęo ązzkę. Brettomaria jest o'ic]zlnie istnie ąc/m zjawiskiem.

Za pierwsza zrazzącą lektjrę - oozaszkolną i bez o:- rzców - Peter V. Brett uważa „Hobbita”. Po starszym bracie odziedziczył te; komiksy „X-Men”. le 7 pozoru mało znaczące fakty ukształtowały jego :o'osłe życie. Na uniweisvtecie w Buffalc zdobył licencjat z języ ka ancielsk eco. Zgłębiał historię sztuki Prowadził sklep z komiksami. W bijrowym boks e wydawnic- twa medycznego roztrwonil 10 lat. Pisał książki, z których rie miaFnadziei żyć. Ja< się o<cza'o. do czasu.

Oficjalna s.ioia autora: [www.jeleivjrfclt.ojm](http://www.jeleivjrfclt.ojm)

WIELKI BAZAR  
ZŁOTO BRAYANA

%  
fabryka słów



fe^eF, U  
BRETT

WIELKI BAZAR ZŁOTO  
BRAYANA

PRZEŁOŻYŁ  
MARCIN MORTKA

fabryka słów

LUBLIN 2011

WIELKI BAZAR  
I INNE HISTORIE

## Wprowadzenie

Każda powieść to wielka lekcja dla pisarza i „Mały człowiek” potwierdził tę zasadę. Opowiedzenie tej historii tak, by czytelnika nie opuszczało napięcie i by każdej przewróconej stronie towarzyszyło pytanie: „Co się zaraz wydarzy?” okazało się prawdziwym wyzwaniem, zwłaszcza że książka liczy sobie prawie osiemset dwadzieścia stron i opisuje czternaście lat z życia trojga różnych bohaterów. Ważnym elementem owej lekcji było uczenie się, kiedy dla dobra powieści należy usunąć napisane już sceny (nawet jeśli mi się bardzo podobały). O wiele ważniejszym zadaniem było jednak coś innego - jak przewidzieć rozwój fabuły i ukształtować ją tak, by takie sceny nigdy nie powstały.

„Wielki Bazar” powstał niejako na skutek takich właśnie przemyśleń. Jest to tak naprawdę rozdział szesnasty i pół „Malowanego człowieka”, który opisuje wydarzenia mające miejsce w trzyletniej

przerwie między rozdziałami szesnastym i siedemnastym, kiedy Arlen podróżował między Wolnymi Miastami jako Posłaniec.

Był to bardzo ekscytujący, wypełniony przygodami okres w jego życiu, a dla pisarza fantastyczny materiał na serię opowiadań o podróżach bohatera między miastami i kontaktach z różnymi ludami, żyjącymi za własnymi barierami runicznymi.

Zupełnie jak Caine w „Kung Fu”.

Mam mnóstwo pomysłów na historie, które mogły mieć miejsce w owym okresie, ale w „Malowanym człowieku” nie było na nie miejsca. Zresztą, nawet gdyby miejsce się znalazło, taka ilość dodatkowego materiału źle wpłynęłaby na narrację - rozwój Arlena utraciłby dynamikę. Postanowiłem więc zachować epizody na inną okazję, a rozdział siedemnasty pod tytułem „Ruiny” rozpocząłem od pokazania Arlena jako człowieka po przejściach i przygodach. Przebieg jego dotychczasowych doświadczeń naszkicowałem pobieżnie i skupiłem się na ostatnim - odnalezieniu zaginionego miasta Słońce Anocha, wydarzeniu, które stanowiło kolejny ważny punkt zwrotny w życiu mojego bohatera.

Niektóre z jego przygód zostaną przedstawione w kolejnych powieściach, ale historia o odnalezieniu zaginionego miasta była zbyt rozległa oraz zbyt zamknięta, by przedstawić ją w tym formacie, więc z prawdziwą przyjemnością czynię to tu i teraz.

W „Wielkim Bazarze” zawarłem wszystko to, co kocham w Arlenie, a do tego pokazałem jednego z moich ulubionych bohaterów drugiego planu,



*khaffit* Abbana, który po raz pierwszy przedstawia własny punkt widzenia. Bez względu na to, czy jesteś nowym czytelnikiem, chcącym poznać świat Arlena, czy też fanem serii, pragnącym choć na chwilę zaspokoić ciekawość przed lub po przeczytaniu „Pustynnej Włóczni”, sądzę, że „Wielki Bazar” przypadnie ci do gustu.

Peter V. Brett czerwiec

2009

[www.petervbrett.com](http://www.petervbrett.com)

有

## Wielki Bazar

328 ROK PLAGI

Zar słońca na pustyni był trudny do zniesienia. Wydawał się ciężki, przytłaczający, o wiele bardziej dokuczliwy niż upał czy ostre, jaskrawe promienie i Arlen co rusz łapał się na tym, że garbi się, jak gdyby musiał go dźwigać na własnych barkach.

Jechał skrajem pustyni krasjańskiej, gdzie jak okiem sięgnąć ciągnęły się pustkowia spękanej, suchej gliny. Nie widział żadnego schronienia przed gorącem. Nie widział niczego, co mogłoby podtrzymać życie.

Nic nie mogłoby skłonić zdrowego na umyśle człowieka do wędrówki w te strony, zbeształ się w duchu. Wyprostował się w siodle, jakby chciał rzucić wyzwanie słońcu. Na ubranie narzucił cienką, białą szatę, na oczy naciągnął kaptur, zasłonił też usta i nos. Tkanina odbijała częściowo blask słońca, ale w tej okolicy wydawała się mizerną ochroną.

Narzucił nawet biały materiał na kark swego konia,  
gniadosza zwanego Porannym Smigaczem.

Wierzchowiec zakaszłał sucho, na próżno próbując pozbyć się wszechobecnego pyłu z gardła.

- Mnie też chce się pić, Smigaczu. - Arlen pogładził jego kark. - Ale zużyliśmy już naszą rację wody dziś rano i nie mamy wyboru. Musimy jakoś dać sobie radę.

Znów sięgnął po mapę Abbana. Kompas zawieszony na szyi wskazywał, że Arlen nadal zmierzał prosto na wschód, ale nigdzie nie było ani śladu kanionu, który powinien pojawić się w zasięgu wzroku już wczoraj. Wędrowiec zdawał sobie sprawę, że bez względu na to, jak skąpo będzie wydzielać wodę, jeśli do jutra nie odnajdzie kanionu i płynącej nim rzeki, będzie musiał zawrócić do Fortu Krasja.

Chyba że chciałbyś zawrócić już teraz i oszczędzić sobie całego dnia męczarni z pragnienia, odezwał się głos w jego głowie.

Ów głos zawsze namawiał go do zawrócenia. Arlen uważał go za głos ojca, nieodstępujące widmo człowieka, którego nie widział od prawie dekady. Głos bowiem zawsze wygłaszał te same surowo brzmiące mądrości, które zwykł powtarzać ojciec. Jeph Bales był dobrym, uczciwym mężczyzną, ale przez swą surową mądrość nigdy w życiu nie oddalił się od domu dalej niż o parę godzin jazdy.

Każdy dzień z dala od schronienia otoczonego runiczną barierą oznaczał noc w towarzystwie otchłańców. Nawet Arlen nie znosił tego łatwo, ale cechowała go nieodparta, paląca potrzeba, by szukać

rzeczy, których nikt wcześniej nie widział, i docierać do miejsc, których nikt wcześniej nie odwiedzał. Miał jedenaście lat, kiedy uciekł z domu. Teraz liczył ich sobie dwadzieścia i niewielu znał ludzi, którzy zobaczyli tyle świata co on.

Ów głos w jego głowie, podobnie jak wyschnięte podniebienie, był po prostu kolejną rzeczą, którą Arlen musiał jakoś znieść. Dzięki demonom świat stał się dostatecznie mały. Szkoda by było, gdyby jakiś natarczywy głos jeszcze bardziej go zmniejszył.

Tym razem Arlen poszukiwał Baha kad'Everam, krasjańskiej wioseczki, której nazwa oznaczała „Miskę Everama”. Imieniem tym Krasjanie nazywali Stwórcę. Wedle map Abbana wioska znajdowała się w naturalnej niecce powstałej po wyschnięciu jeziora, utworzonego przez płynącą kanionem rzekę. Wioska słynęła z wyrobów garncarskich, ale kupcy przestali tam przybywać ponad dwadzieścia lat temu. Ekspedycja *dalSharum* dowiodła, że mieszkańcy wioski zostali pochłonięci przez noc, i od tej chwili nikt już tam nie zaglądał.

- Uczestniczyłem w tej ekspedycji - stwierdził Abban. Arlen spojrzał na niego z powątpiewaniem. - To prawda - utrzymywał Abban. - Byłem dopiero nowicjuszem i moim zadaniem było jedynie noszenie wólczeni za *dalSharum*, ale dobrze pamiętam wyprawę. Nigdzie nie było ani śladu mieszkańców, choć wioska wydawała się nietknięta. Wojownikom nie zależało na wyrobach garncarskich, a wywiezienie ich nie licowało z ich honorem. W ruinach nadal

znajduje się więc mnóstwo drogich wyrobów, które czekają na odważnych.

Z tymi słowami nachylił się ku Arlenowi.

- Za wyroby garncarskiego mistrza z tej wioski dostaniesz fortunę na bazarze - powiedział znacząco.

I tak oto Arlen znalazł się w samym sercu pustyni, zastanawiając się, czy Abban tego wszystkiego nie zmyślił.

Wędrował jeszcze przez cztery godziny, aż dostrzegł cień biegnący w poprzek gliniastych pustkowi. Serce zabiło mu żywiej w piersi, gdy z grzbietu wolno człapiącego Porannego Smigacza ujrzał wreszcie kanion. Odetchnął z ulgą i przypomniał sobie, że nie bez powodu zignorował głos ojca. Skierował się na południe i po chwili ujrzał nieckę, w której znajdowała się wymarła wioska.

Poranny Smigacz z wdzięcznością powitał cień, rzucany przez ściany kanionu. Mieszkańcy wioski najprawdopodobniej podzielali upodobania wierzchowca, gdyż wyryli izby głęboko w ścianie klifu. Na zewnątrz ciągnęły się piętra dobudówek zlewających się kolorem ze ścianami kanionu, z większej odległości całkiem niedostrzegalnych. Był to znakomity kamuflaż, chroniący przed demonami wichrowymi, które zapewne unosiły się nad gliniastymi równinami w poszukiwaniu ofiar.

Mimo takiej ochrony mieszkańcom wioski nie udało się ująć z życiem. Rzeka bowiem wyschła, a choroby i pragnienie sprawiły, że stali się łatwą zdobyczą dla otchłańców. Być może garstka powa

żyła się na wędrówkę przez pustynię krasjańską, ale nigdy o nich nie słyszano.

Entuzjazm Arlena szybko przygasł, gdy uświadomił sobie, że wjeżdża w cmentarzysko. Znow. Kreśląc runy ochrony w powietrzu, mijał domostwo za domostwem i nawoływał, nadal żywiąc próżną nadzieję, że natrafi na ocalonych.

Jednak młodzieńcowi odpowiadało tylko echo własnych pokrzykiwań. W wielu oknach i drzwiach brakowało już płacht chroniących przed słońcem, a te, które zostały, były brudne i postrzępione. Wycięte w fasadach budynków runy utraciły wyraźne kontury po wielu latach opierania się ostrym pustynnym wiatrom. Ściany nosiły ślady demonich pazurów. W osadzie nie było żywego ducha.

W centrum wioski Arlen odnalazł jednak demonie doły, do których Krasjanie zwabiali otchłańce i gdzie je przetrzymywali do świtu. Natrafił też na barykady ciągnące się zygzakami po stromych kamiennych schodach, łączących piętra wsi. Umocnienia te - imitacja Labiryntu - zostały naprędce wzniesione przez *dalSharum* nie po to, by obronić mieszkańców wioski, lecz po to, by uczcić ich pamięć. Baha kad'Everam była co prawda osadą *khaf-fit* - ludzi niezasługujących na zaszczyt dzierżenia włóczni bądź wejścia do Nieba - ale nawet im należał się spoczynek w poświęconej ziemi. Dzięki temu, jeśli okażą się tego godni, ich dusze będą mogły odrodzić się w ciałach ludzi z wyższych kast.

*DalSharum* znali zaś tylko jeden sposób na poświęcenie ziemi - należało ją zbryzgać czarną ju

Peter V. Brett

chą płynącą w żyłach otchłańców. Nazywali to *alagai'sharak*, czyli „wojną z demonami”. Była to bitwa, którą toczyli co noc w Forcie Krasja, niekończące się starcie, które miało trwać do chwili, kiedy wszystkie demony zostaną wytepięone lub gdy padnie ostatni obrońca. Tej jednej nocy wojownicy odtańczyli *alagai'sharak* w wiosce Baha kad'Everam, by poświęcić cmentarzysko, jakim się stała.

Arlen ominął bariery i zjechał na dno rzeki. Niegdyś był to szeroki, potężny kanał, teraz jego środkiem płynęła jedynie brudna, błotnista struga. Jej brzegi nadal porastała skąpa, mizerna roślinność, ale kilka kroków dalej z ziemi sterczały już tylko zwiędłe łodygi, zasypane pyłem i zbyt zeschnięte, by zgnieć.

Tu i ówdzie znajdowały się niewielkie kałuże cuchnącej, brązowej wody. Arlen przefiltrował ją przez sukno i węgiel, ale doszedł do wniosku, że wcale nie prezentuje się bardziej zachęcająco. Postanowił więc ją zagotować. Poranny Smigacz tymczasem skubał wątle łodyżki i źdźbła trawy.

Robiło się późno i Arlen z niechęcią spojrział na zachodzące słońce.

- Chodź, mały - odezwał się do konia. - Pora się zamknąć na noc.

Poprowadził wierzchowca w górę na brzeg rzeki i po chwili znaleźli się na głównym placu wsi. Okolice te rzadko nawiedzała deszcz, erozja też postępowała powoli, więc demonie doły, głębokie na dwadzieścia jardów i szerokie na dziesięć, znajdowały się w idealnym stanie. Runy, które wryto w otacza



jących je kamieniach, były jednakże przybrudzone i wyblakłe. Demon wrzucony do któregoś z tych dołów najprawdopodobniej bez trudu by się wydostał.

Tak czy owak, jamy stanowiły jakąś formę ochrony. Arlen rozłożył przenośne kręgi między ścianami budowli oraz jedną z dziur, ograniczając w ten sposób dostęp do obozowiska.

Przenośny krąg runiczny, po rozłożeniu mierzący dziesięć stóp średnicy, składał się z lakierowanych drewnianych płytek połączonych mocną liną. Na każdej wymalowano starożytne symbole ochrony, dzięki którym wędrowiec nie musiał się obawiać żadnego znanego gatunku otchłańców. Arlen rozłożył płytki precyzyjnie, dokładając wszelkich starań, by runy połączyły się w niewidzialną barierę.

W środku jednego z kręgów wbił drąg, a potem obwiązał nogi Porannego Smigacza, pętając go i przywiązując do prowizorycznego słupa za pomocą skomplikowanego węzła. Gdyby koń próbował się zerwać po nadejściu demonów, liny zacisnęłyby się i zatrzymały go, ale Arlen w razie potrzeby mógł uwolnić go w okamgnieniu - wystarczyło odpowiednio szarpnąć pętlę.

Wewnątrz drugiego kręgu urządził własne obozowisko. Ułożył ognisko, ale nie rozniecił go jeszcze - drewno było na wagę złota, a pustynne noce bywały nieprzyjemnie zimne.

Myśli Arlena, zajętego wieczornymi czynnościami, mknęły ku kamiennym schodom i wyżej, ku piętróm ogromnego domu wbudowanego w ścianę klifu. Znajdował się tam warsztat mistrza Dravaziego,

którego malowane wyroby garncarskie za życia rzemieślnika były warte swej wagi w złocie, a teraz stały się bezcenne. Za oryginalne naczynie Dravaziego, zapomniane na kole garncarskim, Arlen sfinansowałby całą podróż. Kilka uczyniłoby go bogaczem.

Dzięki mapom Arlen zdołał się nawet domyślić, gdzie znajdował się warsztat mistrza, ale poszukiwania musiały poczekać, gdyż słońce chyliło się już ku horyzontowi. Ledwie znikło, a gorąco natychmiast uszło z gliniastych pustkowi i pomknęło ku niebu, otwierając demonom drogę z Otchłani. Z ziemi wokół kręgów uniosły się kłęby szarej, złowieszczej mgły, z wolna krystalizującej się w demoniczne formy.

Z pojawieniem się pierwszych obłoków Arlen poczuł niespodziewany atak klaustrofobii, jak gdyby kręgi zmieniły się w szklane ściany, odcinając go od świata. Oddychał z trudem, choć runy zatrzymywały tylko magię demonów, a policzki Posłańca chłodziły właśnie podmuchy wiatru. Spojrzał na demony, pojawiające się dookoła niego niczym dozorczy więzienni, i odsłonił zęby.

Jako pierwsze proces materializacji zakończyły demony wichrowe, które stojąc, sięgały wysokiemu mężczyźnie do ramienia. Z ich łbów wyrastały stateczniki, przez co potwory te mierzyły osiem do dziewięciu stóp. Ich wielkie, długie pyski były zakończone ostro niczym dzioby, ale kryły rzędy zębów grubości męskiego palca. Ciało chronił mocny, elastyczny pancerz, który mógł zatrzymać ostrze włóczni i grot strzały. Między bokami a mięśniami

ramion rozciągała się twarda błona, jej rozpiętość trzykrotnie przewyższała długość ciała potwora. Skrzydła uzbrojone były w złowieszcze, zakrzywione szpony, które podczas nurkowania mogły odciąć ludzką głowę.

Wichrzaki nie zwrócili na Arlena uwagi, gdyż ten opierał się o ścianę budowli i nie rozpałił jeszcze ognia. Zmaterializowawszy się, pognały do koryta rzeki. Poruszały się niezdarnie na króciutkich nóżkach, lecz gdy tylko, wrzeszcząc, zeskoczyły z krawędzi urwiska i z trzaskiem rozłożyły ogromne skrzydła, ich okrutna, złowroga elegancja ożyła w jednej chwili. Wystarczyło kilka machnięć, by demony znalazły się na wysokim pułapie, skąd mogły polować na zdobycz.



Arlen spodziewał się, że w drugiej kolejności pojawią się piaskowe demony, od których roiło się na wydmach krasjańskich pustyń, lecz obłoki mgły już rzedyły w półmroku. Materializowało się jedynie kilka ostatnich wichrowych demonów.

Arlen niespodziewanie się ożywił. Otchłānce zwykły polować na wszystko, co żyło, ale prawdziwą nienawiścią darzyły jedynie ludzkość. Bywało więc, że z niechęcią opuszczały ruiny osad po wymordowaniu mieszkańców, ponieważ miały nadzieję, że ci kiedyś tam powrócą. Demony nie starzały się, ich cierpliwość nie miała granic. Mogły czyhać na przybyszów całe dekady.

W tym, że wichrzaki materializowały się w tej okolicy, nie było nic dziwnego. Klify kanionu stanowiły bowiem idealny pas startowy i wzniosłszy się w powietrze, demony mogły szybować daleko przez noc w poszukiwaniu zdobyczy. Lądowe otchłānce nie miały jednak takich możliwości i Arlen nie widział ani jednego w pobliżu. Demony piaskowe polowały w stadach zwanych burzami i wszystko wskazywało na to, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat zmieniły tereny łowieckie.

Arlen poderwał się i zaczął niespokojnie miotać po kręgu. Patrzył na starty ostatnich wichrowych demonów, zerkał na piętra osady i przez cały czas szacował szanse. Gdyby trzymał się nisko przy ziemi, wichrowe demony raczej by go nie zauważyły, a gdyby miał pecha i któryś z nich go spostrzegł, młodzieniec zdołałby na czas schronić się w zabudowaniach. Okna i drzwi były zbyt wąskie,

by udało się tam wlecieć. Demony musiałyby wyładować, a na ziemi łatwo było je przewrócić bądź prześcignąć. Wciąż nie pojawiały się piaskowe demony - rozmiarem i barwą wyróżniałyby się na tle zabudowań.

Pozostawał jeszcze Jednoręki, ale ten miał przybyć dopiero za jakiś czas. Jeśli Arlen się pospieszy...

Nie bądź głupi! Zaczekaj do świtu! - warknął głos ojca, ale Arlen i tak zazwyczaj nie zwracał na niego uwagi. Gdyby chciał wieść spokojne życie, pozostałby w Wolnych Miastach, gdzie większość ludzi od kołyski aż po grób nigdy nie wyszła poza bezpieczną barierę runiczną.

Arlen zaś spędził wiele nocy poza barierą, zwłaszcza w Forcie Krasja, gdzie był jedynym cudzoziemcem, który kiedykolwiek tańczył *alagai'sharak*. Tym razem jednak nie miał u boku wojowników *dalSharum*, na których pomoc mógłby liczyć w razie niebezpieczeństwa. Był pozostawiony sam sobie.

Nie pierwszy raz i nie ostatni, pomyślał.

W centrum swego kręgu rozpałił ognisko, ułożone tak, by długo płonęło. Miało pomóc mu odnaleźć drogę w ciemnościach. Następnie do włóczni przymocował uchwyt na pochodnię. Do pustego plecaka, który wkrótce miał zamiar wypełnić naczyniami, na razie wrzucił kilka zapasowych żagwi. Uniósł okrągłą tarczę z wymalowanymi symbolami ochronnymi, takimi samymi jak na płytach tworzących krąg, i wyszedł poza barierę.

Miał wrażenie, że po raz pierwszy od zachodu słońca naprawdę zaczerpnął tchu. Wiedział, że to

wyobrażnia, ale zawsze wydawało mu się, że powietrze na zewnątrz kręgu smakuje lepiej, że jest chłodniejsze i słodsze. Zawsze czuł satysfakcję, gdy mógł odzyskać choć odrobinę świata zajmowanego co noc przez otchłańce.

Przedostał się w okolice schodów, przyświecając pochodnią to tu, to tam, czujnie wypatrując wszelkich śladów obecności demonów, zawsze gotów do obrony bądź ucieczki.

Droga po schodach okazała się trudnym wyzwaniem. Stopnie były różnej wielkości - niektóre tak wąskie, iż młodzieniec nie mógł postawić na nich stopy, inne ciągnęły się na kilkanaście kroków. Łącząca je ścieżka także raz robiła się łagodna i płaska, raz pięła ostro w górę. Arlen szybko doszedł do wniosku, że mieszkańcy wioski musieli mieć silne nogi.

Co gorsza, na dolnych poziomach *dalSharum* zebrali wszystko, co się udało się wynieść, i spiętrzyli w stosy strzaskane naczynia, połamane meble i resztki ubrań. Wzniesiono w ten sposób labirynt mający na celu spowolnienie otchłańców biegnących do krasjańskich pułapek, które zrzucały je z niskich murków prosto do dołów.

Arlen nie wychylał się zza murku. Piął się ostrożnie i co chwila omiatał niebo czujnym spojrzeniem. Wichrowe demony potrafiły dostrzec zdobycz z wysokości mili i runąć na nią w absolutnej ciszy. Z trzaskiem otwierały skrzydła tuż nad ofiarą, ale wtedy było już za późno. Jednym kłapnięciem dzioba urywały człowiekowi głowę, chwytaly

go szponami i unosiły w niebo. Bez wątpienia gdyby to otchłaniec dostrzegł go jako pierwszy, dopadłby Arlena bez trudu.

Blokady ułożone przez *dalSharum* kończyły się na piątym poziomie osady i tam domostwa wydawały się już nietknięte. Arlen kontynuował wspinaczkę, choć czuł palący ból w udach. Słyszał, że warsztat mistrza Dravaziego znajdował się na siódmym poziomie, gdyż istniało siedem filarów Nieba oraz siedem poziomów Otchłani Nie.

Gdy dotarł na siódmy poziom i ujrzał imię mistrza wyrzeźbione w łuku nad wejściem do dużego budynku, na jego twarzy pojawił się uśmiech tryumfu. Chłopak spoważniał jednak natychmiast i raz jeszcze uważnie rozejrzał się po otoczeniu. Wciąż nie było śladów piaskowych demonów, a ich wichrowi pobratymcy najwyraźniej odlecieli daleko w noc.

W przejściu wisiała postrzępiona kotara, najprawdopodobniej do ochrony przed wszechobecnym pomarańczowym pyłem, nie do zapewniania mieszkańcom prywatności, w zasadzie zbędnej w tak niewielkiej, daleko położonej wsi jak Baha.

Arlen podkrał się do wejścia, odsunął kotarę krawędzią tarczy i wsunął włócznię do ciemnego pokoju. Płomień pochodni oświetlił rzędy garnków i innych naczyń.

Młodzieniec aż się zachłysnął. Ledwie wierzył własnym oczom. Naczynia, ułożone i powiązane, najwyraźniej przygotowano do wyprawy na targ, do której nigdy nie doszło. Ceramikę pokrył poma

Peter V. Brett

rańczowy pył, przez co zlewała się kolorem ze ścianami i podłogą budynku, niemniej wydawała się nietknięta. Arlen wyciągnął na próbę dłoń - jego palce stały nieco pyłu, ukazując gładką, polakierowaną powierzchnię oraz jaskrawy wzór, migoczący w świetle pochodni. W pierwszym pomieszczeniu, do którego zajrzał, znajdowało się więcej bogactw, niż był w stanie udźwignąć!

Przyklęknął i odłożył tarczę oraz włócznie, by zsunąć z ramion pusty plecak. Przyglądał się mniejszym wazonom, lampom i miskom, próbując ustalić, które zabrać w pierwszej kolejności. Miał zamiar zabrać kilka naczyń do swego obozu i oszacować ich wartość, a z nastaniem świtu wrócić po resztę.

Wsuwał właśnie delikatny wazon do plecaka, kiedy usłyszał zgrzyt. Pomyślał najpierw, że przesunął nieopatrznie któreś z naczyń i cały stos zaraz się przewróci. Porwał więc za włócznie i oświetlił pomieszczenie pochodnią.

Stosy naczyń jednakże nawet się nie zachwiały, a zgrzyt rozległ się ponownie. Tym razem zabrzmiał bardziej jak warkot - jakby ktoś w ciemnościach gardłowo artykułował „r”.

Arlen natychmiast zapomniał o naczyniach. Pochwycił tarczę i powoli odwrócił się do źródła dźwięku. Zapewne demon piaskowy przekradł się do pomieszczenia, próbując zachować jak największą ciszę, lecz nie potrafił dłużej stłumić zwierzęcego instynktu.

Arlen powoli obrócił się, trzymając pochodnię z dala od siebie. Nigdzie nie było ani śladu potwo



ra. Młodzieniec zerknął w górę, ale i tam nie ujrzał żadnej bestii, szykującej się do skoku na jego plecy. Zadrżał, lecz zmusił się, by szukać dalej.

Przeoczyłby go, gdy ten nie warknął cicho w momencie, gdy padło nań światło pochodni. W pierwszej chwili Arlen uznał, że ma przed sobą zwykłą ścianę, ale wtedy jej część się poruszyła.

Demon, ale niemalże niewidzialny. Arlen ledwie go dostrzegął, choć patrzył prosto na niego. Jego pancerz był równie pomarańczowy jak glina i miał tę samą szorstką strukturę. Otchłaniec był mały, niewiele większy od średniej wielkości psa, ale za to masywny i muskularny, a jego szpony pozostawiły głębokie bruzdy w ścianach. Arlen nigdy niczego takiego nie widział.

Otchłaniec przeciągnął się lekko i zatupał w miejscu, a potem wydał z siebie ogłuszający ryk i rzucił się na Posłańca.

- Na noc! - wrzasnął Arlen i zasłonił się tarczą, zastanawiając się, czyjego runy zatrzymają ów nowy gatunek otchłańca. Runy nie były uniwersalne i każdy chronił przed innym rodzajem demona. Były i takie, które blokowały również kilka rodzajów przybyszów z Otchłani, ale w tym przypadku młodzieniec nie miał pewności, czy okażą się skuteczne.

Magia rozbłysła przy uderzeniu i Arlen padł na ziemię, przygnieciony ciężarem otchłańca. Już wiedział, że tarcza nie stanowi należytej ochrony. Zdobiące ją symbole były naprawdę potężne i żaden demon nie powinien nawet jej dotknąć, ale ten wpił się w nią i z prawdziwą zaciekłością próbował przebić.

Był też cięższy, niż na to wyglądał, ale Arlen zdołał się podnieść i grzmotnąć otchłańcem o ścianę budynku. Pazury zsunęły się na skutek uderzenia, a magia, nadal częściowo oddziałująca na leżącego demona, odrzuciła Posłańca. Wylądował na stercie bezcennych naczyń, rozbijając część z nich.

- Niech to Otchłań pochłonie! - zaklął, ale nie było czasu na lament, gdyż demon rzucił się w stos glinianych skorup, roztrzaskując je na wszystkie strony. Nim Arlen zdołał się podnieść, został pokaleczony i pokłuty przez dziesiątki ostrych okruchów.

Demon gliny znów rzucił się do natarcia. Arlen zdołał w porę zasłonić się tarczą, lecz otchłaniec wbił w nią pazury i szarpnął z taką furją, że rzemienie wokół przedramienia Arlena pękły i tarcza odpadła. On sam zatoczył się, usiłując odskoczyć od demona, nim ten uwolni się od tarczy i znów rzuci do ataku. Arlen wiedział, że bez tarczy ucieczka do przenośnych kręgów będzie niebezpieczną przeprawą, a z tego, co zdążył zauważyć, nie było żadnej gwarancji, że runy na płytkach go ochronią.

Demon znów wybił się w powietrze, lecz tym razem Arlen miał już włócznie w pogotowiu i pchnął bestię w klatkę piersiową. Miał zaciną broń i wykonał wspaniałe pchnięcie, ale nawet najsłabszy otchłaniec dysponował pancerzem mogącym zatrzymać stalowe ostrze. Młodzieńcowi nie udało się przebić skóry, ale uderzył potwora pochodnią. Żagiew wypadła z uchwytu. Arlen naparł z całej siły i odepchnął napastnika. W dogasającym świetle otchłaniec zaczął się grzebać niezdarnie, oślepiony blaskiem pochodni.

- No chodź! - krzyknął Arlen, wycofując się do drzwi. Otchłaniec skoczył po raz ostatni, nadal oszołomiony i zdezorientowany, lecz tym razem Arlen był już gotów. Złapał kotarę i złowił demona w zakurzone, spękane fałdy, a potem ściągnął mocno. Demon wierzgał z całej siły, próbując się uwolnić, ale Arlen zerwał zasłonę z pręta, wypadł z izby, dobiegł do murku otaczającego ten poziom wsi i przerzucił nad nim demona. Zaplątany w tkaninę otchłaniec runął w dół. Jego ryki stawały się coraz cichsze, aż rąbnął w kamienny dziedziniec.

Arlen wbiegł do środka i pochwycił pochodnię. Pozostawił plecak tam, gdzie leżał, wraz z włócznią i strzaskaną tarczą. Już miał rzucić się ku schodom, gdy powietrze rozdarł ostry wrzask. Młodzieniec spojrział na zabudowania pnące się w górę klifu i niespodziewanie serce zabiło mu mocniej. Poziomy zaroily się od demonów gliny.

Jak tak dalej pójdzie, któregoś dnia po prostu cię zabiją - Arlen usłyszał głos ojca, ale w tej chwili nie miał ani czasu, ani ochoty, by się z nim sprzeczać.

Biegł teraz tak szybko, że w migotliwym świetle pochodni ledwie widział swe nogi. Przeskakiwał po kilka stopni, ale to nie wystarczyło. Demony były zarówno przed nim, jak i za nim. Nieświadom ich obecności, musiał je minąć w drodze na górę. Arlen pędził na półpiętro, gdy dwa z nich pojawiły się tuż przed nim, doskoczywszy z niższego poziomu. Ich szpony wbiły się w skałę, a mięśnie naprężyły do kolejnego skoku.

Biegący w dół, rozpędzony Arlen nie był już w stanie się zatrzymać, więc zrobił jedyną rzecz, która przyszła mu do głowy - przeskoczył przez murek okalający schody.

Przeleciał dobre dziesięć stóp i wylądował ciężko na schodach kolejnego poziomu. Demony natychmiast podjęły pościg, a Arlen opanował ból, zerwał się na równe nogi i znów rzucił do biegu.

Otchłańce były szybkie, ale Arlen miał dłuższe nogi, a desperacja zwielokrotniła jego siły. Polegając zarówno na swej pamięci, jak i na tym, co udawało mu się dostrzec, wymijał krasjańskie blokady. Teraz czuł wdzięczność za to, że *dalSharum* rozebrali niższe poziomy na kawałki.

Jakiś demon skoczył na niego z góry. Jego szpony rozorały plecy Posłańca, a zęby wbiły się w ramię, ale młodzieniec nawet nie zwolnił. Grzmotnął otchłańca pochodnią w pysk i pchnął na klif, pozbawiając stworzenie tchu i zrzucając je ze swoich pleców, po czym pochwycił oszołomionego napastnika i cisnął nim w dwa kolejne stwory, które gnały po schodach w ślad za Arlenem.

Posłańiec pobiegł dalej, odganiając demony płonąca jasno pochodnią. Przewrócił się dwukrotnie, boleśnie wykręciwszy przy tym kostkę, ale za każdym razem zrywał się i rzucał do ucieczki, nim ogarnął go ból. Za plecami Arlena klif roił się od ryczących, ścigających go demonów.

Znów przeskoczył nad murkiem, by uniknąć kolejnego piętra pełnego otchłańców, i pognął do obozowiska. Niespodziewanie ujrzał, że demon, którego

zrzucił z klifu, został uwięziony pośrodku jego kręgu. Potwór przebił się przez barierę zapewne dlatego, że spadał z wielkiej wysokości, a do tego owinięty był w kotarę, lecz teraz tłukł wściekle w runy, z determinacją próbując znaleźć drogę na zewnątrz. W powietrzu migrowały srebrzyste pajęczynki magii.

Nie mogąc wykorzystać własnego kręgu, Arlen popędził do kręgu Porannego Smigacza. Znów na jego drodze pojawił się demon gliny, który odbiwszy się od ziemi, zaatakował. Arlen odrzucił pochodnię i złapał stwora oburącz. Ostre łuski rozorały Posłańcowi skórę rąk, nie uniknął też cuchnącego wyziewu z pyska bestii, ale mimo to wykonał obrót i wykorzystał pęd, by cisnąć gliniaka prosto do jednego z demonich dołów na dziedzińcu.

Rozległ się dziki wrzask, gdy Arlen zanurkował do kręgu swego konia. Runy rozjarzyły się, zatrzymując i odrzucając wichrowego demona. Byłby wpadł do tego samego dołu, gdyby nie rozłożył skrzydeł i nie odzyskał równowagi. Znów wrzasnął wściekle, pokazując rzędy ostrych kłów w świetle runów.

Arlen jednak nie był jeszcze bezpieczny, gdyż w tejże chwili opadła go chmara demonów gliny. Runy rozbłysły jaskrawo, gdy potwory usiłowały pokonać barierę. Symbole zatrzymywały natarcie, ale nie odrzucały stworów, tak jak powinno się to dziać. Magia przesywała ich pękate ciała, demony wyły z bólu, ale mimo to wbijały szpony głębiej w glinę i parły naprzód, cał za całem. Arlen chodził dookoła kręgu i odpędzał je od bariery, ale wiedział, że długo w ten sposób nie wytrzyma. Prędzej czy później

/  
demony się przebijają. Poranny Smigacz również to wiedział i wił się, próbując zerwać krępujące go więzy.

Wtedy jednak rozległ się ryk, który zagłuszył nawet kakofonię demonów gliny. Na dziedziniec wkroczył Jednoręki. Skalny demon liczył piętnaście stóp wzrostu od nóg aż po rogi, a chronił go gruby, czarny pancerz, który uszkodzić mogły jedynie najpotężniejsze runy.

Jednoręki jak zwykle nie miał zamiaru dopuścić konkurencji w pobliże zdobyczy. Rozpędził demony gliny zdrowym ramieniem równie łatwo, jak człowiek rozrzuca zeschnięte liście. Ryczał z furją na każdego otchłanca nieostrożnego na tyle, by się zbliżyć, i ubił sporo swych mniejszych kuzynów, nim ci wzięli sobie jego wiadomość do serca.

Arlen okaleczył Jednorękiego podczas ich pierwszego spotkania, prawie dziesięć lat temu. Był wówczas jedynie wystraszonym małym chłopcem, a odciął rękę demonowi - bardziej przez przypadek niż z rozmysłu, niemniej demon był istotą nieśmiertelną, a do tego nie potrafił ani zapomnieć, ani wybaczyć.

Co noc Jednoręki materializował się w miejscu, gdzie ostatnio widział Arlena, a potem szedł w ślad za nim. Bez względu na to, ile rzek Arlen przepłynął i na ile drzew się wspiął, demon zawsze go doganiał w kilka godzin, biegnąc szybciej od najśmiglejszego rumaka. Odporny na zmęczenie i pragnienie, potrafił myśleć jedynie o zemście.

Popychany pragnieniem odwetu skalny demon tłukł w runy Arlenowej bariery. Magiczne rozbłyski opromieniły koryto wyschniętej rzeki, ale Po

słaniec dobrze znał swój krąg oraz wplecione weń skalne runy i wiedział, że otchłaniec nie ma szans się przebić. Arlen usiadł zatem, nadal wpatrzony w rozwścieczone stworzenie, jednak nie odczuł ulgi czy wdzięczności za nieoczekiwane ocalenie przed demonami gliny. Wiedział bowiem, że prędzej czy później potężny otchłaniec złapie go po drugiej stronie bariery, a wtedy będzie żałował, że demony gliny nie dopadły go jako pierwsze.

Na razie jednak pożegnał stwora obscenicznym gestem i zaczął przetrząsać juki Porannego Smigacza w poszukiwaniu zapasowej torby z ziołami i bandażami.

W szyciu własnej skóry osiągnął mistrzostwo.



Tuż przed świtem, gdy niebo zaczęło się przejaśniać, Arlena niespodziewanie obudził dziki wrzask. Z konieczności już dawno nauczył się spać bardzo lekko i teraz zerwał się, w okamgnieniu otrząsając ze snu. Jednoręki już dawno wniknął do Otchłani, podobnie jak demony wichru i gliny.

Otchłaniec uwięziony wewnątrz głównego kręgu Arlena nadal tłukł o barierę, ale nie mógł się przez nią przedrzeć. Tworzące ją runy nie były może całkowicie przystosowane do odpierania ataków demonów gliny, ale gdy stwór znalazł się wewnątrz, moc kręgu wzrastała kilkakrotnie.

Na horyzoncie było coraz jaśniej i Arlen z wielkim zainteresowaniem przyglądał się ostatnim

Peter V. Brett

chwilom życia otchłańca. W blasku dnia stworzenie przypominało nieco pancernika ze względu na podzielony na segmenty, pomarańczowy pancerz oraz potężne, krótkie tylne nogi pokryte grubymi, ostrymi łuskami i uzbrojone w haczykowane pazury. Tępo zakończony łeb przypominał walec, którym demon mógł uderzać z ogromną siłą, co zresztą demonstrował raz za razem, na próżno waląc w ściany swego magicznego więzienia.

Do suchego koryta rzeki dotarły już pierwsze promienie światła i otchłaniec zawył z bólu, choć ściany kanionu nadal skrywały cienie. Arlen wiedział, że chwile potwora są policzone.

Ogarnięty rozpaczą demon utracił swą material- ność i przeistoczył się w pomarańczową mgiełkę, która wypełniła krąg. Nawet w tej formie nie był jednak w stanie uciec. W pomarańczowej glebie pod barierą nie było ani jednego skrótu do Otchłani. Iskrząca się magia nie pozwalała mgłę wypłynąć dalej i co rusz przeszywała ją srebrnymi refleksami, przypominającymi błyskawice w chmurach.

Mgła falowała w kręgu, nadal usiłując odnaleźć lukę w ciasnej barierze Arlena. Pomimo niematerialnej postaci demona młodzieniec wyczuwał jego rozpacz oraz strach. Sam aż się spiął z podniecenia. Demony były całkowicie odporne na ludzką broń. Jedyne pewny - acz niebezpieczny - sposób na zabicie otchłańca stanowiło uwięzienie w runicznym kręgu i zaczekanie na wschód słońca. Nierzadko ginęło przy tym tyle samo ludzi co demonów.





Nareszcie słońce znalazło się na tyle wysoko, by jego promienie mogły dosięgnąć drugiego brzegu rzeki. Arlen ujrzał iskierki przesywające pomarańczową mgłę. Nagle mgła stanęła w płomieniach. Powietrze zabłysło i przez koryto rzeki przeszła fala ciepła. Oczy Arlena natychmiast stały się suche, a policzki poczerwieniały od gorąca, ale nie odwróciłby wzroku, nawet gdyby miało go to kosztować życie. Nienawidził demonów za wszystko, co zabrały z tego świata, i nigdy nie nużyło go oglądanie kolejnego, który płacił ostateczną cenę za zło.

Posłaniec przeszukał później obozowisko, ale większość sprzętów została albo zniszczona przez szalejącego demona, albo spłonęła w eksplozji.

Oczywiście w jukach Porannego Smigacza Arlen trzymał zapasowy ekwipunek - a przynajmniej najistotniejsze jego elementy - ale okazało się, że jeden zabity demon pochłonie zapewne niemal cały zysk ze sprzedaży naczyń.

O ile było coś jeszcze do sprzedania. Arlen popędził do pracowni mistrza Dravaziego i przekonał się, że jego obawy miały uzasadnienie. Niemalże wszystkie naczynia zostały stłuczone. Przeszukał pozostałe zabudowania i odnalazł sporo innych naczyń, ale były one proste i przeznaczone do celów użytkowych. Bahaanie, których istnienie zależało od handlu, nie tracili czasu na zdobienie naczyń do własnego użytku. Arlen uznał, że będzie miał szczęście, jeśli uda mu się choć wyrównać straty.

Pomimo bólu młodzieniec wyjechał z kanionu z dumnie uniesioną głową. Widział miejsce, któ

rego nikt nie odwiedził od dwudziestu lat, i stawiał czoła mieszkającym tam demonom, a teraz wracał, by opowiedzieć o swych przygodach.

Któregoś dnia twoje szczęście się skończy, napomniał go głos ojca.

Może, odpowiedział mu Arlen. Ale jeszcze nie dzisiaj.



Po głównym bazarze w Forcie Krasja - Pustynnej Włóczni, jak często nazywano miasto - kusztykał Abban ciężko wsparty na lasce. Był opasłym człowiekiem i chora noga nie byłaby w stanie go utrzymać.

Na głowie miał złoty jedwabny turban zakończony brązowym stożkiem. Pod kamizelką z brązowego zamszu nosił luźną koszulę z jasnoniebieskiego jedwabiu, na której wyszyto rozmaite wzory złotą nicią. Jego palce zaś migotały od pierścieni. Pantalony, uszyte z tego samego złotego jedwabiu co turban, podtrzymywał wysadzany klejnotami pas, a laskę wieńczyła wykonana z kości słoniowej, piękna podobizna pierwszego wielbłąda, jakiego kupił Abban. Pacha męczyzny mieściła się dokładnie między dwoma garbami.

Bazar ciągnął się przez wiele mil po wewnętrznej stronie murów Pustynnej Włóczni. Na zakurzonych, prażonych upałem ulicach wznosiło się pozornie nieskończone mrowie straganów, namiotów i zagród, można tu było kupić jedzenie, przyprawy, pachnidła, ubrania, biżuterię, trzodę, zwierzęta

juczne i wszystko inne, co tylko można sobie wymarzyć.

Między Labiryntem przed murami i bazarem za nimi istniało wielkie podobieństwo. Pierwszy został zbudowany tak, by *dalSharum* mogli łowić i zabijać demony usiłujące dostać się do miasta, a drugi więził kupujących i oszałamiał niekończącymi się nawoływaniem sprzedawców. Nieprawdopodobna, onieśmielająca wprost różnorodność towarów oraz natręctwo kupców kruszyły siłę woli i luzowały rzemienie sakiewek nawet najbardziej wybrednych klientów. Ulice, które na pierwszy rzut oka wydawały się wyjściem z dzielnicy, nierzadko okazywały się ślepych zaułkami, gdyż stragany, wciąż zmieniające położenie, blokowały wylot. Nawet ludzie doskonale znający zaułki i zakamarki dzielnicy gubili się tu od czasu do czasu.

Abban był wyjątkiem. Bazar był jego domem, a krzyki targujących się - powietrzem, którym oddychał. Nie mógł zgubić się na bazarze, podobnie jak Pierwszy Wojownik nie pomyliłby drogi w Labiryncie.

Abban przyszedł na świat w rodzinnym namiocie w samym centrum bazaru. Jego babka była położną, a ojciec, Chabin, nie zamknął kramu nawet wtedy, gdy z wnętrza dobiegało wycie rodzącej żony. Nie stać go było na to, by choć na chwilę wypaść z interesu, tym bardziej że właśnie przybyła kolejna gęba do wyżywienia.

Z tego, co Abban pamiętał, Chabin był dobrym człowiekiem, ciężko pracującym na utrzymanie ro-

dżiny, choć wrodzone tchórzostwo nie pozwoliło mu zostać wojownikiem, a kapłani dowiedli, że jego wiara jest słaba.

Kapłan i wojownik były jedynymi profesjami uznawanymi za godne krasjańskiego mężczyzny. Ojciec Abbana, któremu zamknięto drogę do obu tych karier, musiał więc codziennie pochylać kark i harować jak kobieta. Był *khaffit* - człowiekiem bez honoru - i bramy rajy Everama były dlań zamknięte na zawsze.

Chabin jednakże znosił niedolę bez narzekania i wkrótce zamienił swój mały straganik, sprzedający kiepskiej jakości świecidełka, w kipiący życiem interes, przyciągający klientów aż z zielonych krajów na dalekiej Północy. Nauczył Abbana matematyki i geografii, pokazał mu, jak kreślić słowa, wpoił też zasady języka ludzi z zielonych krain, by syn mógł targować się z Posłańcami. Nauczył Abbana wielu rzeczy, ale przede wszystkim tego, że należy bać się *dama*. Ta lekcja zresztą kosztowała go życie.

*Dama*, kapłani Everama, stanowili najwyższą kastę społeczeństwa krasjańskiego. Nosili śnieżnobiałe, widoczne z daleka szaty i stanowili pomost między człowiekiem i Stwórcą. Każdy *dama* mógł zabić człowieka o niższej pozycji społecznej bez jakichkolwiek konsekwencji - znieważenie kapłana lub świętych praw, które ustalał, było wystarczającym powodem.

Abban miał osiem lat, gdy zabito jego ojca. Cob, Posłaniec z Północy, przybył do ich straganu i kupował zapasy na podróż powrotną. Był cenionym

Peter V. Brett

klientem i ważnym ogniwem zapewniającym dopływ towarów z zielonych krajów. Abban wiedział, że należy go traktować jak księcia.

- Uszkodziłem jeden z moich kręgów w drodze do Fortu Krasja - oznajmił Cob. Utykał i wspierał się na złomku włóczni. - Potrzeba mi liny i nieco farby.

Chabin strzelił palcami i Abban natychmiast podał ojcu niewielki garnek z farbą, a potem pobiegł po linę.

- Przeklęty piaskowy demon odgryzł mi pół stopy, nim zdążyłem wskoczyć w zapasowy krąg. - Cob pokazał obandażowaną nogę.

Widok ten zaabsorbował Chabina do tego stopnia, że ani on, ani Cob nie spostrzegli przechodzącego *dama*.

Kapłan jednakże zwrócił uwagę na nich obu, zwłaszcza na ojca Abbana, który jako *khaffit* powinien go powitać głębokim, unizonym ukłonem.

- Kłaniaj się, brudny *khaffitl* - warknął *dalSharum* eskortujący *dama*.

Wystraszony Chabin obrócił się gwałtownie i przez przypadek wylał farbę na nieskazitelnie białą szatę kleryka.

Czas zatrzymał się na moment, a potem rozwścieczony *dama* sięgnął za ladę, złapał Chabina za włosy i podbródek, po czym szarpnął ostro. W namiocie rozległ się trzask, jakby pękła sucha gałąź, i ojciec Abbana osunął się martwy na ziemię.

Od tej chwili upłynęło niemalże ćwierć wieku, ale Abban wciąż doskonale pamiętał ten dźwięk.

Gdy osiągnął odpowiedni wiek, został siłą zaciągnięty do szkoły wojowników, by nie musiał dzielić hańby swego ojca. W społeczeństwie Krasjan pozycja społeczna nie była dziedziczna, ale okazało się, że Abban przejawia tę samą słabość i tchórzostwo co jego ojciec. Był wciąż nowicjuszem, gdy podczas brutalnego treningu uległ wypadkowi i został przegnany jako *khaffit*.

Abban skinał głową kilku kupcom, mijając stragany. Głównie kobietom, zakutonym od stóp do głów w ciężkie, czarne szaty, choć pracowali tutaj również inni *khaffit*. Podobnie jak Abbana łatwo ich było dostrzec ze względu na jaskrawe ubrania, choć wszyscy nosili zwykle brązowe czapki oraz kamizele, oznaki ich kasty. Prócz *khaffit* jedynie kobiety miały prawo do noszenia jaskrawych, kolorowych strojów, ale tylko w towarzystwie męża lub innych kobiet.

Jeśli handlarki również odczuwały pogardę na widok *khaffit*, wiedziały, że lepiej jej nie okazywać. Abban odziedziczył bowiem nie tylko słabości swego ojca, ale również jego atuty i gdy przejął kontrolę nad rodzinnym interesem, jego majątek i znaczenie rosły z roku na rok. Urażenie dumy Abbana zawsze wiązało się z utratą dochodów, gdyż gruby *khaffit* dysponował rozległymi wpływami nie tylko na bazarze, ale i w miastach oddalonych o setki mil na północ. Lwia część handlu z Północą przechodziła właśnie przez niego i wszyscy kupcy, którzy chcieli mieć dostęp do cennych egzotycznych towarów, musieli zachować pogardę dla siebie.

Peter V. Brett

Z jednym wyjątkiem. Gdy Abban podszedł do swojego pawilonu, dobiegło go wołanie z drugiego końca ulicy. Odwrócił się i z niesmakiem spojrzął na konkurenta, kuszykającego w jego kierunku.

- Abban, mój przyjacielu! - wołał, choć stosunków, które ich łączyły, przyjaźnią na pewno nie można było nazwać. - Już z daleka miałem wrażenie, że rozpoznaję twe barwne, kobiece szmatki! Jak dziś idą interesy?

Abban skrzywił się, ale dobrze wiedział, że w rozmowie z tym człowiekiem lepiej wystrzegać się nieuprzejmych słów. Amit asu Samere am'Rajith am'Majah był wojownikiem *dalSharum* i górował nad Abbanem tak, jak on górował nad kobietą. Choć teoretycznie *dalSharum* nie miał prawa zabijać *khaffit* bez powodu, w praktyce taki czyn nie spotkałby się raczej z naganą.

Z tego właśnie powodu Abban musiał udawać, że wozy z towarami, które czasami znikwały z jego terenu, tak naprawdę nigdy nie istniały, choć dobrze wiedział, że zabrali je ludzie Amita.

Amit działał na rynku od niedawna. Podczas bitwy piaskowy demon odgryzł mu część łydki i rana zaczęła się jątrzyć, aż w końcu *dama'ting* nie miały wyboru i musiały nogę amputować. Ułomność oznaczała wielki wstyd, gdyż okaleczony wojownik powinien ginąć w bitwie, a nie za wszelką cenę ratować życie. Na szczęście Amit zdołał wtrącić owego demona do pułapki, gdzie stwora zabiło słońce, czym wojownik zapewnił sobie łaskę Everama i miejsce w raju.



W przeciwieństwie do Abbana Amit był odziany od stóp do głów w czerń, jak przystało na *dalSharum*. Wokół szyi nosił luźno zawieszoną nocną przesłonę. Nadal dzierżył włócznię, choć obecnie częściej służyła mu jako laska niż jako broń. Mimo to wciąż ją ostrzył i był skory do wygrażania nią, kiedy ogarnęła go złość.

Mężczyzna w czarnych szatach wojownika budził zainteresowanie na bazarze, gdyż była to domena niemalże wyłącznie kobiet oraz *khaffit*. Ludzie mijali go z ostrożnością, bojąc się podejść bliżej, więc Amit obwiązał ostrze jasnopomarańczową wstążką na znak, że jest kupcem.

- Och, Amit, mój drogi przyjacielu! - rzekł Abban, a na jego twarzy pojawiły życzliwość i serdeczność, dopracowane do perfekcji podczas spotkań z tysiącami klientów. - Na Everama, jak dobrze cię widzieć! Słońce natychmiast świeci jaśniej, gdy tylko się pojawiasz. Interesy idą wyśmienicie, w rzeczy samej! Dziękuję, że pytasz. Mam nadzieję, że w twoim pawilonie wszystko również układa się dobrze?

- Oczywiście, oczywiście. - Amit spojrzał na *khaffit* złowrogo. Już otworzył usta, by dokończyć kwestię, gdy ujrzał dwie kobiety, które stanęły, by przyjrzeć się zawartości jednego z wozów z owocami. - Chodźcie, czcigodne matki, zapraszam! - odezwał się. - W moim pawilonie trzymam o wiele zaniejsze owoce! Wolicie kupować towary od pozbawionego duszy *khaffit* czy od kogoś, kto w mrokach nocy nie zląkł się hord demonów?

Mało kto był w stanie oprzeć się takiej argumentacji i obie kobiety zawróciły, by skierować się do pawilonu Amita. Ten wyszczerzył szyderczo zęby, patrząc na Abbana. Nie po raz pierwszy w ten sposób podkradł Abbanowi klientów i na pewno nie po raz ostatni.

W otaczającej ich wrzawie targowiska niespodziewanie rozległo się posykiwanie, którym kupcy nawzajem ostrzegali się przed nadchodzącym *dama*. Wszyscy pospiesznie chowali towary, które były zakazane przez prawa Everama, jak na przykład alkohole bądź instrumenty muzyczne. Nawet Amit przyjrzał się sobie, jakby chciał sprawdzić, czy nie obnosi się z jakąś kontrabandą.

Kilka chwil później wszyscy ujrzeli, co było powodem ostrzeżenia. Pojawił się młody kapłan w białej szacie, a za nim grupa *niezdarna*, nowicjuszy ubranych w białe przepaski biodrowe, których jeden koniec zarzucali na ramię. Chłopcy zabierali ze straganów chleb, owoce i mięso, nie oferując żadnej zapłaty. Żaden ze sprzedających zresztą nie ośmieliłby się o nią upomnieć. *Dama* brali to, na co mieli ochotę, i kupiec, który ceniał własną skórę, nie mógł nic na to poradzić.

Pamiętając los swego ojca, Abban pokłonił się tak nisko, że zaczął obawiać się, czy się zaraz nie przewróci. Amit zauważył to i uderzył w laskę kupca końcem włóczni. Ryknął głośnym śmiechem, gdy ten zachwiał się i padł. *Dama* odwrócił się wówczas, a Abban, czując ciężar spojrzenia, przycisnął twarz do ziemi i zaczął pełzać niczym pies. Amit zaś po

zdrowił *dama* ukłonem pełnym szacunku, a kapłan odpowiedział tym samym.

*Dama* po chwili ruszył dalej, lecz Abban przyciągnął spojrzenie jednego z *nie'dama*, chudziutkiego chłopca w wieku zaledwie dwunastu lat. Chłopak zerknął na Amita, a potem uśmiechnął się z pogardą, patrząc na klęczącego w pyłe Abbana. Mrugnął jednak konspiracyjnie i ruszył w ślad za pozostałymi adeptami.

I wtedy, jak na złość, pojawił się Par'chin.

Pełzanie w pyłe drogi rzadko kiedy bywa bowiem dobrym sposobem na rozpoczęcie negocjacji.



Arlen ze smutkiem spojrzął na klęczącego Abbana. Wiedział, że utrata twarzy zadaje jego przyjacielowi o wiele większy ból niż bicz *dama*. Podziwiał Kra- sjan za wiele rzeczy, ale na pewno nie za traktowanie kobiet i *khaffit*. Żaden człowiek nie zasługiwał na takie poniżenie.

Odwrócił wzrok, by nie patrzeć na Abbana, który dźwigał się na lasce. Młodzieniec przyglądał się z udawanym zainteresowaniem wystawionym świ- cidelkom, które zupełnie go nie obchodziły. Gdy Abban wreszcie stanął i się otrzepał, Arlen pochwycił Porannego Smigacza i ruszył ku niemu, jakby właśnie przybył.

- Par^hin! - zawołał Abban, jakby go dopiero dostrzegł. - Miło cię widzieć, synu Jepha! Pękate juki na twym koniu mówią mi, że podróż zakończyła się powodzeniem!

Arlen wyciągnął wazę mistrza Dravaziego i podał ją kupcowi. Jak zwykle, niechęć i obrzydzenie pojawiły się na twarzy Abbana, zanim się przedmiotowi dobrze przyjrzał. Przypominał w tym starego Wieprza, właściciela składu w Potoku Tibbeta, skąd pochodził młody Posłaniec. Nie wolno było dawać sprzedającemu do zrozumienia, że jest się zainteresowanym kupnem, do chwili zakończenia targów.

- Szkoda. Miałem nadzieję na coś lepszego - rzekł w końcu Abban, choć z tego, co Arlen wiedział, w jego pawilonie nigdy nie było równie pięknego naczynia. - Wątpię, czy dużo za to dostanę.

- Choć raz oszczędź mi tego bajdurzenia - warknął Arlen. - O mały włos demony by mnie rozwłó- czyły przez te michy. Jeśli nie zapłacisz mi porządnie, sprzedam je gdzieś indziej.

- Uraziłeś mnie, synu Jepha! - wykrzyknął Abban. - Przecież to ja dałem ci mapy i instrukcje, które zaprowadziły cię do skarbu!

- Roilo się tam od dziwnych demonów - rzekł Arlen. - To podnosi cenę.

- Dziwnych?

- Były pękate i pomarańczowe jak skała - objaśnił Posłaniec. - Rozmiarami nie przekraczały psa, ale były ich setki.

- Demony gliny - pokiwał głową Abban. - W Baha kad^yera jest ich całe mrowie.

- Na noc, wiedziałeś o nich? - wykrzyknął Arlen. - Wiedziałeś i posłałeś mnie tam nieprzygotowanego?

- Nie mówiłem ci o demonach gliny?

- Nie, na Otchłań, słowem się nie zająknąłeś! - wrzasnął Arlen. - Nie miałem nawet odpowiednich runów ochronnych!

- Co ty chcesz mi przez to powiedzieć? - Abban pobladł. - Przecież nawet głupek wie o demonach gliny.

- Może i tak, pod warunkiem że przyjdzie na świat na cholernej pustyni! - warknął Arlen. - To samo usłyszałem w przeklętych Książęcych Kopalniach po tym, jak o mały włos nie zostałem pożarty przez watahę śnieżnych demonów. Powinienem teraz zabrać całą zdobycz na północ, do Fortu Rizon, choćby tylko po to, żeby ci zrobić na złość!

- Och, przecież nie ma potrzeby, Par'chin! - zawołał jakiś głos. Arlen odwrócił się i ujrzał *dalSharum* kuszykającego przez ulicę. Nie znał go, ale nie dziwił się temu, że wojownik zna jego. Większość *dalSharum* przynajmniej słyszała o Par'chin, jeśli nie poznała go osobiście.

Słowo *chin* oznaczało „człowiek z daleka” lub „przybysz”, ale w rzeczywistości stosowane było zamiennie z „tchórz” i „słabeusz”. Wedle krasjańskiej filozofii ktoś obdarzony mianem *chin* znajdował się w hierarchii jeszcze niżej od *khaffit*. Wyrażenie „Par'chin” jednakże tłumaczyć należało jako „odważny przybysz”, a był to honorowy tytuł noszony jedynie przez Arlena, pierwszego człowieka z zielonych krain, który poznał zasady panujące w Pustynnej Włóczni i walczył u boku *dalSharum* w *alagalsharak*.

- Pozwól, że się przedstawię - rzekł obcy po krasjańsku i uścisnął przedramię Arlena w trądy-

cyjnym pozdrowieniu wojowników. Nie mówił językiem Północy jak Abban, ale Arlen, w przeciwieństwie do większości Posłańców, płynnie mówił po krasjańsku. - Jestem Amit asu Samere am'Rajith am'Majah. Opowiedz mi o zawodzie, jaki sprawił ci ten żalony *khaffit*, a ja zaproponuję cenę lepszą, niż jemu w ogóle by do głowy przyszła.

Abban pochwycił ramię Arlena.

- Powiedz mu, że ukradłeś naczynia z poświęconej ziemi, Par'chin - odezwał się w mowie Północy - a wieczorem przywiąż nas do pali na mu-rach miasta.

- *Khaffit!* - warknął Amit. - To szczyt nieuprzejmości mówić w barbarzyńskim języku w towarzystwie mężczyzn.

- Przyjmij me tysięczne przeprosiny, szlachetny *dal'Sharum* - uklonił się Abban i cofnął, by wojownik nie mógł go znów przewrócić.

- Nie chcesz chyba przebywać w towarzystwie tego nędznego wieprzozada - ciągnął Amit do Arlena. - Przecież walczyłeś wraz z nami w nocy! Interesy z *khaffit* są poniżej twojej godności! Ja zaś, podobnie jak ty, mam na dłoniach juchę demonów! Dwanaście ich ubiłem, niech nigdy słońca nie ujrzę, jeśli kłamię! Dwanaście, nim straciłem nogę.

- Aha! - mruknął Abban w języku Arlena. - Ostatnio było ich tylko pół tuzina. Najwidoczniej wciąż pomnaża swe zasługi.

- Ejże, cóżeś tam powiedział, *khaffit*? - zapytał Amit. Nie zrozumiał ani słowa, ale przypuszczał, iż była to zniewaga.



- Nic takiego, czcigodny *dalSharum* - odparł Abban i uklonił się nisko, zadowolony z siebie.

Amit uderzył go w twarz.

-Już ci mówiłem, że to twoje barbarzyńskie pochrząkiwanie nam ubliża - warknął. - Przeprós Par'chin!

Arlen miał już tego dość. Grzmotnął włócznią o ziemię i rozwścieczony natarł na kupca.

- Chcesz, by inny człowiek przeprosił mnie za to, że mówi do mnie w moim własnym języku? - ryknął i pchnął Amita tak mocno, że ten upadł. Spojrzenie *dalSharum* stwardniało, a dłoń zacisnęła się na włóczni. Był już gotów zerwać się i rzucić do walki, gdy jego spojrzenie omiotło silne nogi Arlena, a potem zerknął na własny kikut. Zacisnął zęby i uklonił się.

- Przyjmij me przeprosiny, Par'chin - cedził słowa, jakby każde z nich paskudnie smakowało. - Nie miałem zamiaru cię obrazić.

System kastowy rządził się surowymi zasadami. Amit powitał Arlena jako wojownika i towarzysza broni, lecz wśród wojowników również panowała hierarchia, w której ramach silni byli znaczniejsi od słabych. Przez swe kalectwo Amit wylądował na samym dole owego porządku i dla silnego wojownika niewiele się różnił od *khaffit*. Nic więc dziwnego, że uczynił bazar swym nowym domem.

Arlen wycelował włócznią w Amita.

- Dobrze się zastanów, nim po raz drugi obrazisz mą ojczyznę - powiedział cicho, lecz w jego głosie czaiła się groźba. - Bo w przeciwnym razie spryskam pył ulicy twą krwią.



Oczywiście nie miał najmniejszego zamiaru robić niczego takiego, ale Amit nie musiał tego wiedzieć. Szacunek *dalSharum* można było uzyskać tylko przez pokaz siły.

Abban ujął Arlena pod ramię i szybko zaprowadził go do swego pawilonu, nim incydent zdołał się przerodzić w coś poważniejszego.

- Ha! - zawołał, gdy znaleźli się w środku i ciężkie poły namiotu opadły za ich plecami. - Amit będzie mnie za to prześladował przez miesiąc, ale było warto, wierz mi. Za to, co właśnie ujrzałem, gotów jestem znieść każdy cios i każdą zniewagę.

- Żałuję, że musisz znosić takie traktowanie - Arlen po raz tysięczny wyraził swą opinię. - Nie powinieneś czegoś takiego doświadczać. To nie w porządku!

Abban zbył go jednak machnięciem ręki.

- W porządku czy też nie, tak jest ten świat zbudowany, Par'chin - stwierdził. - Być może w twojej ojczyźnie inaczej się traktuje ludzi mi podobnych, ale w Pustynnej Włóczni mógłbyś równie dobrze prosić słońce, by nie grzało tak mocno.

W namiocie Abbana panował jednak chłód. Natychmiast pojawiły się kobiety, które zdjęły zakurzone szaty Arlena oraz jego buty i wręczyły mu czyste ubranie. Ułożyły dla mężczyzn poduszki i przyniosły dzbany wody, parujące filiżanki herbaty oraz misy mięsa i owoców. Po poczęstunku Abban wyciągnął butelkę oraz dwa niewielkie gliniane kubki.

- No, Par'chin, napij się ze mną - powiedział. - Wyciszmy emocje i rozpocznijmy nasze spotkanie na nowo.

Arlen spojrział na kubeczek z powątpiewaniem, ale wzruszył ramionami i upił nieco.

W sekundę później wypluł to, co upił, i łapczywie sięgnął po dzban z wodą. Abban wybuchnął śmiechem.

- Chcesz mnie otruć? - zawołał Arlen, ale gniew natychmiast go opuścił, gdy ujrzał, jak gruby kupiec unosi własny kubek i opróżnia go jednym łykiem. - Cóż to za paskudztwo, na Otchłań? - zapytał.

- To couzi - rzekł Abban. - Alkohol z przedestylowanych, sfermentowanych ziaren i cynamonu. Na Everama, Par'chin, tyle beczek couzi przewiozłeś przez pustynię i nawet nie spróbowałeś?

- Nie pijam swego ładunku - odparł Arlen. - Smakuje zresztą bardziej jak splunięcie ognistego demona niż napój z cynamonu.

- Fakt, można nim napełnić lampę olejną - zgodził się z uśmiechem Abban, po czym napełnił kubek i podał Arlenowi. - Pierwszą porcję lepiej wypić na raz, szybciotko - poradził, nalewając sobie. - Przy trzeciej będziesz już czuł tylko cynamon.

Arlen wychylił zawartość i niemal się udusił. W gardle paliło go, jakby właśnie napił się gotującej wody.

- To ci dopiero napój z Otchłani - sapnął, ale pozwolił Abbanowi napełnić kubek kolejną porcją.

- *Damaji* zgodziliby się z tobą, Par'chin - powiedział. - Wedle prawa Everama couzi jest nielegalne, ale nam, *khaffit*, wolno je pędzić i sprzedawać *chin*.

- I zostawiać trochę dla siebie - stwierdził Arlen.

- Couzi lepiej sprzedaje mi się tu niż w zielonych krainach, Par'chin - parsknął Abban. - Wystarczy mała buteleczka, by najpotężniejszemu mężczyźnie zakręciło się w głowie, a do tego bez trudu można je przemycać pod nosami *dama*. *Khaffit* piją couzi wiadrami, a *dalSharum* popijają je w Labiryncie dla odwagi. Nawet kilku *dama* dało się skusić.

- Nie sądzisz, że zapłacisz za to po śmierci? - spytał Arlen. Zawartość kolejnego kubka spłynęła do żołądka nieco łagodniej. - W końcu sprzedajesz kapłanom zakazany napój.

- Gdybym wierzył w te wszystkie religijne bzdury, wierzyłbym i w to, Par'chin. Dobrze się więc składa, że nie wierzę.

Arlen przechylił naczynie po raz trzeci. Jego gardło przywykło już do piekącego smaku napoju i wreszcie miał okazję rozkoszować się cynamonem. Dziwił się, że nie udało mu się go wykryć wcześniej. Miał wrażenie, że jego ciało unosi się nad wyszywanymi, jedwabnymi poduszkami, na których spoczywał. Abban również wydawał się podobnie rozluźniony i gdy w butelce pojawiło się dno, śmiali się już z byle czego i klepali po plecach.

- Dobrze, skoro znów jesteśmy przyjaciółmi, czy możemy wrócić do interesów? - spytał Abban.

Arlen pokiwał głową i przyglądał się, jak Abban podnosi się chwiejnie, a potem niepewnym krokiem podchodzi do bahańskich naczyń, które jego kobiety zdjęły z grzbietu Porannego Smigacza i wniosły do środka. Oczywiście na twarzy Abbana natychmiast pojawiła się wystudiowana obo

jętność, co oznaczało, że kupiec zaraz zacznie się targować.

- Większość z tego, co przywiozłeś, nie została wykonana przez Dravaziego - rzekł.

- W warsztacie mistrza niewiele zostało - skłamał Arlen. - Poza tym, zanim przejdziemy do kwestii zapłaty, musimy porozmawiać o twoim braku szczerości, jeśli chodzi o niebezpieczeństwa czyhające na szlaku.

- A cóż to ma za znaczenie? - spytał Abban. - Wyszedłeś z tego jak zwykle bez szwanku.

- Otóż ma znaczenie, bo zapewne nigdzie bym się nie wybrał, gdybym wiedział, że roi się tam od demonów, na które nie mam skutecznych runów! - warknął Arlen.

Abban jednakże tylko parsknął i machnął dłonią.

- A cóż miałbym za interes w okłamywaniu cię, synu Jepha? - zapytał. - Jesteś przecież Par'chin, śmiałkiem, który zapuszcza się wszędzie! Gdybym powiedział ci o demonach gliny, jedynie umocniłbym w tobie postanowienie, by udać się w to miejsce i splunąć potworom między oczy!

- Pochlebstwa nic ci nie dadzą, Abban - rzekł Arlen, choć oszołomiony couzi odkrył, że komplement bardzo mu się podoba. - Musisz się bardziej postarać.

- A co Par'chin sobie życzy? - spytał Abban.

- Chcę grymuar z runami broniącymi przed demonami gliny.

- Załatwione - rzekł Abban. - I to za darmo. To mój dar dla ciebie, przyjacielu.

Arlen uniósł lekko brwi. Runy były cennym towarem, a Abban nie miał w zwyczaju obsypywać nikogo darami.

- Nazwij to inwestycją, jeśli chcesz - ciągnął Abban. - Nawet zwykłe bahańskie naczynia mają swą wartość. Wystarczy też napomknąć o niebezpieczeństwach związanych ze zdobyciem przedmiotu, a kupujący natychmiast odniesie wrażenie, że nabywa coś rzadkiego.

Spojrzał na Arlena.

- W wiosce jest tego więcej?

Posłaniec pokiwał głową.

- Cóż - rzekł Abban. - Nie ma sensu, byś się dał zabić, zanim wszystko tu przywieziesz.

- Trudno nie przyznać ci racji - rzekł Arlen. - Ale tak czy owak, jak ty możesz po prostu coś takiego podarować? Czy prawo w ogóle nie zakazuje ci nawet dotykania ksiąg z runami?

Abban zachichotał.

- Dla *khaffit* niemal wszystko jest zakazane, Par'chin. Tak, *dama* uważają, że kreślenie runów to święte zajęcie, i bacznie strzegą, by arkana tej sztuki pozostały tajemnicą.

- Ale powiedziałeś, że zdobędziesz dla mnie grymuar.

- I to tuż pod nosami *damal* - zaśmiał się Abban i niespodziewanie strzelił palcami tuż przed nosem Arlena. Ten, całkiem nietrzeźwy, zakołysał się i padł w poduszki. Obaj ryknęli śmiechem.

- Jak chcesz tego dokonać? - nie poddawał się Posłaniec.

- Cóż, mój przyjacielu... - Abban pogroził mu palcem. - Prosisz mnie, bym zdradził ci zbyt wiele sekretów mej profesji.

-A niech cię! Mapa do Baha okazała się nieprecyzyjna! Droga trwała o dobry dzień dłużej! Jeśli mam zawierzyć mapom i runom, które mi dajesz, muszę wiedzieć, czy są one sprawdzone!

Abban przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem wzruszył ramionami i usiadł obok Arlena. Strzelił palcami, a wtedy jedna z jego odzianych na czarno kobiet wniosła kolejną butelkę couzi. Uklękła, by napełnić ich kubeczki, i wyszła. Arlen i Abban stuknęli się naczyniami i wypili ich zawartość.

Kupiec pochylił się ku Posłańcowi.

- Powiem ci to, Par'chin - szepnął - nie dlatego, że jesteś dla mnie cennym klientem, lecz dlatego, że jesteś moim prawdziwym przyjacielem. Par'chin zawsze traktował niegodnego *khaffit* jak mężczyznę.

- Przecież jesteś mężczyzną - zachnął się Arlen i ponownie napełnił naczynie.

Abban pochylił głowę z wdzięcznością i znów się przybliżył.

- To mój siostrzeniec, Jamere - zwierzył się Posłańcowi. -Jego ojciec był *dalSharum*, lecz umarł, gdy chłopiec wciąż był w pieluchach. Rodzina cierpiała nędzę, więc siostra wróciła do mego pawilonu i wychowała dziecko tu, na bazarze. Niedawno osiągnął pełnoletność i został zabrany, by wybrać sobie ścieżkę życia, ale jest mizernym, wątłym chłopcem i nie wywarł dobrego wrażenia na in

struktorach *dalSharum*. Zaimponował natomiast *dama* swoim sprytem i został wzięty na akolitę.

- Był jednym z *nie'dama* na targowisku, tak? - spytał Arlen, a Abban pokiwał głową.

- Jamere kształci się, by zostać kapłanem - ciągnął Abban - ale jest skorumpowany do szpiku kości, a jego wiara jest jeszcze słabsza od mojej. Z radością skopiuje lub ukradnie każdy pergamin ze świątyni. Wystarczy, jak mu powiem, że jest na niego kupiec i czeka udział w zyskach.

- Każdy pergamin? - spytał Arlen.

- Każdy - pochwalił się Abban i znów strzelił palcami. - Cóż, jakby się postarał, mógłby nawet skopiować mapę do zaginionego Słońca Anocha!

Serce Arlena zamarło. Słońce Anocha było starożytnym centrum władzy Kajiego, człowieka, którego Krasjanie czcili jako pierwszego Wybawiciela. Mniej więcej trzy tysiące lat temu Kaji podbił cały znany świat, zarówno pustynię, jak i leżące za nią zielone krainy, po czym zjednoczył ludzkość w walce przeciwko otchłāncom. Uzbrojeni w runiczną broń wojownicy wyrznęli tyle otchłānców, że przez wiele stuleci wierzono, iż demony całkiem wyginęły i noc na powrót należy do ludzi.

Okazało się jednak, że w boskich planach było to jedynie drobne zwycięstwo. Demony uciekły do Otchłāni, gdzie nikt nie mógł się udać za nimi, i tam czekały. Czekały, aż ich wrogowie na powierzchni zestarzeją się i umrą. Czekały, aż umrą ich dzieci, a potem dzieci ich dzieci. Obdarzone nieśmiertelnością demony czekały, aż ludzkość zapomni o ich

Peter V. Brett

istnieniu, aż staną się jedynie mitem, a starożytne symbole mocy, które wykorzystano w wojnie przeciwko nim, będą już tylko zapomnianymi elementami folkloru.

Czekały i mnożyły się. Kiedy w końcu wróciły, zabrały wszystko, co utraciły, i o wiele więcej.

Podstawowe runy zakazu i ochrony zostały odnalezione w porę, by ocalić kilka skupisk ludzkości, ale starożytne runy walki Kajiego, symbole, które mogły zamienić każdą broń w potężny oręż i zadać demonom śmiertelne rany, zostały utracone. Arlen spędził lata na poszukiwaniu jakichkolwiek śladów po zaginionych znakach, ale jak dotąd nie odnalazł nawet dowodu, że w ogóle istniały.

Niemniej jeśli znajdowały się one gdziekolwiek, były na pewno w Słońcu Anocha. Podczas modlitwy Krasjanie klękali zwrócenii twarzą na południowy zachód, gdzie rzekomo leżało zaginione miasto. Arlen już dwukrotnie usiłował je odnaleźć, ale na przeszkodzie stały tysiące mil kwadratowych pustyni i za każdym razem miał wrażenie, jakby poszukiwał pojedynczego ziarenka w burzy piaskowej.

- Zdobądź dla mnie mapę do Słońca Anocha - rzekł Arlen - a oddam ci cały ten ładunek naczyń za darmo. Jak chcesz, to nawet przywiozę ci kolejny wóz.

Abban otworzył szeroko oczy, a potem wybuchnął śmiechem i pokręcił głową.

- Przecież wiesz, że żartowałem, Par'chin - powiedział. - Zaginione miasto Kajiego to mit.

- Nie, to nie mit - rzekł Arlen. - Czytałem o nim w książkach historycznych w Książęcej Bibliotece



w Forcie Miln. To miasto istnieje lub przynajmniej istniało w przeszłości.

Abban zmrużył oczy.

- Założmy więc, że masz rację, a ja zdobywam dla ciebie mapę prowadzącą do świętego miasta. Gdyby *dama* się dowiedzieli, że się tam udałeś, marny by był nasz los.

- A czym wyprawa do Słońca Anocha różniłaby się od ekspedycji do Baha kad'Everam? - spytał Arlen. - Czy to nie ty powiedziałeś, że jeśli zostaniemy złapani na poszukiwaniu naczyń w ruinach, czeka nas kara śmierci?

- Różni się jak dzień od nocy, Par'chin - rzekł Abban. - Baha to zwykła dziura, gówniana wioska pełna *khaffit*. *DalSharum* odtańczyli *alagalsharak*, by poświęcić groby jej mieszkańców tylko dlatego, że tak nakazuje prawo. Trzeba dać zmarłym szansę odrodzenia się w wyższej kaście. Poza tym wyroby Dravaziego znajdują się w każdym pałacu w Krasji. Nikt poza zapalonymi pasjonatami nie zauważy kilku nowych waz na rynku. Słońce Anocha jednakowoż to najświętsze miejsce na świecie. Jeśli ty, *chin*, dopuściłbyś się grzechu znieważenia go, każdy mężczyzna, kobieta i dziecko w Krasji zapragnęliby twojej głowy. Każdy wywieziony stamtąd artefakt wywołałby zaś wiele pytań.

- Nie mam zamiaru niczego znieważać! - powiedział Arlen. - Przez całe życie badam tajemnice świata starożytnego i jestem pewien, że każde znalezisko potraktuję z większym szacunkiem niż ktokolwiek inny.

Peter V. Brett

- Samo to, że postawisz stopę w świętym miejscu, będzie zniewagą, Par'chin - rzekł Abban.

- Gówno prawda - warknął Arlen. - Nikt tam nie dotarł od tysięcy lat, od czasów, gdy w skład imperium Kajiego wchodziła zarówno moja ojczyzna, jak i twoja. Mam takie samo prawo tam wejść jak każdy inny człowiek.

- Niewykluczone, że masz rację, Par'chin - rzekł Abban. - W Krasji jednak mało kto się z tobą zgodzi.

- Gdzieś to mam. - Arlen spojrzał Abbanowi w oczy z zawziętością. - Załatw mi tę mapę albo zabiorę wyroby Dravaziego na północ i zacznę sprzedawać towary innym kupcom na bazarze.

Abban odwzajemniał spojrzenie przez dłuższą chwilę, a Arlen niemalże słyszał, jak stukają paciorki liczydła w jego głowie, gdy obliczał straty w wyniku zerwania układów z Arlenem. Niewielu Posłańców kwapiło się, by stawić czoła niebezpieczeństwu krasjańskiej pustyni. Arlen zaś przybywał do Pustynnej Włóczni trzy razy częściej od innych i mówił w lokalnym języku na tyle dobrze, by móc zacząć interesy z kimkolwiek.

- Dobrze, Par'chin - rzekł w końcu Abban. - Niemniej jeśli sprawa wyjdzie na jaw, ja umyvam ręce. Nie mam zamiaru obracać artefaktami ze Słońca Anocha.

Zaskoczyło to Arlena. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by Abban przepuścił okazję, by się wzbogacić.

Głupiec to ten, który zna prawdę, a mimo to pcha się w tarapaty, odezwał się głos ojca.

Arlen odepchnął obcą myśl. Zew zaginionego miasta był zbyt silny i zdecydowanie wart każdego ryzyka.

- Nie pisnę ani słowa - obiecał.

-Jeszcze dziś wieczór pošę wiadomość do mego siostrzeńca - rzekł Abban. - Co noc przychodzi do mnie pewien *dama* niskiej rangi. Daję mu *couzi*, a on w zamian przekazuje informacje chłopcu. Jutro dowiemy się, ile trwa przepisanie potrzebnych tekstów, a także gdzie i kiedy będziemy mogli dokonać wymiany. Będziesz musiał udać się ze mną, Par'chin. Nie chcę, by nielegalnie pozyskana mapa do Słońca Anocha w ogóle znalazła się w moim namiocie.

- Zrobię wszystko, o co prosisz, przyjacielu. - Arlen skinął głową.

- Mam nadzieję, że mówisz poważnie - odrzekł Abban.



- Będziemy musieli przebrać się w to - powiedział Abban, podając mu czarne szaty *dalSharum*. Arlen spojrział nań ze zdziwieniem. Czasami walczył u boku *dalSharum* w Labiryncie, ale nigdy nie pozwolono mu założyć czarnych szat, a Abban...

- Co się stanie, jeśli złapią nas w tych strojach? - spytał.

Abban pociągnął z butelki i podał ją Arlenowi.

- Lepiej nawet o tym nie myśleć - wyznał. - Wymiana będzie miała miejsce w nocy i szaty pozwolą

Peter V. Brett

nam się lepiej ukryć w ciemnościach. Jeśli ktoś nas dostrzeże, unikniemy rozpoznania dzięki przesłonom na twarzach. Pozostaniemy nierozpoznani dopóty, dopóki ktoś nas nie dogoni.

Arlen z powątpiewaniem przyjrzał się chromej nodze Abbana, ale nie odezwał się ani słowem.

- Wychodzimy w nocy? - zapytał. - Czy nie jest to zabronione prawem Ewejah?

- A przekłete przez Nie transakcje nie są, Par'chin? - parsknął Abban, znów pochwycił za butelkę z couzi i pociągnął tego. - Miasto jest dobrze chronione. Najstarsi ludzie nie pamiętają żywego demona na ulicach Krasji.

- Dla mnie akurat to nie ma znaczenia - wzruszył ramionami Arlen.

- Pewnie - mruknął Abban i znów się napił. - Par'chin niczego się nie boi.

Zaczekali na zachód słońca, a potem narzucili na siebie czarne szaty wojowników. Arlen przejrzał się w jednym z licznych luster Abbana i z zaskoczeniem odkrył, że po nałożeniu odrobiny makijażu wokół oczu i uniesieniu przesłony wygląda zupełnie jak krasjański *dalSharum*, choć nie dorównywał przeciętnemu wojownikowi wzrostem.

Abban z kolei nie prezentował się przekonująco. Był co prawda należycie wysoki, ale pozbawiony laski opierał się ciężko na włóczni, a okazałe brzuszysko stanowiło jaskrawy kontrast ze szczupłymi ciałami wojowników.

Kiedy zapadły ciemności, uchylili połę namiotu i wyrzeli na ulicę. Z dali dobiegała muzyka ro

gów sygnałowych *dalSharum* oraz łomot ich kata-pult. Arlen zamarzył, by stanąć u boku walczących.

Wszędzie byłbyś bezpieczniejszy niż tu, rzekł głos w głowie i choć raz Arlen nie mógł się nie zgodzić. *Alagalsharak* było czystym szaleństwem, co prawda pięknym, ale bez runów wojennych wciąż tylko szaleństwem. Niemniej zwyczaje panujące na północy - tchórzliwe kulenie się za barierami - nie miały wiele więcej sensu. Na południu zabijano ciała, na północy zabijano dusze. Ten świat potrzebował trzeciego rozwiązania, które przynieść mogły jedynie starożytne runy.

Jechali na miejsce spotkania niewielkim wozem zaprzężonym w wielbłąda. Kopyta wielbłąda oraz koła wozu opleciono miękką skórą, by uniknąć hałasu, i nad zakurzonymi ulicami z piaskowca niósł się tylko cichy szelest. Nie ośmielili się również zapalić ognia, lecz gwiazdy na nocnym niebie były wystarczająco jasne. Co rusz widać było runy Labiryntu, których blask przesywał ciemności na podobieństwo błyskawicy i opromieniał na moment świat.

- Spotkamy się z Jamere w Sharik Hora, świątyni Kości Bohaterów - rzekł Abban. - Nie wolno mu oddalać się od celi dla akolitów.

Arlen stłumił chwilowe poczucie winy. Gigantyczna Sharik Hora była zarówno świątynią, jak i cmentarzem, gdyż w całości wzniesiono ją z kości *dalSharum*, którzy zginęli w *alagalsharak*, a spoiwo rozrabiano ich krwią. Kości oraz skóra wojowników posłużyły również za materiał, z którego wykonano wnętrza. Setki tysięcy, być może nawet miliony

wojowników oddały życie za ideały, a ciała na ściany i kopułę budowli.

W całym Forcie Krasja nie było świętszego miejsca od Sharik Hora, a Arlen zakradał się tutaj jak złodziej. Jak to czynił w Baha kad'Everam. Jak miał zamiar uczynić to w Słońcu Anocha.

Czy tym właśnie jestem? - zapytał się w duchu. Złodziejem? Rabusiem grobów? Człowiekiem bez honoru?

Mało brakowało, a poprosiłby Abbana, by zawrócili. Pomyślał jednak o ogromnej świątyni, o tym, że *dalSharum* nie są już w stanie zapełnić wszystkich miejsc, bo wojna na wyczerpanie zbierała w szeregach wojowników krwawe żniwo. A wszystko przez to, że grupa Świętych Mężów skąpi innym wiedzy. Opiekunowie na północy zachowywali się w podobny sposób i Arlen nigdy się nie wahał przed łamaniem narzuconych przez nich zasad.

To tylko kopie, napomniał sam siebie. Ja niczego nie kradnę, jedynie zmuszam ich, by się podzielili.

Ale to nadal nie w porządku, odezwał się ojciec.

Zostawili wóz w alejce dwie przecznice dalej i pokonali resztę drogi pieszo. Ulice były całkowicie wymarłe. Gdy zbliżyli się do świątyni, Abban przywiązał kolorową szmatę do końca włóczni i pomachał nią kilkakrotnie w powietrzu. W chwilę później podobną szmatą zamachano z okna na drugim piętrze.

- Tędy, szybko! - rzekł Abban i pokuszykał w kierunku okna najszybciej jak mógł mimo chromej nogi.  
- Jeśli przyłapią Jamere poza celą...

Nie dokończył, ale Arlen bez trudu mógł się domyślić ciągu dalszego.

Przypadli do ściany budynku i przywarli do niej plecami. Z okna wysunęła się cienka jedwabna lina. Chłopak, który po niej zszedł, był drobny i chudziutki, ale poruszał się z gracją i płynnością wojownika. *Dama* byli mistrzami brutalnej krasjańskiej sztuki walki bez broni zwanej *sharusahk*. Arlen uczył się jej zasad od najlepszych nauczycieli pośród *dalSharum*, ale w przypadku wojownika sztuka ta stanowiła jedynie element treningu, *dama* zaś poświęcali jej doskonaleniu całe życie. Arlen nie widział żadnego w walce - nikt nie był na tyle głupi, by zaatakować *dama* - ale widział, jak się poruszali. Zawsze zachowywali idealną równowagę, nigdy nie zarzucali czujności. Posłaniec nie wątpił, że w sztuce zabijania kapłani osiągnęli mistrzostwo.

- Mam tylko krótką chwilę, wuju - rzekł chłopiec i wcisnął Abbanowi w dłoń skórzaną sakwę. - Chyba ktoś mnie usłyszał. Muszę wracać, nim zostanę przyłapany. Ktoś może sprawdzić cele nowicjuszy.

Abban wyciągnął ciężką, pobrzękującą sakiewkę, ale chłopak uniósł dłoń.

- Później - rzucił. - Nie chcę tego mieć przy sobie, jeśli zostanę złapany.

- Na czarne serce Nie - mruknął Abban. - Uciekamy!  
- powiedział do Arlena i podał mu sakwę. - Oddam forszę twojej matce, Jamere!

- Ani się waż! - syknął chłopak. - Wiedźma wszystko skradnie! Przyjdę później i lepiej, byś miał pieniądze na wierzchu!

Złapał za linę, ale nim zaczął się wspinać, w oknie nad nimi zamigotało światło i rozległ się krzyk:

- Lina! Widzę linę!

- W nogi! - szepnął ochryple Abban i wspierając się na włóczni, pokuszywał przed siebie z zadziwiającą prędkością. Arlen pognął za nim, a gdy odziany na białą *dama* wychylił się przez okno i dostrzegł ich, chłopak popędził za nimi, ciskając krasjańskimi przekleństwami tak szybko, że Arlen nie był w stanie ich zrozumieć.

- Hej, tam! - krzyknął kapłan. - Stać!

W oknach świątyni pojawiły się inne światła, a *dama* przeskakiwali przez parapety, nie dostrzegając potrzeby korzystania z liny. Jeden z kapłanów padł na chodnik z piaskowca, przetoczył się i wykorzystując pęd upadku, zerwał na równe nogi i pognął za intruzami.

- Zatrzymajcie się i zmierzcie ze sprawiedliwością Everama! - wrzasnął.

Trzej uciekinierzy wiedzieli jednak, że „sprawiedliwość Everama” oznacza jedynie szybką śmierć, więc tylko przyśpieszyli. Później skręcili za róg, przez co goniący ich *dama* stracił ich z oczu.

Kuszykający, zasapany Abban opóźnił ucieczkę. Nagle potknął się, padł na kolana i upuścił włócznię. Spojrzał na Arlena przerażonymi oczami.

- Nie zostawiajcie mnie! - powiedział błagalnym tonem.

- Nie bądź idiotą. - Arlen złapał go za ramię i szarpnięciem postawił na nogi. - Zaciągnij go do wozu - poleciał Jamere. - Ja opóźnię *dama*.



- Nie, ja się tym zajmę - przerwał mu Jamere. - Potrafię...

- Słuchaj starszych, chłopcze! - nakazał Arlen i ze zdumieniem uświadomił sobie, że użył jednego z powiedzonek swego ojca. Chwycił chłopaka za ramię i pchnął go do Abbana. *Niezdarna* spojrzał na Posłańca, jakby ten postradał zmysły, ale Arlen smagnął go jedynie ostrym spojrzeniem. Chłopak skinął więc głową i złapał wuja pod ramię.

Arlen zaś skrył się w cieniu, niewidzialny dzięki czarnym szatom. Zarzucił sakwę na ramię. Jeśli ktoś miał zostać złapany z dowodami przestępstwa, wołał, by był to tylko on.

No, to wpakowałeś się w niezłe bagno, podsumował głos w głowie.

*Dama* wybiegł z za rogu, lecz mimo to nie dał się zaskoczyć i płynnie uchylił się, unikając kopnięcia, które trafiłoby go bezpośrednio w splot słoneczny. Przetoczył się i nagle poderwał, a jego sztywne palce trafiły Arlena prosto w nadgarstek.

Dłoń Arlena zesztyniała, włócznia wypadła z odrętwiałych palców, a *dama* przykucnął, próbując podciąć go kopnięciem. Arlen rzucił się w tył i przetoczył, aż mógł skoczyć na równe nogi. *Dama* natarł na niego niczym odziany na biało upiór śmierci.

Tym razem starli się jak równy z równym. Przez chwilę Arlen sądził, że może ma szansę na zwycięstwo, ale wkrótce się przekonał, że *dama* sprawdza tylko jego możliwości. Niespodziewanie uchylił się przed jednym z kopnięć Arlena, zawirował i trafił go mocno pięścią w gardło.

Arlen wielokrotnie bywał w sytuacjach, kiedy uderzenie pozbawiło go tchu, ale nijak się to miało do efektu wywołanego ciosem *dama*. Kapłan jednym uderzeniem uwięził powietrze w płucach Arlena i Posłaniec nie był w stanie nawet odetchnąć. Zataczał się, dusząc i dławiąc, a wtedy *dama* wymierzył mu niemalże leniwego kopniaka, który wypchnął z płuc resztki powietrza przez zmiażdżoną tchawicę i rzucił młodzieńca w pył ulicy.

Zwijający się w konwulsjach Posłaniec słyszał innych *dama*, nadchodzących od Sharik Hora, widział też ich migoczące lampy. Usiłował się podnieść, lecz bezlitosny *dama* już stał przy nim.

- Kim byli twoi wspólnicy, sługusie Nie? - zapytał. - Jeśli podasz mi imiona tego kulawego oraz chłopca, obiecuję ci śmierć bez męczarni.

Arlen napiął mięśnie, chcąc znów rzucić się do ataku, ale *dama* wybuchnął śmiechem.

-Twe umiejętności są żałosne, głupcze. Tylko przedłużysz sobie męki.

Arlen wiedział, że kapłan ma w *sharusahk* bezwzględną przewagę. Walka jednak polegała na czymś więcej niż tylko dążeniu do perfekcji. Walka polegała na wygrywaniu za wszelką cenę.

Złapał garść piachu z ulicy i rzucił nim prosto w twarz *dama*, a gdy ten wykrzyknął i podniósł ręce do oczu, z całej siły kopnął go w kolano. Rozległ się satysfakcjonujący trzask, a *dama* z wrzaskiem padł na ziemię.

Arlen podniósł się z trudem i popędził w ślad za Abbanem i jego siostrzeńcem. Byli już na wozie

i ledwie Poślaniec wskoczył do środka, gruby kupiec zaciął i popędził wielbłąda.

Daleko za wozem pół tuzina kapłanów z pochodniami rzuciło się w pościg, co do jednego poruszając się z tą samą nieprawdopodobną gracją i prędkością.

Abban okładał nieszczęsnego wielbłąda bez litości. Powoli zwiększała się odległość od prześladowców, gdyż zwierzę potrafiło biegać szybciej niż człowiek. Arlen zaczął już myśleć, iż może uda się uciec, kiedy wóz podskoczył na wyboju i jedno z kół roztrzaskało się na kawałki. We trójkę wylądowali na ziemi, a wielbłąd zatrzymał się, ciężko dysząc.

- Niech was Otchłań wessie! - syknął Jamere. - Nie mam zamiaru zginąć za *chin* i *khaffitl*

Skoczył na równe nogi i pognął do *dama*.

- Litości, ach, litości! - krzyknął i runął na kolana przed nimi. - Złapali mnie! Byłem zakładnikiem!

Arlen nie miał zamiaru się temu przyglądać.

- Dalej! - krzyknął i wepchnął Abbana na wielbłąda, a sam wyciągnął zakrzywiony nóż, by poprzecinać skórzaną uprząż, która łączyła zwierzę ze strzaskanym wozem. Gdy końce ostatniego rzemienia opadły, wsunął stopę w strzemień, złapał za łęk i chlasnął wielbłąda płazem przez zad. Ten zary- czał głucho i zerwał się do biegu, zostawiając krzyki *dama* daleko za sobą.



- Zabierz te księgi i ruszaj stąd o brzasku, Par'chin - rzekł Abban. - Opuść miasto, a ja prze-

kupię strażników. Będą przysięgać, że wyjechałeś przed tygodniem.

- A co z tobą? - zapytał Arlen.

- Będę bezpieczniejszy, kiedy znikniesz i wywieziesz dowody przestępstwa - odparł kupiec. - Jame- re powie, że nie mógł nas rozpoznać przez zasłony na twarzach, a w sytuacji, gdy nie ma dowodów, kilka łapówek wręczonych odpowiednim osobom skieruje tok śledztwa w ślepy zaułek.

Arlen pokiwał głową i uklonił się lekko.

- Dziękuję, przyjacielu - powiedział. - Przykro mi, że spowodowałem tyle zamieszania.

- Mnie też jest przykro. - Abban klepnął go w ramię. - Powiniennem cię ostrzec przed niebezpieczeństwami czyhającym w Baha kad'Everam. Umówmy się, że nasze rachunki są wyrównane.

Uścisnęli sobie dłonie i Arlen wyruszył w noc.

O świcie powrócił do swej kwatery, udając, że brał udział w *alagai'sharak*. Nikt nie zadawał żadnych pytań - Arlen bez przeszkód zebrał swój dobytek i wyjechał z Fortu Krasja, nim większość mieszkańców opuściła Podmiasto. *DalSharum* przy bramach pożegnali go nawet, unosząc włócznie.

Przez cały ten czas nie wypuszczał tuby z cennymi mapami. Obiecał sobie, że uda się do Fortu Rizon, dokupi zapasów, a potem odnajdzie Słońce Anocha.

## D

Po bazarze poniósł się syk, którym kupcy ostrzegali się przed nadejściem *dama*.

Abban pospiesznie schował się w namiocie i wyjrzał przez wąską szczelinę. Jego oczom ukazała się grupa odzianych na czarno *dalSharum*, spychających ludzi na boki i eskortujących grupę rozwścieczonych *dama* oraz młodziutkiego, chudego akolity. Abban zacisnął mocniej palce na płótnie, gdy patrzył, jak idą ulicą i zatrzymują się przed jego pawilonem.

Amit podszedł do przybyłych, kuszykając, i pochylił lekko głowę.

- Przybyliście wreszcie po tego *khaffit*? - spytał jednego z wojowników. - Bez względu na to, co waszym zdaniem zrobił, zapewniam was, że to najmniejsza z jego zbrodni...

Nie dokończył, gdyż *dalSharum* grzmotnął go tępym końcem włóczni w twarz. Z ust kupca buchnęła krew i zęby, a on sam osunął się na ziemię. Próbował powstać, ale wojownik, który go uderzył, przygniół go kolanami do ziemi i wsunął włócznię pod jego brodę. Szarpnął ku górze, by skierować twarz dławiącego się Amita ku *dama* oraz chłopcu.

- To ten? - spytał przywódca kapłanów.

- Tak - rzekł Jamere. - Powiedział, że zabije moją matkę, jeśli nie posłucham.

- Co? - sapnął ze zgrozą Amit. - Nigdy w życiu cię nie widzia...

Wojownik znów szarpnął włócznią ku górze i słowa kupca pochłonął bulgot.

- Poznajesz to? - zapytał *dama* i pokazał mu włócznię, upuszczoną przez Abbana na ulicy. Przewiązana była pomarańczową szmatką, którą Abban dawał znaki Jamere. - Myślisz, że masz do czynie

nia z durniami? Przecież to nie sekret, że przywiązałeś sobie kobiecą chusteczkę do włóczni, kaleko!

-*Dama*, raczcie spojrzeć tutaj! - zawołał inny wojownik, prowadząc wielbłąda z zagrody Amita. - To zwierzę zostało niedawno mocno obite, a jego kopyta są owinięte skórą.

Oczy Amita wyszły na wierzch, choć nie wiadomo, co było przyczyną - niedowierzanie czy może dławiące go drzewce włóczni.

- To nie mój... - wyrzeźił, ale nie zdołał dokończyć.

- Powiedz nam, kto był twoim współnikiem - zażądał *dama*. Wojownik za plecami Amita poluzował nieco chwyt, by ten mógł odpowiedzieć.

Poczucie wyższości i zadowolenie z siebie już dawno znikły z twarzy okaleczonego wojownika, zapomniał o swej pozycji zarówno na tym, jak i na tamtym świecie, która jeszcze przed chwilą wydawała się pewna. Abban zaś słuchał uważnie, rozkoszując się budzącą litość desperacją, z jaką rywal bronił się przed oskarżeniami, usiłował udowodnić swą niewinność i błagał o życie.

- Zerwijcie z niego czarne szaty - rozkazał *dama*, a wojownicy ochoczo przystąpili do działania. Ignorując wrzaski kaleki, odarli go z ubrania, a potem złapali pod ramiona. Któryś z *dalSharum* szarpnął Amita za włosy, by spojrzeć w oczy klęczącemu przed nim *dama*.

-Jesteś teraz *khaffit*, Amicie, a twój rodowód utracił jakiegokolwiek znaczenie - rzekł *dama*. - Przez krótką, bolesną resztę swego życia nie zapomnij, że

gdy twój duch opuści ten świat, będzie na wieki siedział przed bramami Nieba.

- Nie! - wrzasnął Amit. - To kłamstwo!

*Dama* spojrział na wojowników.

- Zabierzcie z jego pawilonu wszystko, co ma jakąkolwiek wartość - rozkazał - a potem zanieście to do świątyni. Możecie wykorzystać jego kobiety, jeśli macie ochotę, a potem je sprzedajcie. Synów możecie poprzebijać włóczyniami.

Amit wył i szarpał się, próbując się wyrwać na wolność, aż jeden z *dalSharum* grzmotnął go włócznią w tył głowy i nowy *khaffit* padł na ziemię bez czucia.

*Dama* spojrział na niego z obrzydzeniem.

- Zawleczcie to ścierwo do Komnaty Wiecznego Smutku - przykazał wojownikom - by *Damaji* mogli chłostać go, aż skóra odejdzie od jego nędznych kości.

Abban opuścił klapę i cofnął się do pawilonu, gdzie nalał sobie kieliszek *couzi*.

Chwilę później klapa uniosła się i znów opadła.

- Par'chin niemalże złamał kolano *dama* Kave- re - rzekł Jamere. - Chce więcej *couzi* w ramach zadośćuczynienia.

Abban pokiwał głową. Nie zaskoczyło go to.

- To ty miałeś stawić czoła Kaveri i opóźnić pościg, a nie Par'chin - przypomniał chłopcu.

- Zmusił mnie - wzruszył ramionami *niezdarna*. - Nie chciał słuchać żadnych protestów.

- Cóż, lepiej, żeby do tego nie doszło ponownie - warknął Abban. - Par'chin jest dla mnie ważny i pod żadnym pozorem nie chciałbym go stracić.

- Sądź, że znajdzie Słońce Anocha? - spytał Jamere.

- Nie bądź głupi, chłopcze - zaśmiał się Abban. - Te mapy są kopiowane od trzech tysięcy lat i nawet jeśli nadal wskazują właściwy kierunek, owo miasto - jeśli w ogóle istnieje - jest dawno pogrzebane pod piaskami. Par'chin ma dobre serce, ale jest głupcem.

- Będzie wściekły, gdy wróci - stwierdził Jamere.

Abban wzruszył ramionami.

- Może na początku... - zaczął.

- Ale potem znów pomachasz mu przed oczami jakimś starożytnym zwojem i o wszystkim zapomni - odgadł Jamere i pociągnął z butelki, nie kłopotząc się nalaniem trunku do kubka.

Abban uśmiechnął się i dał chłopcu pieniądze na łapówki, których będzie potrzebował po powrocie do Sharik Hora. Gdy siostrzeniec wyszedł, kupiec odprowadził go wzrokiem z mieszaniną dumy i głębokiego żalu.

Ten chłopak mógłby dokonać wielkich rzeczy, gdyby tylko nie musiał marnować życia jako *dama*.



## Usunięte sceny

Z „Malowanego człowieka” usunięto bardzo wiele scen. Zostały wycięte ze względu na długość (jak na debiut napisałem bowiem niezwykle grubą książkę) lub tempo, inne zaś padły ofiarą redaktorów, ponieważ odbiegały od głównego nurtu wydarzeń i odbierały narracji dynamikę.

Jednakże wiele z owych wyciętych scen to same w sobie ciekawe historie i ogromnie się cieszę, że mam możliwość podzielenia się nimi w tym zbiorze. Ich najistotniejszą cechą jest to, że każda stanowi zamkniętą całość i spodoba się zarówno nowym czytelnikom, jak i fanom serii.



# Arlen

## & *Wprowadzenie*

Od tej sceny wszystko się zaczęło. W 1999 roku brałem udział w kursie tworzenia prozy fantasy i w ramach zadania domowego miałem „napisać pierwszą scenę nowej powieści fantasy”. Napisałem więc krótką historyjkę o młodym chłopcu imieniem Arlen, któremu nigdy nie pozwalano oddalać się od domu na odległość większą, niż mógł przemierzyć przez pół dnia, gdyż musiał wrócić do domu przed nocą, kiedy to pojawiały się demony.

Szczerze powiedziawszy, napisałem to wszystko w jedną noc, a po tym, jak opowiadanie zostało ocenione (na piątkę, ha!), wrzuciłem je do szuflady na całe lata. Pracowałem wówczas nad inną książką, ale nigdy nie zapominałem o Arlenie i raz na jakiś czas dopisywałem kilka informacji na temat jego świata. To niezwykle, że seria rozpoczęta

„Malowanym człowiekiem” wzięła swój początek z owej krótkiej, liczącej jedynie tysiąc sześćset słów historyjki.

### *Dlaczego scena została wycięta*

Fragment ten stanowił powód jednego z największych sporów między mną a moją redaktorką. Utrzymywała ona, że prologi to przestarzała forma wypowiedzi, a ten fragment dodatkowo został napisany w innym stylu niż reszta powieści i zwyczajnie nie pasował. Twierdziła również, iż nie wnosił niczego nowego, a wszystkie zamieszczone w nim informacje można było przekazać w innych miejscach. Zupełnie się z nią nie zgadzałem i dowodziłem, że mój fragment idealnie wprowadza czytelnika w nastrój świata, a ponadto zawiera bardzo istotne spojrzenie na osobowość młodego Arlena.

Odbyliśmy kilka... cóż, żywiołowych debat na ten temat. Przez wzgląd na mój ogromny szacunek do redaktorki długo i usilnie próbowałem przyjrzeć się sprawie z jej punktu widzenia. Minęło trochę czasu, nim udało mi się opanować emocje i podejść do sprawy bezosobowo. Gdy wreszcie mi się udało, uznałem, że to redaktorka ma rację, i wyciąłem scenę. Myślę, że książka w istocie prezentuje się lepiej bez mojego prologu, choć przyznam szczerze, że ten fragment jest nadal bliski memu sercu. Cieszę się więc, że wreszcie ukazał się drukiem.

## *Scena*

Gdy Arlen był chłopcem, zwykł bawić się na dworze do późna i reagował na wołania matki w ostatniej chwili, gdy już robiło się ciemno. Nigdy nie poznał niczego gorszego od zamknięcia się na całą noc i nie chciał zmarnować choćby odrobiny światła słonecznego.

Wstawał, gdy na zewnątrz nadal panowały ciemności. Przekraczał próg domu rodzinnego przed pianiem koguta, gdy okoliczne wzgórza oświetlały pierwsze promienie słońca, a niebo nabrzmiewało czerwienią, która przepędzała cienie. Matka zawsze chciała, by chłopak policzył do stu przed wyjściem, ale nigdy jej nie słuchał.

Na zewnątrz czekały przygody, ale Arlen znał swe obowiązki. Łapał więc najpierw stojący przy drzwiach, wyłożony płótnem koszyk z wikliny, gnał do najbliższej klatki z kurami i ignorując pełne oburzenia gdakanie, zbierał jajka, obchodząc się z nimi równie zręcznie jak Mistrz z kolorowymi piłeczkami.

Potem wpadał do domu, zostawiał jajka dla matki i znów wybiegał. Nim jego ojciec zdążył naciągnąć spodnie, a matka zrzucić koszulę nocną, Arlen już siedział na stołku przy pierwszej krowie. Znosił mleko do domu i gnał do innych obowiązków, podczas gdy ojciec wciąż jeszcze jadł śniadanie. Suszarnia, studnia, wędzarnia, spichlerz - Arlen pospiesznie odwiedzał każde z tych miejsc, jakby nie

był człowiekiem, a wietrzykiem śmigającym po gospodarstwie.

Ów poranny rytuał zawsze podnosił go na duchu. Wznawiał on bowiem jego więzi z ziemią, więzi zrywane każdej nocy, gdy matka zamykała drzwi, a ojciec sprawdzał runy na oknach.

Chłopiec wypuszczał zwierzęta z obory i najpierw zaganiał świnie do ich dziennej zagrody, a potem, strzelając z bata, gnał owce na pastwisko. Karmił świnie i konia, owcami niezbyt się przejmował. Nie miał psa, ale nawet bez psa nie było ryzyka, że rozbiegną się po polach. Za słupami runicznymi trawa była bowiem spalona i zryta.

Oczywiście zdarzały się jeszcze inne obowiązki, nie tak częste i o wiele mniej pokrzepiające. Bywało, że któreś zwierzę gubiło się tuż przed nadejściem nocy. Chłopak znajdował je wówczas następnego dnia rano rozdarte na strzępy i zakopywał później za wychodkiem.

Arlen robił to wszystko niezliczoną ilość razy. Wypełniał swe obowiązki z taką wprawą, że późnym rankiem wszystko miał skończone. Wtedy ojciec był już na polach i sprawdzał słupy runiczne, Arlen zaś wracał na śniadanie. Jak zwykle składało się z owsianki, jajek i bekonu i jak zwykle podgrzewała je matka. Zazwyczaj pożerał wszystko błyskawicznie, popijał kilkoma łykami mleka i już zrywał się, by wybiec z domu.

Jednak matka go wtedy łapała. Nie było od tej zasady wyjątku. Matka zawsze znajdowała dla niego coś do zrobienia i tych obowiązków Arlen nie znosił

najbardziej. Nie potrafił jednakże się przeciwstawić, a narzekaniem nie napełniłby skrzyni na chrust, nie dało się też nim zamieść podłóg czy włożyć rysików do zestawu do kreślenia runów.

- Nic nie robi się samo - mawiała matka.

Kończył około południa, nim ojciec wracał z pola z nowymi zadaniami. Arlen łapał kromkę chleba i pochłaniał w pośpiechu. Podobnie jak w przypadku śniadania, w ogóle nie czuł smaku posiłku. Jedzenie dawało mu siłę, a nie przyjemność.

Ciekawe, jak daleko dotrę dzisiaj? - pytał się w duchu, kończąc posiłek. Do zmierzchu pozostało prawie osiem godzin, więc przez cztery godziny mógł gnać w dowolnym kierunku. Wiedziałby, kiedy wrócić, wystarczyło spojrzeć na pozycję słońca na niebie.

Prowadził niebezpieczną grę i inne dzieci z Potoku Tibbeta nie miały odwagi, by do niego dołączyć. Była to zresztą jedna z tysięcy różnic między nimi a Arlenem. Inni ludzie cieszyli się, że mieszkają w Potoku, i nigdy nie interesowali się, co znajduje się za następnym wzgórzem. Był to najbezpieczniejszy sposób na życie. Ojciec uważał, że to mądra metoda postępowania, ale Arlen miał inne zdanie. Mieszkańcy Potoku Tibbeta zbyt chętnie dawali wiarę niesprawdzonym opowieściom o świecie. Bezkrytycznie wierzyli obcym, gdy mówili, co leży na krańcu drogi, w sercu puszczy bądź za rzeką na południu... O ile oczywiście istniała tam jakaś rzeka. Arlen wolał przekonać się na własne oczy.

Jak daleko bym doszedł, gdybym miał cały dzień? - zawsze się zastanawiał. Gdzie bym doszedł,

gdyby nie poranne obowiązki? A gdybym nie musiał zawracać i uciekać przed nadchodzącym zmrokiem? Czy udałoby mi się znaleźć jakieś schronienie?

Te rozmyślania jednocześnie go ekscytowały, jak i przerażały. Co znajdowało się dalej, za miejscem, z którego nie ma powrotu?

Może dziś pójde dalej.

Jego zdecydowanie jednakże zawsze gasło, gdy słońce przemierzyło większość swej drogi na niebie. Zawsze sobie wówczas uświadamiał, że zawraca.

Zwalniał na widok domu rodzinnego pomimo krzyków, pomimo przerażenia w głosach rodziców.

O tej porze dnia czuł pełnię życia. Patrzył, jak słońce opada za horyzont, z wolna przesłaniane obracającym się światem. Cienie zaczynały się wydłużać. Cekał aż do ostatniej minuty, a potem pędził do domu najszybciej jak umiał, gnany ekscytującym uczuciem strachu. Jego serce waliło jak szalone, dłonie aż drżały, ale w trakcie tych kilku ostatnich sekund powietrze smakowało o wiele lepiej, a ciało przepełniało podniecenie. Arlen nie znał widoków piękniejszych od czerwonych i pomarańczowych smug zachodu słońca, nie znał dźwięków bardziej podniecających od ostrzegawczych wołań rodziców. Przeskakiwał nad progiem, uważając, by nie naruszyć runów, i odwracał się, by popatrzeć na materializację otchłańców.

Gdy ostatnie promienie gasły i ciepło umykało z ziemi, z Otchłani wylaniały się ogniste demony, by odtańczyć swój taniec.

Nigdy nie mógł przyglądać się długo, zawsze szarpnięcie któregoś z rodziców wciągało go do





środku, a potem ciężkie drzwi zostawały zamknięte i zabezpieczone ciężką sztabą (zupełnie jakby mogło to powstrzymać demony!). Ojciec Arlena sprawdzał wówczas ponownie runy na progu i parapetach, upewniając się, czy nie zostały zatarte bądź zamazane. Zawsze mówił synowi, że wystarczy sprawdzić trzykrotnie, ale nigdy nie mógł się powstrzymać, by nie zrobić tego po raz czwarty.

Reprimenda była stałym elementem wieczoru. Bywało, że Arlen obrywał pasem od ojca, ale rodzice w głębi serca wiedzieli, że nie ma kary, która mogłaby odwieść syna od wędrówek.

Po karze jedli kolację, potem matka siadała do robótki na drutach, a ojciec rył runy na słupach. Arlen siedział przy oknie i przyglądał się tańcom otchłańców. Były takie wdzięczne, tak zręczne, niemalże piękne. Bywało, że w blasku ognistych oddechów chłopak dostrzegł, jak wichrowy demon opada na skórzastych skrzydłach.

O wiele mniej piękne i na szczęście o wiele mniej powszechne były skalne demony. Ich zwaliste, potężne cielska chronił pancerz, którego nie mogło przebić najmocniejsze nawet ostrze. Ich sposób poruszania się również nie przypominał tańca - kroczyły po podwórzu powoli i błyskały ostrymi kłami w poszukiwaniu zdobyczy.

Arlen nigdy nie widział wodnego demona, ale słyszał opowieści Minstreli. Ponoć wodne stwory potrafiły przebić się przez dno łodzi i wciągnąć nieszczęsnego rybaka w odmęty. Chłopak zadrżał, wyobrażając sobie, iż na dnie miejscowego stawu roi

się od ciemnych, przerażających kształtów. Wizja napawała go lękiem, ale oddałby też wszystko, by znaleźć się na zewnątrz i ujrzeć nieznanego potwora.

Bywały noce, kiedy demony nacierały na runy. Rzucaly się na drzwi i okna i odskakiwały, odpychane przez potężną magię. Rzadko się zdarzało, by któreś z rodziców choćby drgnęło. Przyglądali się temu przez całe życie.

- Czemu wciąż atakują, skoro nie potrafią się przebić? - Arlen spytał kiedyś ojca.

- Szukają luk w barierze. - Ojciec stanął obok niego przy oknie. - Każda bariera je ma. Każda. Otchłańce są zbyt głupie, by przyglądać się runom i wyszukiwać luki, wolą tłuc w nie ciałami i szukać szczelin w ten sposób. Nigdy się nie zdarza, by otchłaniec dwa razy uderzył w to samo miejsce.

Postukał palcem w czaszkę.

- One pamiętają. I wiedzą, że z czasem nawet najsilniejsze bariery słabną.

Noc raz za razem przeszywał blask, gdy demony sprawdzały moc runów. Magia rozbłyskiwała za każdym uderzeniem, opromieniając na chwilę podwórze i potwory, próbujące się wdrzeć do suszarni bądź dostać do mięsa w wędzarni.

Atakowały również i oborę, ale budynku strzegły silne runy. Arlen słyszał beczenie przerażonych owiec. W przeciwieństwie do ludzi zwierzęta nie potrafiły przyzwyczaić się do demonów. Instynktownie wiedziały, co się wydarzy, jeśli otchłańce się przebiją.

Arlen również to wiedział. Gdy miał siedem lat, przyglądał się bezradnie demonom rozrywającym

jednego z psów pasterskich. Wnętrznosci nieszczęsnego czworonoga zostały rozwłózione po całym podwórzu.

Zabijanie zawsze sprawiało otchłācom mnóstwo radości.

Mawiano, że dawno temu demony nie były wcale tak śmiałe. Mawiano, że były czasy, gdy znano bardzo potężne runy, a demony bały się ludzkości i chowały w Otchłani. Tych czasów jednakże - o ile w ogóle istniały - nie pamiętali nawet prapradziadkowie najstarszych ludzi. A o potężnych runach mówiły jedynie pieśni Minstreli.

Arlen patrzył, jak potwory skradły jego świat na kolejną noc, i marzył o odnalezieniu tych runów. Marzył o wyruszeniu z Potoku Tibbeta. Postanowił zatem, że któregoś dnia się na to poważy, nawet jeśli oznaczało to spędzenie nocy pod gołym niebem.

W towarzystwie demonów.

# Pobita Brianne

## *Wstęp*

Oto bezwzględnie moja ulubiona z wyciętych scen, moje nieszczęsne, usunięte biedactwo. Znajdowała się w rozdziale trzynastym „Malowanego człowieka” („Świat jest wielki”), a rozgrywała dokładnie po starciu Gareda i Maricka na rynku Zakątka Drwali. Napisałem ją po to, by Leesha mogła skonfrontować się z Brianne, która była wtedy jedną z jej najlepszych przyjaciółek. Chciałem również pokazać, jak potężną i pewną siebie osobą stała się Leesha w trakcie pobierania nauk u Bruny.

## *Dlaczego scena została wycięta*

Biorę pełną odpowiedzialność za wycięcie tej sceny. Nie doradził mi tego redaktor, agent czy beta-tester.

Musiałem mocno odchudzić książkę i choć uwielbiam tę scenę, dobrze wiedziałem, że liczy ponad trzy tysiące słów. Usunąłem ją tak gładko, że nikt poza mną nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. W scenie nie wydarzyło się nic, co miałoby wpływ na treść powieści, a to, że Leesha zdobyła pozycję i przestała pasować do Zakątka Drwali, było już oczywiste.

Nie żałuję tej decyzji. W swoim ostatecznym kształcie powieść jest oczyszczona ze zbędnych dodatków i każde przedstawione w niej wydarzenie popycha akcję do przodu. Ta scena nic w fabule nie zmieniała, a usunięcie jej ponadto poprawiło proporcje między rozdziałami o Leeshy i o Rojerze. Założyłem na początku, że poświęcę im obojgu dokładnie tyle samo miejsca, ale do końca to się nie udało, ponieważ materiał na temat Leeshy osiągnął zdecydowaną przewagę.

Tak czy owak, uwielbiam ten fragment i naprawdę się cieszę, że mogę się nim podzielić z ludźmi, którym być może również przypadnie do gustu.

### *ftS) Scena*

-Jesteś potrzebna - powiedziała Mairy.

- Zle się czujesz? - zapytała z troską Leesha. Przyłożyła dłoń do czoła kobiety, ale ta pokręciła głową i odsunęła się szybko.

- Nie, nie chodzi o mnie - powiedziała.

- O któreś z dzieci? - pytała Leesha, przyglądając się każdemu z nich w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak złego samopoczucia. - A może o Benna?

Mairy znów pokręciła głową.

- Nie, mam na myśli Brianne. Dręczą ją dolegliwości żołądka. Próbuje to ukryć, ale widzę, jak się wije z bólu. Coś się dzieje. Pomyślałam, że jeśli cię poproszę o pomoc, to nie odmówisz.

- Dlaczego prosisz mnie? Przecież Darsy jest Zielarką.

- Sama powiedziałaś, że Darsy nazbyt często wybiera lekarstwa na chybił trafił - wyjaśniła Mairy. - No i nie udało jej się ocalić dziecka Duga i Merrem zeszłej zimy.

- Nigdy nie mówiłam, że to wina Darsy - podkreśliła Leesha.

- Nie musiałaś. Połowa wsi o tym szepcze. A Brianne jest zbyt dumna, by prosić cię o pomoc.

- A nawet gdyby poprosiła, niby dlaczego miałabym jej pomóc? - spytała Leesha.

- Bo jest chora, a ty jesteś Zielarką - odparła Mairy.

- Od prawie siedmiu lat nie powiedziała o mnie ani jednego dobrego słowa - rzekła Leesha ze złością. - Oczernia mnie bez ustanku! Nie zapomnij też o tym, że zrobiła wszystko, co w jej mocy, by zniszczyć mi życie.

Odwróciła się, ale poczucie winy wnet wzięło górę. Zielarki składały przecież przysięgę, by pomagać wszystkim potrzebującym.

Peter V. Brett

- Uroniła za ciebie niejedną łzę - odezwała się Mairy za jej plecami. - Tak jak my wszyscy.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - Leesha odwróciła się.

-Tego ranka, kiedy twa matka przyszła do wsi i powiedziała, że nie wróciłaś do domu przed zmierzchem... - zaczęła Mairy - Brianne poderwała wszystkich do poszukiwania ciebie lub... - odwróciła wzrok - lub twego ciała.

Leesha nie odpowiedziała.

- Byliśmy przekonani, że nie żyjesz - podjęła Mairy po chwili. - Brianne uznała, że to jej wina, i wybuchła płaczem. Usiłowaliśmy jej wyjaśnić, że to nie tak, ale nie dała się pocieszyć.

Dotknęła ramienia Leeshy.

- Wie, że wyrządziła ci krzywdę.

- Nigdy nie usłyszałam ani słowa przeprosin - oznajmiła Leesha. - A tak naprawdę to od tej pory mówiła o mnie jeszcze gorzej niż wcześniej. Nie myśl, że nie słyszałam.

- Chciała cię przeprosić. Saira też.

- Lecz tak naprawdę tylko ty to zrobiłaś.

- Łatwo kogoś zranić słowami - odparła Mairy, powtarzając wcześniejsze słowa Leeshy. - Dopiero leczenie słowami bywa naprawdę trudne. Nie zapomnij, że to ty skrzywdziłaś ją pierwsza.

Leesha poczuła się, jakby ją uderzono w twarz. A jeśli Brianne naprawdę była chora i potrzebowała pomocy? Miała się odwrócić od potrzebującej? Miała się wyprzeć własnego dziecka? Czy Bruna wyparła się kogokolwiek?





- Masz rację - powiedziała. - Przyjdę jej pomóc. -Jest jeszcze jedna sprawa.
- Co takiego? - Leesha uniosła wzrok.
- Brianne jest w ciąży.

Mairy wygoniła najmłodsze dzieci do domu, a potem obie z Leeszą udały się do niewielkiego domu, wzniesionego wysiłkiem całej wsi po ślubie Brianne i Evina.

Peter V. Brett

- Od jak dawna o tym wie? - spytała Leesha. Lęk o dziecko Brianne skuł jej serce lodem i szła tak szybko, że Mairy musiała biec, by dotrzymać jej kroku.

- Od paru tygodni - powiedziała Mairy. - Jest najwyżej w drugim miesiącu.

- Czy w pierwszej ciąży były jakieś komplikacje?

- Poza tym, że zmusiła ją do wyjścia za Evina? - spytała Mairy.

Leesha zmarszczyła brwi.

- Dobra, wiem, to nic zabawnego - rzekła Mairy. - Narodziny Callena przebiegły bez problemów. Zresztą wygląda na to, że w przypadku Callena to jedyna rzecz, która nie powoduje problemów.

- Bo Evin nie chciał tego dziecka?

- Łagodnie to ujęłaś - zgodziła się Mairy. - Oboje nie mieli ochoty zostać rodzicami. Brianne swego czasu chodziła do Bruny po środki poronne, ale odkąd zaczęłaś pobierać u niej nauki... Powiedziała mi, że nie zniosłaby takiego wstydu.

- Ona jako jedna z pierwszych zwróciła się do Darsy - rzekła Leesha.

- Tyle że Darsy nie przyrządzi odpowiedniego wywaru - odparła Mairy. - Stwierdzi, że to grzech, i doniesie Opiekunowi, która z żon zażywa ten specyfik. A Opiekun wygłosi później płomienne kazanie o naszym obowiązku rodzenia dzieci.

- Pamiętam - rzekła Leesha.

Opiekun Michel prowadził prywatną wojnę przeciwko środkom poronnym, ale nie odważył się powiedzieć ani jednego złego słowa na Brunę, by

mieszkańcy osady nie dowiedzieli się, jak poważnie podchodził do swej misji.

-To tłumaczy, dlaczego Darsy ma tyle pracy jako położna - rzekła Leesha. - Kobiety, które ją odwiedzają, częściej jej potrzebują.

- Zgadza się - stwierdziła Mairy. - Kilka takich jeszcze w Zakątku Drwali zostało.

- No i dobrze, o ile zadba o to, by dzieci nie rodziły się martwe.

- Brianne czasami cię obwinia - wypaliła niespodziewanie Mairy.

- Mnie? - zdziwiła się Leesha. - A cóż ja takiego zrobiłam?

- Przez ciebie wstydziła się iść po środki poronne. Przez ciebie Evin musiał ją poślubić wbrew jej woli. Przez ciebie jej życie się już nie układa.

- To nie w porządku! - rzekła Leesha. - To przecież ja zostałam przez nią publicznie upokorzona!

- Nie przez nią, a przez Gareda - poprawiła ją Mairy.

- A Brianne zaszła w ciążę za sprawą Evina, a nie przeze mnie! - zripostowała Leesha.

Mairy pokiwała głową.

- A więc może czas najwyższy, byście przestały rzucać na siebie winę - odrzekła.

Leesha nie odzywała się przez chwilę.

- Przestanę, jeśli i ona przestanie - obiecała.

- Któraś z was musi być pierwsza.

Leesha zatrzymała się.

- Brianne nie wie, że idę do niej - powiedziała i nie doczekawszy się odpowiedzi ze strony Mairy,

Peter V. Brett

uśmiechnęła się. - Czy ty aby nie stałaś się ostatnio małą manipulatorką?

- To naturalna konsekwencja macierzyństwa - przyznała Mairy, chichocząc.



Mairy nabrała tchu i zapukała. W środku rozległ się hałas, ale nikt nie otworzył, więc zastukała ponownie.

- Kto tam? - zawołał Evin.

- To ja, Mairy!

Zza drzwi dobiegły krzyki.

- Sama otwórz! - warknął Evin.

- Wejdz i tyle! - zawołała Brianne. - Nie jest zamknięte.

Mairy otworzyła drzwi i jej oczom ukazała się nędzna izba. Uganiały się po niej dwa wilczarze i większość mebli była pogryziona. Evin siedział w obłoconych buciorach za stołem i strugał, a podłoga wokół zasłana była wiórami. Brianne siedziała plecami do drzwi i siekała warzywa na desce przy palenisku, które służyło za kuchnię. Rozczochrany Callen, liczący już sobie sześć lat, trzymał się jedną ręką jej koszuli, a palcami drugiej dłubał w nosie z zapalem godnym lepszej sprawy.

- Przepraszam za to, że nikt ci nie otworzył, Mairy - rzuciła Brianne, nie odwracając się. - Przecież Evin musi strugać te swoje idiotyczne patyki. Jeszcze - nie daj Stwórco! - będzie miał zaległości!

- Może jakbyś przeszła do drzwi raz na jakiś czas, wypociłabyś kilka kilogramów - mruknął

Evin. - Dobra, czego tu szukacie? - spytał i uniósł głowę. W tym momencie dostrzegł Leeszę i poderwał się, otrzepując ubranie ze strużyn i wiórów. - Cóż - powiedział, pożerając gościa wzrokiem. - Witam w naszych skromnych progach.

Brianne odwróciła się i ujrzała, jak jej mąż wybałusza oczy. Potem dostrzegła Leeszę i jej twarz pociemniała.

- A czego ona tu szuka? - zapytała ze złością. Podeszła bliżej, nie wypuszczając noża z ręki.

- Przyszło mi do głowy, że może ci pomóc z bólami - rzekła Mairy.

- Nie prosiłam o żadną pomoc - burknęła Brianne. - Nic mi nie jest! Wszystko jest w jak najlepszym porządku!

- Na pierwszy rzut oka widać, że jest inaczej - stwierdziła Leesha. - Jesteś blada, masz nierówny oddech i zaciskasz zęby podczas chodzenia.

- Powiedziała, że nic jej nie dolega-wtrącił się Evin.

- Proszę - rzekła Mairy. - Pozwól, by cię zbadała. Przynajmniej ze względu na dziecko.

- Dziecku nic nie dolega - odezwał się Evin.

- Wynocha - warknęła Brianne.

- Brianne... - zaczęła Leesha.

- Ogłuchłaś? - spytał Evin. - Powiedziała, że macie...

- Nie - przerwała mu Brianne. - To było do ciebie. Wynocha.

-To mój dom! - wybelkotał Evin i ruszył ku nim, ale wtedy Leesha włożyła dłoń do kieszeni fartucha. Zauważył to i zamarł.

- Zjeżdżaj stąd! - wrzasnęła Brianne i rzuciła w niego nożem. Evin uchylił się w porę. Na jego twarzy pojawiła się wściekłość, ale nadal widział dłoń Leeshy w kieszeni i chyłkiem cofnął się ku drzwiom. Callen zaczął płakać.

-1 weź te cholerne psy ze sobą! - rzuciła Brianne. - Mam już dość skrobania ich głów z podłogi!

Evin cmoknął i oba zwierzęta wybiegły z izby w ślad za nim.

W tym momencie z Brianne jakby uszło powietrze. Uklęknęła obok Callena, lecz jej twarz wykrzywił grymas bólu. Otarła jego łzy rąbkiem fartucha.

- No, już dobrze, kochanie - powiedziała. - Wszystko w porządku. No, biegnij i pobaw się patyczkami.

Uścisnęła go, a chłopczyk pobiegł w drugi koniec pokoju, gdzie budował małą chatkę z patyków. Brianne zaś wstała, krzywiąc się znów. Jej twarz była szara niczym popiół.

- Oglądanie mnie w takim stanie zapewne sprawia ci przyjemność - powiedziała do Leeshy. - Jestem gruba i żyję w nędzy, a ty spacerujesz sobie po wsi, podśpiewujesz do ptaszków na ramieniu i zawracasz mężczyznom w głowach.

Leesha w porę stłumiła ciętą ripostę.

- Oglądanie ludzkiego cierpienia nigdy nie sprawia przyjemności - rzekła. - Siadaj i pozwól mi się zbadać.

Brianne się nie kłóciła. Gdy siadała, na jej twarzy znów pojawił się grymas cierpienia. Leesha zajrzała jej w oczy i w usta, zbadała temperaturę oraz sprawdziła puls w nadgarstku.

- Powiedz, jeśli zaboli, gdy dotknę - nakazała, a Brianne pokiwała głową. Leesha zaczęła więc z uwagą dotykać różnych punktów na jej ciele, przez cały czas wpatrując się Brianne w oczy. Przeczuwała bowiem, że już wie, co stanowi przyczynę bóleści.

- Aaach! - westchnęła z bólu Brianne, gdy Leesha dotknęła jej żeber.

- Zdejmij koszulę - przykazała jej.

- To konieczne? - spytała Brianne.

- Za czasów, gdy się przyjaźniłyśmy, nigdy nie miałaś szczególnych skrupułów, jeśli chodzi o nagość - odparła Leesha.

- Ale wtedy byłam jeszcze ładna - odcięła się Brianne.

- Ściągaj koszulę - powtórzyła Leesha. - Mairy, pomóż mi.

Brianne nie protestowała, gdy obie kobiety zdjęły jej koszulę przez głowę. Mairy wybałuszyła oczy, widząc pożątkłe siniaki, które pokrywały ramiona i plecy Brianne, i czarny, wielki niczym dłoń, który rozlewał się na jej żebrach.

- Tak jak myślałam - stwierdziła Zielarka. - Masz dwa złamane żebra. Ciesz się, że nie przebiły ci płuc.

- Możesz to jakoś naprawić? - spytała Brianne.

Leesha pokręciła głową.

- Z żebrami niewiele da się zrobić, trzeba im pozwolić, by same się zagoiły. Zwiążę je tak, by zrosły się należycie i nie tarły, gdy się poruszasz, ale będziesz musiała się oszczędzać. Najlepiej, jeśli pozostaniesz w łóżku przez jakiś czas.

- Przez jakiś czas?

- Przez parę tygodni - zawyrokowała Leesha i dostrzegła spojrzenie Brianne. - Nie chcę słyszeć ani słowa - warknęła. - Przyślemy kogoś, by ci pomógł z Callenem i w obejściu. Masz szczęście, że nie skończyło się gorzej.

- Na Stwórcę! - westchnęła Mairy. - Bri, co się stało?

- Stałam na stercie drewna i trzymałam puszkę z farbą, a Evin poprawiał runy na dachu - powiedziała Brianne. - Poślizgnęłam się, zleciałam, a drewno posypało się na mnie.

- Na noc! - wykrzyknęła Mairy. - Dlaczego nic nie powiedziałaś?

- Bo sądziłam, że nic mi nie dolega.

- Słuchaj, mam tu już wszystko pod kontrolą, Mair - powiedziała Leesha. - Biegnij do domu, bo lada chwila twoje maleństwa zaczną psocić.

Mairy zerknęła na Brianne, która skinęła lekko głową, a potem wyszła.

- Gówno prawda - powiedziała Leesha, gdy zostały same. - Ten skurwysyn cię pobił. Nie sądzisz chyba, że jestem na tyle głupia, by uwierzyć w te popierdolone bzdury, co?

Brianne spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Żyjąc u boku Bruny, nauczyłaś się nieźle kłąć. - Roześmiała się, choć sprawiło jej to ból. - Mała Leesha, którą znałam, nie wiedziałaby nawet, co te słowa oznaczają.

- Nie próbuj zmieniać tematu.

- Co chcesz zrobić? - W oczach Brianne pojawił się lęk.



- Najpierw obwiążę ci klatkę piersiową. - Leesha wyciągnęła z koszyka zwitek białego płótna, którym zaczęła owijać Brianne tuż pod biustem.

- Aaach! Na noc, boli! - sapnęła Brianne.

- Założę się, że to pestka przy tym, co czułaś, gdy pękały - odparła Leesha. - Brianne, musisz komuś o tym powiedzieć. To nie może się powtórzyć.

- Przytrafiło się tylko raz.

- Wierzę w to tak samo jak w historyjkę o stercie drewna - parsknęła Zielarka. - Mężczyzna, który bije ciężarną kobietę, na pewno nie czyni tego po raz pierwszy. Czy Darsy wie o tym?

Brianne pokręciła głową.

- Nikt nie wie. Zawsze obchodziłam się bez pomocy Zielarki.

- Trzeba położyć temu kres, bo zaraz będzie ci potrzebna pomoc Opiekuna i grabarza.

- A co niby mam zrobić? - zapytała ostro Brianne. - Powiedzieć ojcu? On i moi bracia zabiliby Evi- na! Zatłukliby go, a potem za karę zostaliby wygnani na noc ze wsi! Callen straciłby wówczas wszystkich mężczyzn w rodzinie, a co by się stało ze mną?

-A więc powiedz Smittowi - zaproponowała Leesha. - Niech rada wsi zadecyduje.

Brianne pokręciła głową.

- Ojciec dowie się i tak. - Westchnęła. -1 wszystko skończy się tak, jak przewidziałam.

- A więc jak sobie to wyobrażasz? Będziesz mu nadal pozwalać na wszystko, aż wyrządzi poważniejszą krzywdę tobie lub nienarodzonemu dziecku? Albo Callenowi?

- To już się nie przydarzy, Leesh. - Brianne uścisnęła jej dłoń. - Obiecał poprawę. A ty przysięgnij, że nikomu nie zdradzisz, czego się dowiedziałas.

- Bri... - zaczęła Leesha.

- Przysięgnij! - przerwała jej Brianne. - Pamiętaj o swych ślubach!

Leesha zmrużyła oczy, ale wiedziała, że Brianne zapędziła ją w kozi róg. Przez głowę przemknęło jej wspomnienie paska Elony i bólu, który zawsze wydawał się łagodniejszy od wstydu.

- Przysięgam - powiedziała w końcu, mocno zaciskając zęby.

Dokończyła obwiązywanie klatki piersiowej dziewczyny i wybrała kilka ziół, które następnie jej podała.

- Żuj je, by uśmierzyć ból - przykazała. - Ale tylko jedno na dzień, bo w przeciwnym razie to maleństwo - pogładziła brzuch Brianne - sprawi, że pożałujesz.

- Czy dziecku nic się nie stało? - spytała bliska leż Brianne.

- Tym razem nie - odrzekła Leesha. - Ale któż może wiedzieć co się stanie, jeśli Ewinowi znów odbije?

-To nie będzie już miało miejsca, przysięgam.

- Nie sądzę, byś to ty o tym decydowała. - Leesha tylko pokręciła głową.



Evin znajdował się na podwórzu, kiedy Leesha wyszła. Otaksował spojrzeniem jej sylwetkę, ale widać

było, że jest spięty i czujny. Tknięta impulsem Leesha podeszła do niego, kołysząc biodrami bardziej niż zwykle.

- Nic jej nie będzie - rzekła. - Przez ten upadek ze sterty drewna złamała sobie kilka żeber, ale zrosną się, o ile będzie mogła należycie odpocząć.

- Sterta drewna - zaczął niepewnie Evin, ale szybko odzyskał pewność siebie. - Racja, sterta. Paskudny upadek. Mówiłem jej, żeby ściągnęła Zielarkę, ale znasz Brianne.

Leesha uśmiechnęła się czarująco.

- Oj, znam, znam.

Evin odpowiedział uśmiechem.

- Pięknie ostatnio wyglądasz, Leesha - rzucił.

Zielarka rozejrzała się, a przekonawszy się, że są sami, podeszła bliżej i wspięła się na palce. Jej usta niemalże dotykały jego uszu.

- Chodź za róg - szepnęła. - Chcę ci coś pokazać.

Na twarzy Evina rozlał się szeroki uśmiech. Złapał ją za rękę i niemalże pociągnął za sobą. Gdy znaleźli się na osobności, przyciągnął ją, całując brutalnie i obmacując jej piersi. Nie zauważył igły w dłoni Leeshy, dopóki nie poczuł ukłucia w szyję.

- Co ty, u licha, wy... - wykrzyknął Evin, cofając się i nakrywając dłonią skaleczenie. Niespodziewanie odkrył, że zaczyna się chwiać na nogach.

- Trucizna działa szybko - powiedziała Leesha i poprawiła koszulę.

- Truc... - zaczął Evin, ale wtedy zawiodły go kolana. Osunął się na ziemię i zaczął wić w spazmach, trzymając się za brzuch.

- Czujesz? - spytała Leesha, klękając przy nim, gdy ból przybrał na sile. - Czujesz te potworne skurcze? Czujesz ból? Chcesz zmusić ręce i nogi do posłuszeństwa, a one wiją się i dygoczą? Nie martw się - rzekła, poklepując go po plecach. - Trucizna wkrótce opuści twe mięśnie.

Pochyliła się, pogładziła go po włosach i szepnęła:

- Potem zaatakuje twe jelita.

Evin jęknął z twarzą wduszoną w ziemię.

- Obiecałam Brianne, że nikomu o tym nie opowiem - ciągnęła. - Zielarki przysięgają, iż będą strzec tajemnic swych pacjentów, a ja nie mam zamiaru tej obietnicy łamać. Nie oznacza to jednak, że nie mogę przedsięwziąć pewnych kroków.

Zmusiła go, by odwrócił głowę.

- Spójrz na mnie - rozkazała.

Próbował słabo się wyrwać, ale Zielarka trzymała go mocno za włosy i nadgarstek, tak by Evin patrzył jej prosto w oczy.

- Przemyśl sobie to wszystko jak należy - poradziła mu. - Przemyśl to sobie jutro, gdy będziesz wrzeszczał z bólu w wychodku. Dobrze sobie przemyśl, bo jeśli raz jeszcze będę musiała z twojej winy zajmować się Brianne lub którymś z waszych dzieci, ten dzień wyda ci się niczym w porównaniu do tortur, jakie ci wtedy zafunduję. Twoje kości będą płonąć żywym ogniem, a twoja żałosna, mała kuśka skurczy się jak rodzynek. Za moją sprawą będziesz kusztykał o lasce, zanim ukończysz trzydzieści lat!

Evin wpatrywał się w nią oczami szeroko rozwartymi z przerażenia. Na jego usta wystąpiła piana, po policzku spłynęła łza.

Leesha puściła go i wstała. Głowa mężczyzny opadła miękko na ziemię.

- Przemyśl to sobie dobrze - powtórzyła. Gdy się odwróciła, uświadomiła sobie, że stoi twarzą w twarz z Brianne.

Zamarła, widząc, jak Brianne wpatruje się w targanego konwulsjami męża, a potem przenosi spojrzenie na Zielarkę. Patrzyły na siebie przez chwilę, która wydawała się wiecznością, aż wreszcie Brianne skinęła głową. Leesha skinęła w odpowiedzi, po czym Brianne odwróciła się i weszła do izby.



- Brianne jest w siódmym tygodniu ciąży - powiedziała Leesha. - Wyznała to Ewinowi jakiś tydzień temu, a ten wkrótce potem spuścił jej lanie. Dziecku nic się nie stało, ale musiałam zająć się dwoma złamanymi zębami i sporą ilością siniaków.

Bruna pokiwała głową, jak gdyby Leesha powiedziała coś banalnego - na przykład, że zbiera się na deszcz.

- I pewne prosiła cię, byś nikomu nie mówiła? - spytała.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Leesha.

Bruna uniosła brew, ale nie chciało jej się odpowiadać.

-1 co w tej sprawie zrobiłaś? - spytała zamiast tego.

- Dziabnęłam go igłą umaczaną w jadzie śli- skozmii i obiecałam, że następnym razem potraktuję o wiele gorzej.

Bruna zachichotała i prasnęła dłonią o kolano.

- Sam bym tego lepiej nie załatwiła! - wrzasnęła. - Chłopak już jej nie tknie, a następnym razem, gdy cię zobaczy, sfajda się w portki!

- O to mi właśnie chodziło - odparła Leesha, czerwieniąc się lekko.

- Dzięki tobie wiem, że któregoś dnia zostawię swe dzieci w dobrych rękach - powiedziała Brunna.

- Mam nadzieję, że nie nastąpi to rychło - odparła Leesha.

- No, przynajmniej przez jakiś czas - zgodziła się Brunna, ale w jej głosie pojawił się smutek.

## Słownik krasjański

Abban - zamożny kupiec *khaffit*, okaleczony podczas szkolenia na wojownika.

*alagai* - otchłańce, demony.

*alagai'sharak* - święta wojna przeciwko demonom.

Amit - kaleki *dal'Sharum* z drewnianą nogą, który jest największym konkurentem Abbana na bazarze.

Anocha, Słońce - zaginione miasto, które kiedyś było stolicą Kajiego i ośrodkiem jego władzy. Rzekomo pochłonięte przez pustynię.

asu - syn; stosowane jako przedrostek w pełnych nazwiskach.

Baha kacTEveram - krasjańska wioska słynąca z wyrobów garncarskich, zniszczona przez demony w 306 Roku Plagi. Nazwa oznacza „Miskę Everama”.

Bazar, Wielki - handlowa dzielnica Krasji, zarządzana i odwiedzana niemalże wyłącznie przez kobiety oraz *khaffit*, gdyż prowadzenie interesów uważane jest za czynność poniżej godności wojowników i kapłanów.

Chabin - ojciec Abbana, *khaffit*.

Komnata Wiecznego Smutku - sala tortur w podziemiach pod Sharik Hora, przeznaczona dla zdrajców i heretyków.

*chin* - przybysz, niewierny. Słowo ma wydźwięk obraźliwy i sugeruje, że opisywana osoba jest tchórzem.

couzi - mocny, nielegalny trunek krasjański przyprawiany cynamonem. Podziemny handel couzi kwitnie ze względu na to, że w jednej, łatwej do ukrycia butelce mieści się dość alkoholu, by upiło się kilku mężczyzn.

*darsharum* - krasjańska kasta wojowników.

*dama* - krasjańska kasta kapłańska. *Dama* są religijnymi i świeckimi przywódcami Krasji. Ubierają się w białe szaty i nie noszą oręża. Wszyscy są mistrzami w *sharusahk*, sztuce walki bez broni.



*Damaji* - najwyżsi rangą kapłani i przywódcy plemion. Ich rada to organ rządzący Krasją.

*dama'ting* - krasjańskie kapłanki i uzdrowicielki. Rzekomo obdarzone magiczną mocą, *dama'ting* budzą strach i szacunek wszystkich spoza swego zakonu.

Pustynna Włócznia - krasjańska nazwa Fortu Krasja.

Dravazi - słynny garncarz z Baha kad'Everam. Po śmierci jego wyroby stały się bezcenne.

Everam - Stwórca.

zielone krainy - ziemie na północ od krasjańskiej pustyni.

Jamere - siostrzeniec Abbana, *nie'dama*.

Kaji - starożytny przywódca krasjański, który zjednoczył wszystkie plemiona, a potem cały znany świat w świętej wojnie przeciwko demonom. Krasjanie wierzą, iż był pierwszym Wybawicielem i że wkrótce powróci.

*khaffit* - mężczyźni, którzy nie kończą szkolenia wojowników i muszą zająć się rzemiosłem. Stanowią najniższą kastę społeczeństwa krasjańskiego. *Khaffit* są zmuszeni do noszenia brązowych szat dzieci oraz golenia twarzy na znak wstydu.

Peter V. Brett

*nie'dama* - młodzi adepci stanu duchownego, przyszli *dama*.

Par\*chin - dosłownie „odważny przybysz”, tytuł nadany Arlenowi Balesowi, by podkreślić, iż nie jest on tchórzem, chociaż należy do *chin*.

wieprzoad - krasjańska zniewaga używana w odniesieniu do *khaffit*, którzy jako jedyni w społeczeństwie jedzą mięso świń, uważane za nieczyste.

Sharik Hora - świątynia zbudowana z kości zabitych wojowników; dosłownie: „Kości Bohaterów”.

*sharusahk* - krasjańska sztuka walki bez broni.

plemiona - Krasja jest podzielona na dwanaście plemion: Anjha, Bajin, Halvas, Jama, Kaji, Khanjin, Krevakh, Majah, Mehnding, Nanji, Sharach i Shun- jin. Nazwa plemienia wchodzi w skład pełnego miana wojownika.

Podmiasto - rozległa sieć chronionych barierami jaskiń ciągnąca się pod Fortem Krasja, gdzie kobiety, dzieci oraz *khaffit* są zamykani na noc dla bezpieczeństwa, podczas gdy mężczyźni walczą z demonami.

$L_i >$                       \* &                      ^

## Grymuar runiczny

A<sub>ε</sub>                      t<sup>W</sup>

■ % 4 / £

Runy to magiczne symbole, których pochodzenie ginie w mrokach dziejów. Przez długi czas zaliczano je do przesądów, ale ich moc została ponownie odkryta, gdy po wielu tysiącach lat nieobecności powierzchnię ziemi ponownie nawiedziły demony.

Runy same w sobie nie mają żadnej mocy, ale zasysają część magii Otchłani, którą przepełnione są demony, i oddają jej energię. Najpowszechniejsze

są z natury runami defensywnymi, ale istnieje również kilka symboli, mogących wywoływać inne efekty. W teorii więc możliwe jest uzyskanie dowolnego efektu za pomocą runów. Ludzkość niedawno odkryła runy ofensywne, które mogą wyrządzić demonom krzywdę. Jest to wielki krok naprzód, gdyż na otchłānce nie działa zwykła broń, stwory potrafią błyskawicznie wyleczyć niemalże wszystkie obrażenia.

## *Runy defensywne (ochronne)*

Runy defensywne zasysają magię z demonów, by utworzyć nieprzekraczalną dla stworów barierę ochronną. Znaki działają najlepiej na konkretny rodzaj demonów, przeciwko któremu zostały stworzone, i najczęściej stosuje się je w połączeniu z innymi runami w kręgach ochronnych. Gdy krąg zostaje uaktywniony, gwałtownie odpycha demona poza swój obwód. Oto przykłady:



Stosowany przeciwko: demonom gliny

Pierwsza wzmianka: „Wielki Bazar”

Opis: Ojczyzną demonów gliny są obrzeża pustyni krasjańskiej, gdzie zamiast piasków ciągną się połacie twardej, zeschniętej gliny. Demony te nie

przekraczają rozmiarami średniej wielkości psa, lecz ich ciała są krępe i muskularne, a chronią je grube, nachodzące na siebie płyty pancerza. Uzbrojone są w krótkie, twarde pazury, pozwalające im wspiąć się na każdy klif, potrafią nawet zawisnąć głową w dół. Ich pomarańczowo-brązowy pancerz stanowi idealny kamuflaż na tle gliniastego dna rzeki bądź ściany budowli. Tępo zakończona głowa demona gliny może przebić niemalże wszystko, roztrzaskać kamienny mur i pokiereszować dobrą stal.



Stosowany przeciwko: ognistym demonom  
Pierwsza wzmianka: „Malowany człowiek”

Opis: Ślepień, nozdrza i pyski ognistych demonów emanują przydymionym, pomarańczowym światłem. Najmniejsze spośród nich są rozmiarów królika, największe małego dziecka, przez co ich gatunek należy do najmniejszych znanych ludzkości. Podobnie jak inne otchłańce, ogniste demony mają długie, zakrzywione pazury oraz rzędy ostrych kłów. Na ich pancerz składają się drobne, nachodzące na siebie łuski, twarde i wyposażone w ostre krawędzie. Ogniste demony są w stanie w krótkich odstępach czasu ziać ogniem. Wydmuchiwana przez stwory substancja pali się intensywnie w zetknięciu z powietrzem i jest w stanie spopielić prawie wszystko, łącznie z metalem czy kamieniem.



Stosowany przeciwko: demonom  
zmiennokształtnym

Pierwsza wzmianka: „Pustynna Włócznia”

Opis: Demony zmiennokształtne należą do elity otchłańców, a ich zadaniem jest ochrona demonów umysłu (książąt otchłańców). Uważa się, że po książętach są najbardziej inteligentnymi i potężnymi ze znanych demonów. Ich pierwotna forma jest nieznana, a są w stanie przybrać kształt każdej żywej istoty, w tym innych gatunków demonów. Potrafią również odwzorować ubiór i ekwipunek. Brakuje im jednakże pomysłowości, więc potrafią przybrać kształty jedynie tych istot, które spotkały (chyba że zmiennokształtnymi steruje demon umysłu). Jedną z ich ulubionych sztuczek jest przybranie formy rannego człowieka i udawanie niemocy, by zaskoczyć zdobycz.



Stosowany przeciwko: demonom umysłu

Pierwsza wzmianka: „Pustynna Włócznia”

Opis: Znane również jako książęta otchłańców, demony umysłu to przywódcy potworów z Otchłani. Fizycznie są stosunkowo słabe i nie mogą się poszczycić pancerzami, które wykształciły inne

otchłańce, ale dysponują ogromnymi mocami umysłowymi i magicznymi. Potrafią czytać i kontrolować myśli, komunikować się za pośrednictwem telepatii i zabijać mocą umysłu. Kreśląc runy w powietrzu i nasycając je własną magią, są w stanie osiągnąć niemalże każdy efekt. Pozostałe demony bez chwili wahania wypełniają polecenia przekazane im przez demony umysłu i poświęcą życie, by je chronić. Książęta źle znoszą nawet odbite światło słoneczne, dlatego pojawiają się na powierzchni ziemi tylko podczas najciemniejszych godzin trzech nocy nowiu.



Stosowany przeciwko: skalnym demonom

Pierwsza wzmianka: „Malowany człowiek”

Opis: Największe znane demony, sięgające od sześciu do dwudziestu stóp wzrostu. Są zwalistymi kolosami zbudowanymi z mięśni i ostrych krawędzi. Ich ciała chronią grube, czarne pancerze najeżone kościstymi wypustkami, a ogony z kolcami są w stanie zmiażdżyć końską czaszkę jednym uderzeniem. Poruszają się na dwóch nogach, uzbrojonych w pazury, a ich długie ramiona kończą się szponami długości rzeźnickich noży. Paszcze kryją rzędy kłów przypominających ostrza. Ludzkość nie zna broni mogącej zadać jakiegokolwiek obrażenia skalnemu demonowi.





Stosowany przeciwko: piaskowym demonom

Pierwsza wzmianka: „Malowany człowiek”

Opis: Demony piaskowe są spokrewnione z demonami skalnymi i choć są od nich mniejsze i bardziej zwinne, wciąż należą do najsilniejszych i najlepiej opancerzonych otchłańców. Ich ciała kryje drobna łuska o ostrych krawędziach koloru brudnej żółci, dzięki czemu demony bardzo trudno odróżnić od żwirowatego podłoża. Co więcej, poruszają się na czterech odnóżach, a nie na dwóch tylnych. Z ich pysków wystają rzędy ostrych zębów, a nozdrza znajdują się o wiele wyżej, tuż pod wielkimi oczami pozbawionymi powiek. Z łuków brwiowych wyrastają ku górze grube kości, które przebijają łuski i tworzą ostre rogi. Brwi tych stworów znajdują się w ciągłym ruchu, usuwając z oczu ustawicznie nawiewany piasek. Piaskowe demony polują w watach zwanych burzami.



Stosowany przeciwko: śnieżnym demonom

Pierwsza wzmianka: „Złoto Brayana”

Opis: Śnieżne demony, budową zbliżone do ognistych, zamieszkują mroźne pustkowia północy oraz szczyty górskie. Ich łuska jest idealnie biała, dzięki

czemu otchłańce są niewidoczne na śniegu. Plują ciecżą tak zimną, że natychmiast zamraża wszystko, w co trafi. Spryskana nią stal staje się tak krucha, że może popękać.



Stosowany przeciwko: bagiennym demonom Pierwsza  
wzmianka: wspomniane w „Malowanym człowieku”

Opis: Bagiennie demony zamieszkują bagna i obszary podmokłe. Są wodną odmianą drzewnych demonów i czują się równie swobodnie w wodzie i wśród drzew. Ich ciała pokryte są plamami zieleni i brązu, dzięki czemu potwory są niewidzialne w naturalnym środowisku. Nierzadko czają się w błocie bądź płytkiej wodzie, by wyskoczyć na nieświadomą ofiarę. Plują gęstym, lepkiem szlamem, który po zetknięciu z dowolną substancją organiczną sprawia, że ta zaczyna gnić.



Stosowany przeciwko: wodnym demonom Pierwsza  
wzmianka: wspomniane w „Malowanym człowieku”,  
widziane w „Pustynnej Włóczni”

## Grymuar runiczny

Opis: Wodne demony różnią się wielkością i rzadko ukazują się ludzkim oczom. Są długie i pokryte łuską. Ich odnóża, zakończone szponami, są połączone błoną pławną. Niektóre odmiany dysponują mackami z ostrymi kośćmi na końcu. Potrafią oddychać jedynie pod powierzchnią wody, choć mogą się wynurzyć na chwilę. Wodne demony pływają z wielką prędkością i pożerają dużo ryb, choć preferują polowanie na ciepłokrwiste stworzenia, zwłaszcza na ludzi, którzy odważyli się wypłynąć nocą.



Stosowany przeciwko: wichrowym demonom

Pierwsza wzmianka: „Malowany człowiek”

Opis: Wichrowy demon sięga dorosłemu mężczyźnie do ramienia, ale wraz ze statecznikami wyrastającymi z głowy mierzy osiem lub dziewięć stóp. Wielkie, długie pyski tych otchłańców są ostro zakończone jak u ptaków, ale kryją rzędy zębów grubości palca dorosłego człowieka. Ich skóra jest twarda, ale elastyczna i na tyle mocna, by zatrzymać ostrze włóczni lub grot strzały. Między ramionami i bokami rozciąga się cienka, lecz twarda błona umożliwiająca latanie. Skrzydła wichrowych demonów nierzadko są trzykrotnie dłuższe od nich samych, a ich stawy zakończone są zakrzywionymi szponami, mogącymi odciąć ludzką głowę podczas

nurkowania. Choć na ziemi demony wichru poruszają się powoli i niezgrabnie, w powietrzu są niepokonane. Potrafią zanurkować, zaatakować ofiarę i błyskawicznie zmienić kierunek lotu, wzbijając się w powietrze ze zdobyczą.



Stosowany przeciwko: drzewnym demonom

Pierwsza wzmianka: „Malowany człowiek”

Opis: Środowiskiem naturalnym drzewnych demonów są lasy. Wzrostem i siłą ustępują jedynie skalnym i gdy stoją na tylnych nogach, mierzą od pięciu do dziesięciu stóp. Mają krótkie, lecz mocne zady oraz długie, muskularne ramiona, dzięki którym z łatwością wspinają się na drzewa i przeskakują z gałęzi na gałąź. Ich pazury są krótkie i ostro zakończone, by ułatwić czepianie się kory. Pancierz przypomina korę właśnie, zarówno barwą, jak i fakturą. Oczy drzewnych demonów są duże i czarne. Zwykły ogień jest dla nich nieszkodliwy, ale można je bez trudu podpalić gorętszym płomieniem, jak choćby plunięciem ognistego demona czy płonącym magnezem. Drzewne demony są zawziętymi wrogami ognistych demonów i zabijają je przy każdej okazji, a polują w grupach zwanych gajami.

## *Runy ofensywne (wojenne)*

Runy wojenne zasysają magię z demona, przez co pancernik w miejscu uderzenia staje się słabszy, i oddają ją w formie energii uderzeniowej. Owa energia może przybrać najróżniejsze formy. Oto przykłady:



Run wojenny: Obuch

Pierwsza wzmianka: „Malowany człowiek”

Opis: Run zamienia magię otchłania w siłę wstrząsową.

Czym silniejszy jest cios, tym więcej mocy generuje run.

Można go umieszczać na dowolnej tępej broni obuchowej.

Peter V. Brett



Run wojenny: Cięcie

Pierwsza wzmianka: „Malowany człowiek”

Opis: Ten run, wyryty na klindze broni siecznej, może zwiększyć jej ostrość, dzięki czemu bez trudu przetnie ona nawet pancerz otchłańca.



Run wojenny: Nacisk (run na dłoniach Arlena)

Pierwsza wzmianka: „Malowany człowiek”

Opis: Run wywołuje miazdzący napór, który przybiera na sile z każdą sekundą fizycznego kontaktu z ciałem demona. Oprócz nacisku zwiększa się również temperatura. Runy tego typu znajdują się na obu dłoniach Naznaczonego i ponoć jest on w stanie ścisnąć głowę demona, póki ta nie pęknie.

### *Inne runy*

Zastosowanie wielu zachowanych runów przypadło w mrokach dziejów. Testowanie ich właściwości wymaga bliskiego kontaktu z demonami, przez co grupa ochotników do prowadzenia tego typu badań ze zrozumiałych względów jest nader nieliczna. Oto przykłady:

# ZŁOTO BRAYANA

Dla Matta



## Wstęp

**R**o wszystko przez Matta.

Serio. To opowiadanie zapewne nigdy nie ujrzałoby światła dziennego, gdyby nie zażądał tego Matt Bergin, mój przyjaciel i sprawdzony beta-tester wszystkiego, co piszę.

Czytał właśnie pierwszą wersję „Wielkiego Bazaru”. Wspominam tam o jednej z wcześniejszych przygód Arlena, o jego spotkaniu ze śnieżnym demonem bez odpowiednich runów ochronnych.

- A gdzie Arlen natknął się śnieżnego demona? - spytał Matt. - Przegapiłem tę opowieść?

- Nigdy niczego takiego nie napisałem - odparłem. - Po prostu lubię tak przypominać czytelnikom, iż za młodu, gdy jeszcze pracował dla Gildii Posłańców, Arlen miał setki rozmaitych przygód.

- No, to teraz wypada to opisać - rzekł Matt.

- Dlaczego? - spytałem. Sam lubię tajemnicze wstawki i aluzje.

- Stary - westchnął na to Matt. - Chcesz przepuścić szansę na napisanie czegoś o śnieżnych demonach?

Cóż, nie ukrywam, że zmotywował mnie tymi słowami, ale byłem wtedy zavalony pracą i nie miałem czasu na nic innego. Odkładałem więc pomysł przez dobry rok, ale nie przestawałem myśleć o tych przeklętych śnieżnych demonach i wiedziałem, że wkrótce za moją sprawą Arlen zaszczęka zębami.

W krótkiej przerwie, na którą pozwoliłem sobie między końcem „Pustynnej Włóczni” a początkiem „Wojny w Blasku Dnia”, napisałem więc opowiadanie pod tytułem „Złoto Brayana”, drugą niezależną opowieść osadzoną w świecie Demonicznego Cyklu.

Spodobała mi się forma krótszych historii, niewchodzących w skład powieści. Dzięki nim czytelnik nieznający mojej dotychczasowej twórczości zostanie wprowadzony w cykl i pozna niektórych bohaterów. A ci, którzy czytają moje powieści od dawna, lepiej poznają przedstawiony w nich świat. Niecierpliwi fani natomiast zaspokoją chwilowo swój apetyt w oczekiwaniu na kolejną powieść.

A zatem witaj. Nieważne, czy sięgasz po moją książkę po raz pierwszy, czy śledzisz cykl od dawna. Mam nadzieję, że spodoba Ci się „Złoto Brayana”.

Bo jeśli nie, winą musisz obciążyć Matta.

Peter V. Brett sierpień

2010

[www.petervbrett.com](http://www.petervbrett.com)

## Złoto Brayana

324 ROK PLAGI

**N**ie ruszaj się - burknął Cob, dopasowując na-  
pierśnik.

- Łatwo ci mówić! - zaprotestował Arlen. - Tobie stalowa płyta nie wrzyna się w biodro!

Na dworze panował chłód. Do świtu pozostała jeszcze godzina, ale Arlen już pocił się obficie w nowej zbroi - mocnych płytach z wyklepanej stali, połączonych ze sobą nitami i splecionymi pierścieniami. Pod spód założył przeszywanicę oraz spodnie, które miały chronić przed uwieraniem, ale na niewiele się to zdało, gdy Cob zaciągnął mocno wiązania pancerza.

- Tym bardziej warto zrobić to porządnie - rzekł Cob. - Czym lepiej dopasuje się zbroję, tym mniejsza szansa, że będzie ci przeszkadzać podczas ucieczki przed otchłańcami. Posłaniec musi być szybki.

-Jestem zawinięty w pościel i mam na sobie siedemdziesiąt funtów stali - skrzywił się Arlen. -



Niby jak mam być szybki? Nie wspomnę nawet, że gorąco mi w tym jak w piekle.

- Podziękujesz mi na smaganych wichrami traktach do Książęcych Kopalni - pouczył go Cob.

Arlen pokręcił głową i uniósł ramię, by przyjrzeć się ciężkim płytom, na których z mozołem wyrył runy za pomocą dłuta i niewielkiego młoteczka. Symbole ochronne były na tyle potężne, iż mogły rozproszyć ogniste spluniecie demona, ale zdaniem młodzieńca zbroja nie tyle chroniła, co więziła.

- Pięćset słońc - powiedział z zadumą. Tyle mniej więcej wynosiła cena pancerza, nie mówiąc o miesiącach roboty. Z takimi pieniędzmi Arlen byłby drugim najbogatszym człowiekiem w Potoku Tibbeta, osadzie, gdzie dorastał.

- Nie można oszczędzać na rzeczach, które mogą ocalić ci życie - stwierdził Cob. Jako Posłaniec weteran mówił z doświadczenia. - Jeśli chodzi o zbroję, trzeba znaleźć najlepszego kowala w mieście, zamówić najmocniejszą, najporządniejszą zbroję, jaką może wykonać, i ołać koszty. Co więcej, zawsze trzeba...

Wycelował palec w Arlena.

## Złoto Brayana

- ...samodzielnie wyryć runy! - młodzieniec do-  
kończył wraz ze swym mistrzem, cierpliwie kiwając  
głową. - Wiem. Mówiłeś mi o tym jakieś tysiąc razy.

- Powtórzę to nawet i dziesięć tysięcy razy, jeśli nie  
będzie innego sposobu na wbicie ci tego do tępej  
łepety. - Cob uniósł ciężki hełm i nałożył go  
towarzyszowi. Hełm okazał się idealnie dopasowany i  
wyłożony wewnątrz miękkim płótnem. Cob za-  
bębnił mocno kłykciami po metalowej powierzchni, lecz Arlen  
bardziej to usłyszał, niż poczuł.

- Curk mówił, do której kopalni macie się udać? -  
spytał Cob.

Arlen był dopiero uczniem, przez co mógł wybierać  
się w trasę jedynie w towarzystwie licencjonowanego  
Posłańca. Gildia przydzieliła go do Curka, starzejącego  
się, nierzadko pijanego Posłańca, który zazwyczaj  
obsługiwał jedynie krótkie trasy.

- Do kopalni Euchora - rzekł Arlen. - Dwa noc-  
legi.

Jak dotąd odbywał jedynie jednodniowe wyprawy z  
Curkiem. Zanosilo się więc na pierwszą ekspedycję,  
podczas której rozłożą przenośne kręgi runiczne dla  
ochrony przed otchłaniami i w nich spędzą noc.

- Dwa noclegi to aż nadto jak na pierwszą wyprawę  
- powiedział Cob.

-Już jako dwunastolatek spędziłem więcej czasu na  
trakcie - parsknął Arlen.

-1 z tego, co pamiętam, zakończyłeś tę podróż na  
plecach Rageny - zauważył Cob. - Nie pusz się tylko  
dlatego, że raz dopisało ci szczęście. Każdy

Peter V. Brett

Posłaniec powie ci, że na trakcie nocuje się tylko wtedy kiedy trzeba, a nie dlatego, że ma się ochotę. Ci, którzy sypiają pod gołym niebem, prędzej czy później padają ofiarą otchłańców.

Arlen pokiwał głową, choć nie całkiem szczerze. Obaj wiedzieli bowiem, że chłopak należał właśnie do tych, którzy chcieli nocować pod gołym niebem. Od jego dramatycznych przeżyć minęło już tyle lat, ale Arlen nadal czuł, że musi coś udowodnić. Zarówno sobie, jak i nocy.

- Chcę ujrzeć wyższe kopalnie - przyznał zgodnie z prawdą. - Ludzie mówią, że stamtąd widać cały świat.

- Nie będę cię okłamywał, Arlen - pokiwał głową Cob. - Nigdy nie widziałem niczego piękniejszego od roztaczającej się tam panoramy. Nawet pałace *Damaji* w Krasji wypadają blade w porównaniu.

- Ludzie mówią też, że kopalnia jest nawiedzona przez śnieżne demony - stwierdził Arlen. - Ich łuska jest ponoć tak zimna, że gdy na nią spluniesz, plwocina zamieni się w lód.

- Widać miejscowym odbija od rozrzedzonego powietrza - parsknął Cob. - Byłem tam jako Posłaniec przynajmniej tuzin razy i nigdy nie widziałem śnieżnego demona. Nie spotkałem też nikogo, kto opisałby takie potwory dokładnie.

- Co nie oznacza, że ich nie ma - wzruszył ramionami Arlen. - Czytałem w Bibliotece, że trzymają się górskich szczytów, gdzie śnieg leży przez cały rok.

-Już cię ostrzegałem, byś nie wierzył ślepo we wszystko, co wyczytasz w Bibliotece - rzekł Cob. - Większość tamtejszych książek została napisana przed Powrotem, kiedy ludzie myśleli, że demony istnieją jedynie w pijackich opowieściach. Pisarze pletli, co im ślina na język przyniosła, i tyle.

- Ale gdyby nie książki w Bibliotece, nie odkrylibyśmy ponownie runów i nie przetrwalibyśmy Powrotu - zaproponował Arlen. - Więc cóż złego, że będzie się uważać na śnieżne demony?

-Jasne, najlepiej zachować czujność - zgodził się Cob. - Nie zapomnij również o zagrożeniu ze strony gadających nocnych wilków i zaklętych kociołków!

Arlen skrzywił się, ale śmiech Coby był zaraźliwy i młodzieniec przyłapał się na tym, że i jego ogarnia wesołość.

Kiedy ostatni z rzemyków został dociągnięty, Arlen odwrócił się do lustra na ścianie warsztatu i przyjrzał wypolerowanemu metalowi. W nowej zbroi wyglądał imponująco - nie było co do tego wątpliwości - ale jego nadzieje, że zachowa smukłą, zwinną figurę, natychmiast zostały rozwiane. W tym pancerzu przypominał bardziej przysadzistego metalowego demona. Cob narzucił na jego ramiona gruby płaszcz, co poprawiło nieco efekt.

- Zakładaj płaszcz podczas jazdy po górskich ścieżkach - poradził mu stary Poślaniec. - Nie dość, że zbroja nie będzie tak lśnić, to jeszcze wiatr nie wniknie w szczeliny między płytami.

Arlen pokiwał głową.

Peter V. Brett

-1 słuchaj Posłańca Curka - ciągnął Cob. Arlen odpowiedział cierpliwym uśmiechem. - Chyba że powie ci coś, co nie zgadza się z moimi naukami - dodał mentor.

Młodzieniec parsknął śmiechem.

- Obiecuję - przyrzekł.

Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę, wahając się, czy powinni się objąć, czy tylko uścisnąć sobie dłonie. W końcu obaj mruknęli znacząco i odwrócili od siebie, Arlen ku drzwiom, a Cob ku stołowi roboczemu. Chłopak odwrócił się w progu i jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Coba.

-1 wróć w jednym kawałku - polecił Cob.

- Tak, mistrzu - rzekł Arlen i wyszedł w blask świtu.



Arlen przyglądał się wielkiemu placowi przed budynkiem Gildii Posłańców, gdzie ludzie wykłócali się z kupcami i ładowali wozy. Matki uwijały się wszędzie z zapisanymi kredą tabliczkami, poświadczając transakcje i zapisując ich wyniki. Miejsce tętniło życiem. Arlen je uwielbiał.

Zerknął na wielki zegar nad drzwiami Gildii, którego wskazówki pokazywały rok, miesiąc, dzień, godzinę i minutę. Gildia w każdym Wolnym Mieście dysponowała podobnym urządzeniem, a wszystkie one nastawiane były wedle Kanonu Opiekuna. Tuż pod tarczą zegara znajdowały się tabliczki, na których wypisano zaczerpnięte z Kanonu godziny



wschodu i zachodu słońca na dany tydzień. Posłańców szkolono, by żyli wedle wskazań tych zegarów. Punktem honoru dla każdego z nich było przybyć na czas albo zgoła przed czasem.

Curk jednakże spóźniał się zawsze. Cierpliwość nigdy nie należała do cnót Arlena, a teraz, gdy czuł już zew otwartego szlaku, oczekiwanie wydawało się nie do zniesienia. Serce biło mu mocno w piersi, a mięśnie napinały się z ekscytacji. Upłynęło już wiele lat od chwili, gdy po raz ostatni spał poza chronionymi runami murami miasta, ale nie zapomniał tego uczucia. Powietrze nigdy nie pachniało tak dobrze jak na trakcie. Nigdzie tak bardzo nie czuł, że żyje. Nigdzie nie czuł się równie wolny.

Wreszcie rozległo się znużone człapanie ciężkich buciorów, a potem młodzieńca ogarnął zapach piwa. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że to Curk.

Posłaniec Curk miał na sobie wysłużoną zbroję z utwardzanej skóry, na którą stosunkowo niedawno naniesiono świeże runy. Nie dawała ona ochrony tak dobrej jak stal Arlena, ale była o wiele lżejsza i pozwalała na większą swobodę ruchów. Łysinę mężczyzny otaczał wianuszek jasnych, tu i ówdzie poznaczonych siwizną włosów. Ich przetłuszczone kosmyki okalały jego twarz. Brodę miał gęstą, niestarannie przyciętą, równie skołtunioną jak włosy. Do pleców przytroczył poobijaną tarczę, a w dłoni ścisnął starą włócznię.

Curk zatrzymał się i otaksował wzrokiem błyszcząca, nowiutką zbroję Arlena. W jego oczach na

Peter V. Brett

moment błysnęła zazdrość, którą zatuszował szyderczym parsknięciem.

- Fajny pancerzyk jak na nowicjusza. - Szturchnął włócznią napierśnik młodzieńca. - Większość Posłańców musi najpierw zasłużyć sobie na zbroję, ale jak widać uczniów mistrza Coba to nie dotyczy.

Arlen odsunął ostrze, lecz i tak usłyszał zgrzytnięcie. Na powierzchni, którą tak długo polerował, pojawiła się rysa. Niespodziewanie umysł wypełniły wspomnienia ognistego demona, którego stracił z pleców matki jeszcze jako chłopiec, oraz długiej, zimnej nocy, którą spędził w błocie zagrody dla zwierząt, podczas gdy demony skakały naokoło i próbowały przebić się przez barierę runiczną. Przypomniała mu się noc, kiedy to przypadkowo odciął ramię potężnego demona skalnego, oraz wrogość, której ten nigdy nie przestał do niego żywić.

Zwarł pięść i podsunął ją pod zakrzywiony nos Curka.

- To, czego dokonałem, a czego nie, Curk, to nie twój interes. Dotknij jeszcze raz mojej zbroi, a słońce mi świadkiem, wyplujesz parę zębów.

Curk zmrużył oczy, ale cofnął się o krok i skinął głową, co należało odebrać jako przeprosiny. Trudno było ustalić, co go do tego skłoniło - czy to, że Arlen, choć drobniejszy od niego, był młody, silny, a do tego trzeźwy, czy może to, że nie miał ochoty samemu ładować i rozładowywać wozu.

- Nie chciałem cię urazić - burknął. - Ale nie zostaniesz dobrym Posłańcem, jeśli będziesz bał się rys na zbroi. No, chodź. Mistrz Gildii chce się

z nami zobaczyć, nim wyruszymy w drogę. Im prędszej to załatwimy, tym szybciej znajdziemy się na trakcie.

Arlen od razu zapomniał o rozdrażnieniu i ruszył za Curkiem do budynku Gildii. Jeden z urzędników zaprowadził ich prosto przed oblicze mistrza Malcuma. Biuro mieściło się w sporej komnacie zastawionej stołami, na których piętrzyły się stosy map i tabliczek. Mistrz sam kiedyś pracował jako Posłaniec, aż stracił oko i część twarzy w starciu z otchłańcem. Pomimo rany kontynuował służbę jeszcze przez wiele lat. Jego włosy już posiwiały, ale zachował imponującą posturę i nie należał do ludzi, których się lekceważy. Jeden jego podpis mógł zapoczątkować lub zakończyć karierę Posłańca albo wywołać finansowy krach bogatego domu. Gdy Arlen i Curk weszli do komnaty, mistrz siedział za biurkiem i podpisywał formularze z niekończącego się stosu.

- Pozwólcie, że nie będę przerywał pracy - rzekł Malcum. - Gdy przerywam choćby na chwilę, stos staje się natychmiast dwa razy większy. Siadajcie. Coś do picia?

Wskazał kryształową karafkę na skraju biurka, wypełnioną bursztynowym płynem. Obok niej stały kieliszki.

Oczy Curka zaświeciły.

- Z przyjemnością! - oznajmił. Nalał sobie kieliszek, wychylił go jednym haustem, skrzywił się i napełnił ponownie niemal po brzegi. Dopiero wtedy opadł na fotel.

Peter V. Brett

- Wasza wyprawa do Książęcych Kopalni została przesunięta - rzekł Malcum. - Mam dla was o wiele pilniejsze zlecenie.

Curk spojrział na kryształowy kieliszek w rękę i zmrużył oczy.

- Dokąd mamy się udać?

- Do Złota Brayana - rzekł Malcum, nie odrywając wzroku od papierów. Serce Arlena zabiło żywiej. Złoto Brayana, należące do włości hrabiego Brayana, było najbardziej odległym i najwyżej położonym miasteczkiem górniczym w księstwie. Znajdowało się na trzeciej górze na zachód, a od stolicy dzieliło je dziesięć noclegów.

-To przydział Sandara! - zaprotestował Curk.

Malcum podpisał kolejny dokument i odłożył go na rosnący stos, a potem zanurzył pióro w kałamarzu.

- Racja, lecz Sandar spadł wczoraj z konia. Złamana noga.

- Niech to Otchłań! - mruknął Curk. Jednym haustem opróżnił połowę kieliszka, po czym pokręcił głową. - Poślijcie kogoś innego! Jestem już za stary, by marznąć całe tygodnie w siodle i rzeźić w rozrzedzonym powietrzu.

- Nie mam w tej chwili nikogo pod ręką - odparł Malcum, podpisując kolejne dokumenty.

-To hrabia Brayan będzie musiał poczekać - wzruszył ramionami Curk.

- Hrabia proponuje tysiąc złotych słońc za robotę.

Curk i Arlen rozdziawili usta. Majątek, zwłaszcza jak na jeden kurs.

- Gdzie tkwi haczyk? - spytał podejrzliwie Curk. - Czegóż to kopalnia potrzebuje tak bardzo, że nie może poczekać?

Dłoń Malcuma wreszcie zamarła, a on sam uniósł wzrok.

- Piorunowe patyczki. Cały wóz.

Curk gwałtownie potrząsnął głową.

- Oooo, nie!

Jednym haustem opróżnił kieliszek do końca i z trzaskiem postawił go na biurku mistrza.

Piorunowe patyczki, pomyślał Arlen, trawiąc usłyszaną wiadomość. Czytał o nich w Książęcej Bibliotece, choć księgi zawierające ich dokładny skład zostały zakazane. W przeciwieństwie do innych materiałów łatwopalnych patyczki mogły eksplodować zarówno po podpaleniu, jak i na skutek wstrząsu, a w górach przypadkowy wybuch, nawet gdyby nie okazał się śmiertelny, mógł ściągnąć lawinę.

- Chcesz, żebyśmy się spieszyli, wioząc piorunowe patyczki? - zapytał z niedowierzaniem Curk. - Po co ten pośpiech, na Otchłań?

- Wiosenna karawana powróciła z informacją, że baron Talor natknął się na nową żyłę, lecz dostęp do niej umożliwić mogą dopiero materiały wybuchowe - wyjaśnił Malcum. - Brayan zapędził Zielarki do produkcji patyków. Pracowały dniami i nocami, nie zajmując się niczym innym. Mija jednakże dzień za dniem, żyła nadal jest poza zasięgiem, a jego rachmistrze codziennie zliczają, ile złota traci. Z wolna trafia go szlag.

- A więc chce posłać zaledwie jednego Posłańca na szlak pełen bandytów, którzy zrobią dosłownie wszystko, by dorwać wóz z piorunowymi patyczkami. - Curk pokręcił głową. - Albo zostaniemy obrabowani i porzuceni na pastwę otchłańców, albo rozerwie nas jakiś wybuch. Nie wiem, co gorsze.

- Bzdura - rzekł Malcum. - Sandar bez przerwy jeździ z patyczkami. Nikt nie wie, co będziecie przewozić, tylko nasza trójka i Brayan. Będziecie przecież podróżować bez eskorty. Nikomu nie przyjdzie do głowy, że wieciecie coś wartego zrabowania.

Curk nadal siedział ze skrzywioną miną.

- Tysiąc dwieście słońc - ciągnął Malcum. - Widziałeś kiedyś tyle złota naraz, Curk? Dla takiej kwoty mam ochotę wbić się w moją starą zbroję i samemu wykonać robotę.

-Jeśli masz na to ochotę, mistrzu, chętnie usiądę przy twoim biurku i zabiorę się do podpisywania dokumentów - odparł Curk.

Malcum uśmiechnął się, ale widać było, że traci cierpliwość.

- Tysiąc pięćset i nie dorzucę ani miedzianego promyka. Wiem, że forsa ci jest potrzebna, Curk. Połowa knajp w tym mieście nie obsłuży cię, jeśli wprzód nie pokażesz monety, a druga połowa weźmie ją i przypomni ci, że wiesz im sto razy więcej. Dopiero potem naleją ci piwa. Byłbyś idiotą, gdybyś odrzucił takie zlecenie.

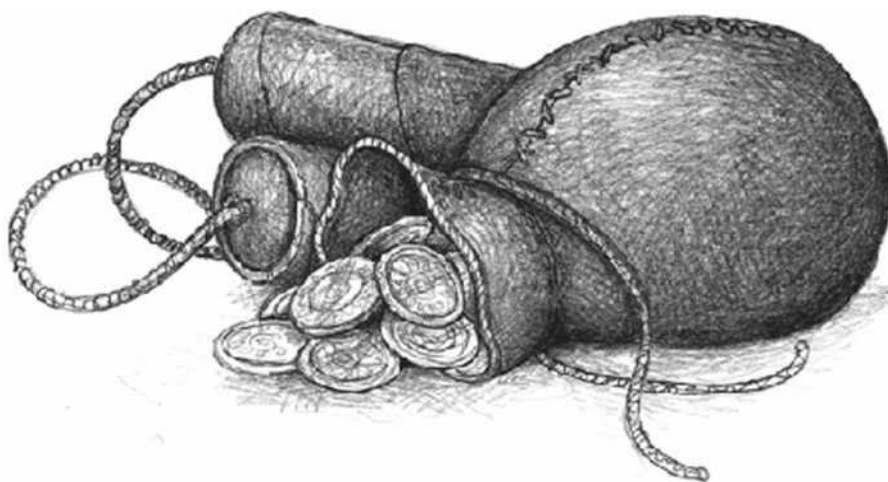
- Ale przynajmniej żywym idiotą - odparł Curk. - Za wożenie piorunowych patyczków zawsze dobrze płacą, bo istnieje spore ryzyko, że Posłaniec zakoń-

czy misję w kawałkach. Jestem za stary na takie demonie gównu.

- Tak, jesteś za stary - stwierdził mistrz Malcum, a Curk aż drgnął z zaskoczenia. - Ile jeszcze zleceń dasz radę przyjąć? Widzę, jak masujesz stawy podczas deszczowej pogody. Zastanów się dobrze. Tysiąc pięćset słońc na twoim koncie jeszcze przed wyruszeniem z miasta. Wystarczy, że będziesz się trzymał z dala od dziewczek i kości, które opróżniają sakiewkę Sandara, a będziesz mógł odejść na spokojną emeryturę. Będziesz mógł zapić się do nieprzytomności.

Curk warknął i Arlen odniósł wrażenie, iż mistrz przycisnął go nieco za mocno, ale Malcum wpatrywał się w starego Posłańca jak drapieżnik w zdobycz. Kluczem wyjętym z kieszeni otworzył szufladę biurka i położył przed Curkiem skórzaną, pobrząkującą ciężko sakiewkę.

- Piętnaście setek w banku - rzekł. - A do tego pięćdziesiąt w złocie na uregulowanie najpilniejszych długów. Jestem pewien, że jakiś wierzyciel



Peter V. Brett

już kręci się przy twoim koniu, by cię złapać przed odjazdem.

Curk stęknął, ale przyjął pieniądze.



Zaprzęgli konie do wozu dla mieszkańców Złota Brayana, ale zrobili to na modłę Posłańców, nie zdejmując z nich siodła ani juków. Gdyby koło pękło tuż przed zapadnięciem zmierzchu, musieliby się spieszyć.

Wóz nie różnił się od innych, ale dobrze ukryte stalowe zawieszenie idealnie równoważyło nierówności drogi, tak że ani pasażerowie, ani ładunek nie odczuwali praktycznie żadnych wstrząsów. Piorunowe patyczki były bezpieczne. Arlen wychylił się, by spojrzeć na resory.

- Przestań! - warknął Curk. - Równie dobrze mógłbyś machać flagą i krzyczeć, że wieziemy piorunowe patyczki!

- Przepraszam. - Młodzieniec wyprostował się. - Byłem ciekaw i tyle.

- Każdy z wymuskanych powozików naszej arystokracji ma takie zawieszenie - burknął Curk. - Nie chcemy chyba, by jakiejś dobrze urodzonej damie pomarszczyły się halki na wybojach, no nie?

Arlen pokiwał głową i rozsiadł się wygodnie. Delektując się górskim powietrzem, spoglądał na milneńską równinę rozciągającą się w dół. Czym dalej od murów miejskich, tym lżej się czuł, nawet mimo ciężkiej zbroi. Curk jednakże robił się z każdą chwi



lą coraz bardziej rozdrażniony i obrzucał podejrzliwym spojrzeniem każdego mijającego ich wędrowca. Nie przestawał gładzić drzewca włóczni, którą cały czas trzymał blisko.

- Czy na tych wzgórzach naprawdę mieszkają bandyci? - spytał Arlen.

- Bywa, że ludziom z górskich osad brakuje tego i owego i decydują się na desperacki krok - wzruszył ramionami stary Posłaniec. - Patyczków zaś brakuje wszystkim. Nawet jedno takie cholerstwo może zaoszczędzić tygodnia pracy, a kosztuje więcej, niż ci ludzie widzą przez rok. Wystarczy pogłoska, co naprawdę wieziemy, a każdy górnik poczuje pokusę, by obwiązać sobie mordę chustką i zacząć na szlaku.

- To dobrze, że nikt nie wie - rzekł Arlen i położył dłoń na włóczni.

Pomimo dręczących ich wątpliwości pierwszy dzień minął bez przygód. Arlen zaczął się odprężyć, gdy opuścili główne drogi pełne wędrujących górników i zapuścili się na rzadziej odwiedzane tereny. Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, dotarli do obozowiska. Krąg głazów z wymalowanymi wielkimi runami otaczał obszar mogący pomieścić całą karawanę. Wyprzęgli i spętali konie, a potem sprawdzili runy, oczyścili je i poprawili świeżą farbą tam, gdzie było to konieczne.

Przygotowawszy należycie barierę runiczną, Arlen podszedł do jednego z palenisk i rozłożył chrust. Wyciągnął zapalnik z pudełka, które nosił w sakiewce za pasem, i potarł zakończony na białą koniuszek

o paznokcieć kciuka. Płomyk pojawił się z cichym trzaskiem.

Zapałki były drogie, ale w Miln stanowiły powszechnie spotykany towar i należały do standardowego wyposażenia Posłańców. W Potoku Tibbeta, gdzie Arlen się wychowywał, należały jednak do rzadkości. Były tam obiektem zazdrości, a stosowano je jedynie w największej potrzebie. Jedynie Wieprz, właściciel sklepu - a przy tym połowy Potoku - mógł sobie pozwolić na to, by zapałkami przypalać fajkę. Z tego też powodu Arlen zawsze był nieco podekscytowany, gdy w ten sposób rozpalał ognisko.

Wkrótce ogień buchnął jasno, a na umieszczonej nad nim patelni zaskwierczały warzywa i kiełbasa. Curk usiadł, wsparł głowę o siodło i zaczął pociągać tego z glinianego dzbanka, którego zapach bardziej przypominał środek dezynfekujący używany przez Zielarki niż cokolwiek przeznaczonego do spożycia. Po kolacji zapadły już ciemności i rozpoczęła się materializacja.

Z niewidzialnych porów w powierzchni ziemi uniosły się strużki cuchnącej mgły, które powoli twardniały i zamieniały się w przeszywające lękiem demoniczne kształty. Na tej wysokości w zimnych górach nie spotykało się ognistych demonów, natomiast pojawiło się sporo ich wichrowych kuzynów oraz kilka przysadzistych demonów skalnych, nie wyższych od człowieka, ale ważących trzykroć tyle. Wydawały się składać jedynie z twardych mięśni pokrytych grubym, łuskowym pancerzem. Ich szerokie



pyski kryły setki ostrych, umieszczonych blisko siebie zębów. Pojawiły się również drzewne demony, sięgające dziesięciu stóp wzrostu, ale szczuplejsze, kryte korowatym pancerzem i wymachujące ramionami przypominającymi konary.

Demony, dostrzegłszy obozowisko, wrzasnęły z radości. Rzuciły się na ludzi i konie, lecz bariera runiczna nie przepuściła potworów. Niespodziewanie w powietrzu rozlała się siateczka srebrnych wyładowań magicznych. Ich moc odrzuciła otchłańce 0 kilka jardów lub cisnęła na ziemię.

Potwory jednakże ani myślały się poddać. Krążyły wokół obozowiska i raz za razem nacierały na osłonę, szukając w niej luki.

Arlen stał blisko bariery bez tarczy czy włóczni, ufając jedynie mocy runów. Miał w ręku patyk z grafitu oraz swój dziennik, w którym robił notatki 1 wykonywał szkice otchłańców, co rusz opromienianych światłem reagujących runów.

W końcu otchłańce znudziły się bezskutecznymi szturmami i odeszły w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy. Wichrowe demony rozłożyły ogromne, skórzaste skrzydła i wzbiły się w powietrze, a drzewne demony znikły w mroku lasu. Skalne odeszły ciężko niczym żywe lawiny. Noc na powrót stała się cicha. Dzikie wyładowania runów dobiegły końca i obozowisko znowu otoczyły gęste ciemności.

- No, wreszcie - burknął Curk. - Teraz możemy się zdrzemnąć.

Zawinął się już w koce, a potem zakorkował dzban i zamknął oczy.

## Złoto Brayana

- Nie liczylbym na to. - Arlen stał na skraju kręgu światła rzucanego przez ognisko i patrzył na drogę, którą przyjechali. Wytężył słuch i pochwycił odległy wrzask, który znał aż za dobrze.

Curk otworzył lekko jedno oko.

- Co masz na myśli?

- Idzie tu skalny demon. Spory. Już go słyhać.

Curk przekrzywił lekko głowę, nasłuchując kolejnych wrzasków.

- Ten otchłaniec jest daleko stąd, chłopcze - parsknął. - Całe mile!

Ułożył się wygodniej i znów zawinął w koce.

- To bez znaczenia - rzekł Arlen. - On zna mój zapach.

- Twój zapach? - Curk parsknął ponownie, lecz tym razem nie otworzył oczu. - Co, forse mu wisisz?

- Coś w tym stylu - zachichotał Arlen.

Wkrótce ziemia zaczęła drzeć, dudnić, wreszcie dygotać, a w polu widzenia pojawił się gigantyczny, jednoręki demon.

Curk otworzył oczy.

- To ci dopiero kawał skały - sapnął.

W rzeczy samej, Jednoręki był trzykrotnie wyższy od skalnych demonów widzianych wcześniej. Nawet kikut jego prawego ramienia, odrąbanego przy łokciu, był dłuższy od człowieka. Jednoręki prześladował Arlena od chwili, gdy ten go okaleczył, i chłopak wiedział, że demon nie odpuści, póki jeden z nich nie padnie trupem.

Lecz nie będę to ja, obiecał Arlen potworowi w duchu, gdy ich spojrzenia się spotkały. Znajdę

sposób, żeby cię zabić, nawet gdyby miała być to jedyna rzecz, której dokonam w życiu.

Uniósł dłonie i zaklaskał, co było jego zwyczajowym pozdrowieniem. Ryk atakującego otchłańca rozdarł niebiosy, a potem ciemności znikły w feerii rozbłysków, gdy Jednoręki uderzył w barierę długimi szponami. Magia zaiskrzyła i odrzuciła demona, lecz ten zdołał zachować równowagę, obrócił się wokół własnej osi i uderzył w barierę pancernym ogonem. Magia znów zabsorbowała uderzenie. Arlen wiedział, że moc runów zadaje demonowi straszliwy ból, ale Jednoręki nie zawahał się, pochylił łeb i rogami przypominającymi włócznie znów uderzył, wywołując kolejną, oślepiającą eksplozję magii.

Otchłaniec wrzasnął z frustracji i zaczął okręzać barierę, atakując tu i ówdzie szponami, rogami, ogonem, a nawet kikutem ramienia, usiłując znaleźć słaby punkt w sieci runów.

- Zaraz się zmęczy i da sobie spokój - burknął Curk i przewrócił się na drugi bok, narzucając sobie koc na głowę.

Niemniej Jednoręki nadal krążył dookoła obozowiska i tłukł wściekle w barierę, aż wydawało się, że błyski runów nie gasną, a ciemność pojawia się jedynie na okamgnienie. W magicznym świetle Arlen przyglądał się demonowi uważnie, szukając słabego punktu, ale żadnego nie dostrzegł.

Curk w końcu usiadł.

- Niech to Otchłań! - zaklął. - Cóż się, u licha, dzieje z tym...

## Złoto Brayana

Wytrzeszczył oczy, gdy ujrzał Jednorękiego z bliska.

- To ten demon, który dokonał wyłomu w zeszłym roku! Ten jednoręki skalniak, który usiłuje dopaść Minstrela Keerina za to, że go okaleczył!

- Nie chodzi mu o Keerina - rzekł Arlen. - On chce dopaść mnie.

-A dlaczego niby... - zaczął Curk, lecz znów urwał, domyśliwszy się prawdy. - To ty! Ty jesteś tym chłopakiem z pieśni Keerina.

- Keerin posrałby się w spodnie, gdyby przyszło mu wyjść w nocy poza runy - parsknął Arlen.

- Chcesz, bym uwierzył, że to ty obciąłeś łąsko temu potworowi? - zachichotał Curk. - Bzdura.

Nie powinien był zwracać uwagi na słowa Curka, ale choć upłynęło tyle lat, młodzieńca wciąż irytowało, że Keerin, tchórz co niemiara, przypisał sobie cudze zasługi. Arlen odwrócił się ku demonowi i splunął. Flegma trafiła demona w udo. Furia Jednorękiego osiągnęła niepojęte rozmiary. Tłukł w runy jeszcze mocniej niż dotychczas, wrzeszcząc z bezsilności.

Curk pobladł jak ściana.

- Oszalałeś, chłopcze? Prowokujesz skalnego demona?

- Sprowokowałem go dawno temu - zauważył Arlen. - Teraz tylko chciałem ci pokazać, że to sprawa osobista.

Curk zaklął, odrzucił koce i sięgnął po dzban.

- To moje ostatnie zlecenie z tobą, chłopcze. Już chyba nigdy nie zasnę.

Arlen zignorował jego słowa i nadal wpatrywał się w Jednorękiego. Nienawiść i obrzydzenie kotłowały w jego sercu, gdy próbował obmyślić sposób na zabicie demona. Nigdy nie widział ani nie słyszał o niczym, co mogłoby przebić pancerz skalniaka. Demon stracił ramię przez przypadek i chłopak nie chciał ryzykować życia, próbując to powtórzyć.

Spojrzał na wóz.

-Jak sądzisz, dałoby się go zabić piorunowym patyczkiem? Przecież rozbijają skały.

- Te patyki to nie zabawki, ty stuknięty próżniaku! - warknął Curk. - Jeden taki może urządzić cię gorzej niż skalny demon! A gdybyś okazał się na tyle głupi, by tak czy owak spróbować szczęścia, pamiętaj, że patyczki nie należą do nas! Kiedy je policzą i okaże się, że jest ich mniej niż przed wyjazdem z Miln - że zabrakło chociaż jednego! - nasza reputacja ucierpi o wiele bardziej, niż gdybyśmy stracili wszystkie.

- Tak tylko sobie głośno myślę... - Arlen obrzucił wóz jeszcze jednym tęsknym spojrzeniem.



Następnego ranka w ciszy wyruszyli w dalszą drogę. Okrążali od południa Górę Królewską, zachodnią siostrę Góry Miln, zostawiając za plecami niewielkie górnicze osady, przytulone do jej wschodniego zbocza. W miarę zbliżania się do zachodnich stoków natrafiali na coraz mniej drogowskazów, a trakt



w końcu zmienił się w wąską ścieżynkę wytyczoną przez koleiny.

Po południu dotarli do miejsca, w którym Góra Królewska łączyła się z kolejną w łańcuchu. Znajdowała się tam ogromna polana z wielkim, mierzącym dwadzieścia stóp słupem runicznym. Runy były tak duże, że cała karawana mogła znaleźć schronienie w ich zasięgu.

- Niesamowite - rzekł Arlen. - Odlanie tego słupa i sprowadzenie go tutaj musiało kosztować majątek.

- To, co dla nas jest fortuną, dla hrabiego Brayana to jedynie garść miedzianych promyków - stwierdził Curk.

Arlen zeskoczył z wozu i podszedł do monumentu, aby się lepiej przyjrzeć. Ziemia na polanie była twarda, ubita i usiana wgłębieniami po setkach ognisk palonych przez Posłańców, załogi karawan i osadników. Z gościnności tego miejsca skorzystano całkiem niedawno, gdyż w powietrzu nadal unosił się lekki zapach dymu, jeszcze poprzedniej nocy płonęły tu ogniska.

Arlen zauważył mosiężną tabliczkę przynitowaną do podstawy słupa. Widniał na niej napis: „Góra Brayana”.

- Hrabia Brayan jest właścicielem całej góry? - spytał.

Curk pokiwał głową.

- Kiedy Brayan poprosił o zgodę, by rozpocząć tu odwierty, książę wybuchnął śmiechem i oddał mu całą tę cholerną górę w zamian za piosenkę Min-

Peter V. Brett

strela. Euchor nie wiedział jednak, że Matka Cera, żona hrabiego Brayana, odnalazła w pewnej starej opowieści informacje o kopalni złota na tutejszych zboczach.

- Pewnie już mu nie jest do śmiechu - stwierdził Arlen.

- W tej chwili połowa książęcego długu została zaciągnięta u Brayana - parsknął Curk. - A Matka Cera to jedyna kobieta w mieście, której Euchor nie szczypie w tyłek. Ze strachu!

Obaj wybuchli śmiechem, po czym Arlen wspiął się na słup, by usunąć przywiane liście i niedawno założone gniazdo.

Nastąpiła zimna, wiosenna noc, ale słup emanował ciepłem, przechwytywanym od demonów usiłujących przebić się przez barierę. Wryte na nim runy działały w promieniu pięćdziesięciu stóp. Nawet Jednoręki nie był w stanie się zbliżyć.

Następnego dnia rano Posłańcy ruszyli krętą drogą, prowadzącą do kopalni Brayana. Trakt okrężał górę trzykrotnie i z każdą chwilą stawał się coraz bardziej wąski i nierówny. Dokuczało im też coraz większe zimno. Około południa znaleźli się w cieniu wielkiego, skalnego urwiska. Niespodziewanie powietrze przeciął przenikliwy świst. Arlen uniósł wzrok dokładnie w chwili, gdy coś rąbnęło w ławkę między nim a Curkiem, przebijając się przez drewno niczym szpon skalnego demona.

- To znak, że nie żartujemy. - Zza skał wyszedł mężczyzna z twarzą zasłoniętą chustą. - Mój kompan na szczycie potrafi nawlec igłę bełtem z kuszy.

Arlen i Curk spojrzeli ku górze, gdzie w istocie dostrzegli klęczącego człowieka z twarzą również przewiazaną chustą. Celował w nich z ciężkiej kuszy. Inna, właśnie wystrzelona, leżała obok.

- Niech to Otchłań - splunął Curk. - Wiedziałem, że do tego dojdzie.

Z tymi słowami wysoko uniósł dłonie.

- Został mu tylko jeden bełt - mruknął Arlen.

- Więcej mu nie trzeba - szepnął Curk w odpowiedzi. - Z tej odległości bełt przebije twój ślicz- niutki pancerzyk jak papier.

Ponownie spojrzeli na mężczyznę zagrażającego drogę. Nie miał przy sobie żadnej broni, lecz w ślad za nim ukazało się dwóch innych, dzierżących myśliwskie łuki, i pół tuzina osiłków z kilofami. Wszyscy mieli górnicze hełmy z lampkami i chusty na twarzach. Łucznicy trzymali strzały na cięciwach.

- Nie chcemy nikogo zastrzelić - oznajmił herszt bandytów. - Nie jesteśmy otchłańcami, a jedynie ludźmi, którzy mają rodziny do wyżywienia. Wszyscy wiedzą, że Posłańcy otrzymują zapłatę z góry, a w drodze nie zdejmują juków z koni. Odczepcie więc wóz i ruszajcie w dalszą drogę. Nie mamy zamiaru zabierać tego, co wasze.

- W sumie to nie wiem... - Jeden z osiłków z kilofami podszedł do Arlena. - Taka zbroja też by mi się przydała.

Postukał w napierśnik końcem broni. Na pancerzu pojawiła się druga rysa, tuż obok tej pozostawionej przez Curka.

Peter V. Brett

- Prędeż mnie Otchłań pochłonie! - warknął Arlen i złapał za drzewce kilofa. Szarpnął ku sobie, a górnik stracił równowagę i runął. Chłopak bez wahania wbił okuty stalą but w jego twarz. Rozbójnik plunął krwią i zębami, po czym zwałił się ciężko na ziemię.

Arlen odrzucił kilof daleko i błyskawicznie pochwycił za tarczę i włócznię.

- Z tego wozu dostaniecie tylko jedno! - zawołał. - Cios włócznią w oko!

- Oszalałeś, chłopcze? - zawołał Curk, który nadal trzymał uniesione wysoko dłonie. - Chcesz, byśmy zginęli przez jakiś wóz?

- Obiecaliśmy, że dostarczymy go do Złota Brayana - powiedział głośno Arlen, nie spuszczać z bandytów wzroku. - I słowa dotrzymamy.

- To nie jest zabawa, chłopcze - oznajmił herszt. - Bełt z kuszy przebije tarczę bez problemów!

- To niech się ten twój kusznik przyłoży! - zawołał Arlen na tyle głośno, by tamten go usłyszał. - Bo w przeciwnym razie będziemy musieli się przekonać, czy zdoła uniknąć mej włóczni i nie zleci przy tym ze skały, łamiąc sobie kark.

Herszt podszedł i ujął ramię bandyty, którego Arlen poczęstował kopniakiem. Jednym szarpnięciem postawił osiłka na nogi i pchnął ku reszcie.

- Ten tu to idiota - powiedział Arlenowi. - I mówię za siebie. Ja mówię za nas wszystkich. Zatrzymasz zbroję. Nawet wasz wóz jest nam zbędny. Zdejmiemy tylko parę skrzyń i pozwolimy wam spokojnie odjechać.



Peter V. Brett

Arlen przeszedł na tył wozu i z hukiem postawił stopę na skrzyni z patyczkami.

- Chodzi ci o te skrzynie? A może mam je po prostu zrzucić na ziemię?

Curk krzyknął i cofnął się, spadając z kozła. Wszyscy aż podskoczyli.

Herszt uniósł dłoń i poruszył nią kilkakrotnie, jakby chciał poklepać powietrze.

- Powoli, nikt niczego takiego nie powiedział. Czy ty w ogóle wiesz, co wieziecie, chłopcze?

- Och, wiem, i to dobrze - zapewnił Arlen. Trzymając tarczę wyżej, ukucnął, odłożył włócznie i wyciągnął piorunowy patyczek. Miał on dwa cale średnicy i dziesięć cali długości. Zawinięto go w szary, matowy papier, który maskował moc drzemiacą w zawiniątku. Z jednego końca zwisał cienki lont wolnotłący.

- Mam zapalną, która idealnie do niego pasuje! - zawołał Arlen i uniósł patyk, by wszyscy mogli się przyjrzeć.

Rozbójnicy cofnęli się o kilka kroków.

- Lepiej uważaj, chłopcze! - rzekł herszt. - One potrafią wybuchnąć i bez iskry. Niemądrze tak nimi wymachiwać.

-A więc lepiej się cofnij. - Arlen popatrzył mu w oczy. Zapadła głęboka cisza. Młody chłopak i herszt rozbójników mierzyli się spojrzeniami. Niespodziewanie rozległ się ostry trzask i wszyscy znów podskoczyli.

Arlen zerknął na bok. Curk odciął swego konia z uprzęży i wdrapywał się właśnie na siodło. Uzbro

jony we włócznię i tarczę, zwrócił się ku bandytom. W oczach herszta błysnęło wahanie i chłopak uśmiechnął się lekko.

Niemniej Curk opuścił włócznię i Arlen zrozumiał, że stracił przewagę.

- Nie zamierzam uczestniczyć w tej waszej zabawie z piorunowymi patykami! - wykrzyknął starszy Posłaniec. - Mam jeszcze wiele lat chłania przed sobą i tysiąc pięćset złotych słońc na ten cel!

Herszt bandytów drgnął, ale potem skinął głową.

- Mądry z ciebie człowiek - powiedział.

Skinął na resztę, by się cofnęli i pozwolili Curkowi odjechać.

- Obyś nie zgłupiał po drodze! - zawołał herszt. - Jedź, aż dotrzesz do słupa runicznego!

Curk spojrzał na Arlena.

- Awanturujesz się o rysę na pancerzu, a mimo to gotów jesteś wysadzić się w powietrze dla jakiegoś wozu? - spytał. - W głowie ci się pomieszało, chłopcze.

Mocno uderzył piętami końskie boki i popędził w dół. Chwilę później nie było już go widać, ucichł nawet tętent kopyt.

-Jeszcze nie za późno, by pójść w jego ślady - oznajmił herszt. - Czy widziałeś, co taki patyk może zrobić z człowiekiem? To, co masz w dłoni, rozerwie cię na kawałki tak drobne, że nie będzie co palić na pogrzebie. Rozedrze tę twoją piękną runiczną zbroję na strzępy niczym papier.

Wskazał szlak, na którym znikł Curk.

- Wskakuj na konia i zjeżdżaj. Możesz sobie nawet zabrać ten patyk, byś poczuł się pewniej.

Peter V. Brett

Ale Arlen ani drgnął.

- Kto ci zdradził, że nadjeżdżamy? Sandar? Jeśli się dowiem, że z jego nogą wszystko w porządku, z ochotą sam mu ją złamię.

- To nie ma znaczenia - odrzekł herszt. - Nikt nie pomyśli, że zaniedbałeś obowiązki. Przyniosłeś dumę swej profesji, ale tego starcia nie wygrasz. Naprawdę ci zależy, by hrabiemu Brayanowi zgadzały się rozliczenia w księgach? Przecież on nawet nie odczuje tej straty!

- Gdzieś mam hrabiego Brayana - przyznał Arlen. - Natomiast zależy mi na dotrzymaniu danego słowa. A obiecałem, że dowiozę do kopalni ten wóz i wszystko, co się na nim znajduje.

Rozbójnicy otoczyli go powoli. Po każdej stronie wozu znajdował się teraz łucznik oraz trzech ludzi uzbrojonych w kilofy.

- Nie ma mowy - oznajmił herszt. - Spróbuj tylko ruszyć wóz, a zastrzelimy ci konia.

Arlen zerknął na łuczników.

- Zastrzelcie mi konia, a będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobicie.

- No i cośmy osiągnęli? - westchnął rozbójnik. - Tylko tyle, że do zmierzchu zostało pół godziny mniej.

- A jak długo macie zamiar czekać? - spytał Arlen i grzmotnął dłonią w rękawicy o swój porysowany napierśnik. - Bo ja mam zamiar stać tu w mej „pięknej runicznej zbroi” aż do pojawienia się otchłāńców.

Przyjrzał się rozbójnikom. Wszyscy byli pieszo i każdy miał przy sobie zaledwie mały tobołek.



## Złoto Brayana

- Wy, jak sądzę, musicie wrócić do słupa runicznego Brayana przed zapadnięciem zmroku. To dlatego kazałeś Curkowi, by nie szczędził konia, prawda? Pieszo będziecie szli przynajmniej pięć godzin. Jeszcze trochę i nie zdążycie na czas. Warto dać się pożreć za kilka pudełek piorunowych patyczków? Przecież macie rodziny do wyżywienia!

- Dobra, próbowaliśmy po dobroci - rzekł herszt. - Fed, załatw go!

Arlen zasłonił się tarczą, ale na próżno czekał na uderzenie.

- Powiedziałeś, że nie padną żadne imiona, Sandar! - zawołał kusznik.

- To bez znaczenia, idioto! - warknął Sandar. - Wystarczy, byś posłał mu bełt między oczy!

Arlen zamarł. No jasne. Nigdy nie spotkał Sandara osobiście, ale wszystko nagle ułożyło się w logiczną całość. Odsunął nieco tarczę, by przyjrzeć się bandycie.

- Udawałeś kontuzję, by wyjechać dzień wcześniej i urządzić zasadzkę na ładunek, który miałeś przewieźć!

- Cóż, i tak nikomu o tym nie opowiesz - wzruszył ramionami Sandar.

Tymczasem kusznik nadal nie strzelał. Arlen zerknął znad tarczy. Dłonie Feda drżały i nie był w stanie utrzymać go na celu. Wreszcie odłożył broń.

- Niech cię szlag, Fed! - krzyknął Sandar. - Strzelaj!

- Obciągnij demonowi! - odkrzyknął Fed. - Nie przyszedłem tu z wami, by strzelać do dzieci! Mój syn jest starszy od tego szczyla.

- Chłopak mógł odejść, ale zmarnował szansę - warknął Sandar. Kilku zbirów mruknęło z aprobatą, a wśród nich ten, którego Arlen kopnął w twarz.

- Gdzieś to mam! - zawołał Fed. - Powiedziałeś, że nikomu nic się nie stanie. Powiedziałeś, że uszczkniemy sobie tylko trochę bogactw z hrabiowskiej kiesy!

Zdjął belt i zarzucił kuszę na ramię, po czym podniósł również zapasową.

-Ja już swoje zrobiłem - dodał i podszedł do żlebu, którym mógł zejść.

Jeden z łuczników również opuścił broń.

- Fed ma rację - oznajmił. - Mam dosyć jedzenia owsianki, podobnie jak wy wszyscy, ale nie zamierzam za to zabijać.

Arlen spojrzał na drugiego łucznika, ale ten westchnął i wypuścił strzałę.

Chłopak zdążył się zasłonić, ale bandyta strzelał z ciężkiego łuku, a tarcza Arlena składała się jedynie z kawałka cienkiej, wyklepanej blachy przyni- towanej do drewna. Jej przeznaczeniem było chronić Posłańca przed otchłańcami i nocnymi wilkami, a nie strzałami. Grot przebił osłonę na wylot i roz- orał policzek Arlena. Chłopak zatoczył się i niemalże stracił równowagę. Ścisnął patyk w dłoni z taką siłą, że aż się wystraszył, iż ten wybuchnie. Wszyscy zamarli.

Arlen złapał jednak równowagę, wyprostował się i odwrócił, pokazując zapalną w osłoniętej przez tarczę dłoni. Potarł ją o kciuk, płomyk zapalił się z trzaskiem.

## Złoto Brayana

- Poczekam, aż płomień poparzy mnie w palce - oznajmił, machając patykiem. - A potem podpalę lont i rzucę tym w każdego, kto będzie w zasięgu.

Kilku rozbójników rzuciło się do ucieczki. Sandar zmrużył oczy, lecz w końcu uniósł chustę, by splunąć, i zagwizdał na resztę. Sam ruszył w dół drogi.

Zapałka poparzyła Arlenowe palce, ale nie musiał zapalać lontu. Kilka chwil później jechał już znowu w górę. Poranny Smigacz nie był zachwycony koniecznością samodzielnego ciągnięcia wozu, ale chłopak nie mógł nic na to poradzić. Nie sądził, by bandyci byli w stanie dogonić go pieszo, ale na wszelki wypadek trzymał patyk i zapałki przy sobie. Gdy dotarł do kolejnego słupa runicznego, zapadały już ciemności.

A tam czekał Sandar.

Posłaniec zrzucił już przebranie górnika. Miał teraz na sobie wysłużoną, poobijaną zbroję i dzierzył ciężką włócznie i tarczę. Siedział na grzbiecie potężnego destriera, o wiele większego od drobnego podjezdka, jakim był Poranny Smigacz. Z takim koniem, a do tego bez konieczności ciągnięcia wozu, Sandar z łatwością wyprzedził Arlena.

- Musiałeś zabawić się w bohatera, co? - zapytał starszy Posłaniec. - Nie mogłeś odpuścić? Gildia jest ubezpieczona. Ty też jesteś ubezpieczony. Mogłeś odjechać wraz z Curkiem i jedynym prze

Peter V. Brett

granym okazałby się hrabia Brayan, któremu i tak złoto z dupy wyłazi.

Arlen nie odpowiedział. Po prostu patrzył.

- Lecz teraz - Sandar uniósł włócznię - teraz już muszę cię zabić. Przecież nie uwierzę, że nikomu o moim podstępie nie powiesz.

- A miałbym to może przemilczeć, co? - spytał Arlen. - Nie lubię, jak się do mnie mierzy z łuków.

Ujął piorunowy patyczek leżący obok niego na kozle.

Sandar podjechał bliżej.

- No, śmiało - zachęcił go. - Jestem za blisko. Wysadzisz w powietrze wszystko, co jest na wozie. Zabijesz nas obu, zabijesz nasze konie, a patyczki koniec końców i tak nie dotrą do Brayana.

Arlen spojrzał mu twardo w oczy, wiedząc, że Posłaniec ma rację. Bez względu na to, co sądził o nim Curk, nie był szaleńcem i nie miał zamiaru ginąć tego dnia.

- No to złaź z konia - powiedział. - Stoczmy uczciwy pojedynek. Nasze włócznie zadecydują, który z nas odejdzie.

- Nikt ci nie zarzuci, że nie masz jaj, chłopcze - zaśmiał się Sandar. - Jeśli chcesz, żebym spuścił ci solidne lanie przed śmiercią, z przyjemnością spełnię twą prośbę.

Wjechał na polanę otaczającą słup runiczny, zeskokczył z siodła i przywiązał konia. Arlen poszedł w jego ślady. Odłożywszy patyk, ujął tarczę oraz włócznię i zeskokczył z kozła.

Młodzieniec przyjął dogodną pozycję, trzymając broń w gotowości. Przez całe wieki trenował walkę włócznią pod okiem Coba i Rageny, ale pierwszy raz przychodziło mu stoczyć prawdziwy pojedynek. Wiedział, że to starcie zakończy rozlew krwi.

Podobnie jak większość Posłańców, Sandar przypominał bardziej niedźwiedzia niż mężczyznę. Miał ogromne, muskularne ramiona i barki, szeroką pierś i twardy brzuch. Z bronią obnosił się ze swobodą, jakby stanowiła naturalne przedłużenie jego ciała, a w oczach lśniło pozbawione życia, bezwzględne i drapieżne spojrzenie Jednorękiego. Arlen czuł, że Sandar nie zawaha się przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

Zaczęli zataczać kręgi w przeciwnych kierunkach, czyhając na okazję do uderzenia. Sandar pchnął na próbę, ale Arlen odtrącił jego włócznię i błyskawicznie powrócił do poprzedniej pozycji, nie dając się wyprowadzić w pole. Sam odpowiedział dobrze wycelowanym pchnięciem, ale zgodnie z jego oczekiwaniami Sandar zablokował je tarczą.

Sandar znów zaatakował, tym razem gwałtowniej, lecz nadal ograniczał się do prostych kroków i wypadów. Arlen znał odpowiednie kontry i blokował przeciwnika, czekając na prawdziwe natarcie.

Lecz to nigdy nie nastąpiło. Sandar był potężnie zbudowany i miał morderczy błysk w oku, ale walczył jak nowicjusz. Po kilkunastu minutach piasów wokół słupa runicznego Arlen znużył się zabawą i przystąpił do ataku. Pochylił się, zwarł swą tarczę

Peter V. Brett

z tarczą przeciwnika, pchnął obie ku górze, by się zasłonić, i opuścił stopę na kolano Posłańca.

W chłodnym powietrzu poniósł się ostry trzask, jakby naga, zmarznięta gałąź pękła pod naporem wiatru. Sandar wrzasnął i zwałił się na ziemię.

-Ty wypierdku Otchłani! - zawył. - Złamałeś mi nogę!

- Zgodnie z obietnicą - rzekł Arlen.

- Zabiję cię! - wykrzyknął Sandar, wijąc się z bólu.

Arlen cofnął się i uniósł przyłbicę.

- Coś mi się nie wydaje. Walka dobiegła końca, Sandar. Czym szybciej się z tym pogodzisz, tym szybciej zabiorę się do nastawiania złamania.

Sandar wbił w niego wściekłe spojrzenie, ale po chwili poddał się i odrzucił daleko włócznie i tarczę. Arlen odłożył własną broń i ujął włócznie Posłańca. Oparł ją o ziemię i spuścił na nią swój okuty stałą but. Drzewce pękło z trzaskiem, a chłopak ułożył obie połówki przy nodze Sandara i uklęknął, by przyjrzeć się złamaniu.

W tej samej chwili Sandar rzucił mu piaskiem w oczy.

Arlen krzyknął i zatoczył się, lecz Sandar przypadł doń błyskawicznie i przycisnął do ziemi. Leżąc na plecach w ciężkiej zbroi, przygnieciony przez rosłego mężczyznę, Arlen nie był w stanie się podnieść.

- Zatłukę cię jak psa! - wrzeszczał Sandar, okładając głowę Arlena pięściami w ciężkich rękawicach. Zamiast go sparaliżować, ból najwyraźniej obudził nim w furię jak w osaczonym nocnym wilku.

## Złoto Brayana

Arlen poczuł, jakby się znalazł we wnętrzu rozkołysanego dzwonu. Ciosy Sandara spadały jeden po drugim, młodzieniec nie potrafił zebrać myśli. Na pół oślepiiony piaskiem, bardziej wyczuł, niż zobaczył, że w dłoni Sandara pojawił się długi nóż. Napierśnik zatrzymał pierwsze pchnięcie - ostrze ześlizgnęło się po stali - ale za drugim razem ostrze wsunęło się między pierścienie łączące płyty na ramieniu.

Arlen odrzucił głowę i zawył. Zbroja co prawda zatrzymała częściowo ostrze, ale ból był nieprawdopodobny i chłopak wiedział, że nie opuści go przez wiele dni.

O ile uda mu się przeżyć kilka najbliższych chwil.

Sandar porzucił próby wbicia noża głębiej w szczelinę między płytami i próbował teraz wepchnąć go w gardło chłopaka, lecz ten zdołał pochwycić przeciwnika za nadgarstek. Przez dłuższą chwilę zmagali się w ciszy. Arlen wytrzymał się, ale Sandar był od niego znacznie cięższy, znajdował się w bardziej dogodnej pozycji, a wściekłość jeszcze dodawała mu sił. Ostrze noża było coraz bliżej wąskiej szpary między hełmem Arlena a jego napierśnikiem.

- No, jeszcze trochę - szepnął Sandar.

- Niedoczekanie - chrząknął Arlen i grzmotnął dłonią w ciężkiej rękawicy w złamane kolano Sandara. Posłaniec wrzasnął z bólu i cofnął się, a wtedy chłopak rąbnął go prosto w szczękę. Jego przeciwnik padł na ziemię, a wtedy Arlen przypadł doń, przygwoździł kolanem ramię, po czym uderzył

kilka razy, aż broń wysunęła się z bezsilnej dłoni Sandara.



Zmrok zapadł już dawno, kiedy Arlen zasiadł na skraju ochronnego pola, tworzonego przez słup runiczny. Przyglądał się Jednorękiemu i z zadumą obracał w dłoniach piorunowy patyk. W drugiej dłoni trzymał zapalną z białą końcówką. Korciło go, by podpalić lont i rzucić patyczek. Wyobrażał sobie, jak materiał wybuchowy wpada między szczęki Jednorękiego, a eksplozja rozrywa łeb demona na strzępy. Wyobraził sobie jego bezgłowe, ociekające juchą ciało rozwłócone po ziemi.

W głowie Arlena jednak nadal rozbrzmiewał głos Curka: „Te patyki nie są nasze, chłopcze!”. Curk może i okazał się tchórzem, ale w tej sprawie miał słuszość. Arlen nie był złodziejem. Zerknął na Sandara i ze zdumieniem odkrył, że Posłaniec jest przytomny i wpatruje się w niego przenikliwie.

- Wiem, o czym myślisz - rzekł Sandar. - Wiedz jednak, że na zboczach tej góry leży całe mnóstwo gładów i kamieni. Taki patyk może i zabije demona, ale przy tym na pewno wywoła lawinę.

- Nie masz pojęcia, o czym myślę - prychnął Arlen.

- No, to prawda - burknął Sandar. - Od jakiegoś czasu próbuję się połapać, dlaczego usztyniłeś mi nogę i opatrzyłeś głowę. Ja na twoim miejscu zabiłbym cię i zrzucił ciało z klifu.





Peter V. Brett

- Nie zależy mi na twojej śmierci. Z tymi łupkami dalej możesz jechać konno. Jeśli nie będziesz robił problemów w drodze powrotnej, nie powiem Malcumowi wszystkiego. Usłyszysz tylko tyle, by mieć powód do odebrania ci licencji.

Sandar zarechotał.

-Ja się nie martwię Malcumem, ale hrabią Brayanem! Jeśli zwącha, że próbowałem go obrabować, przed zachodem słońca zatknij moją głowę na włóczni.

-Jeśli dowieziemy ładunek na miejsce, dopilnuję, byś ocalił głowę - obiecał Arlen.

- Wybacz, ale jakoś nie chce mi się w to wierzyć - skrzywił się Sandar.

- Spróbuj zabić mnie jeszcze raz, jeśli jesteś w stanie - wzruszył ramionami Arlen. - Ostrzegam cię jednak, śpij bardzo lekko. Zirytuj mnie raz jeszcze, a połamię ci tyle kości, że już nigdy nie będziesz mógł wsiąść na konia, a potem zawlokę do osady Brayana, byś mógł spojrzeć w oczy ludziom, których chciałeś okraść.

Sandar pokiwał głową.

- Spij spokojnie. Nie będę robił problemów. Curk się nie mylił. Ty się prosisz o śmierć, chłopcze. Widywałem już takich. Wiele wskazuje na to, że nie przeżyjesz na tyle długo, by komukolwiek o czymkolwiek opowiedzieć.



Zanim demony rozproszyły się i wniknęły do Otchłani o brzasku, Arlen zdążył już zwinąć obozowi-

sko. Obaj z Sandarem wyjechali poza barierę runiczną i rozstali się, gdy tylko słońce wychyliło się zza gór.

Młodzieniec prowadził wóz stromą, krętą górską ścieżką, czując, że z każdą chwilą robi się coraz zimniej. Na milneńskich równinach rozkwitała wiosna, lecz tu wciąż widać było spłachetki śniegu, a zbroja nie wydawała się już dobrą ochroną przeciwko ostremu wiatrowi. Każdego dnia Arlen pokonywał spory odcinek drogi pieszo, zarówno po to, by pobudzić krążenie krwi, jak i po to, by ulżyć Porannemu Smigaczowi, dzielnie wykonującemu pracę dwóch koni. W rezultacie tempo podróży stało się wolniejsze, ale udało się dotrzeć do kolejnego z wielkich słupów Brayana na długo przed zmrokiem. Arlen zdecydował jednak, że warto kontynuować wędrówkę, i tuż przed zachodem słońca rozbił obozowisko pod osłoną własnego kręgu runów. Następnego dnia utrzymał to samo tempo i wcześniej dotarł do trzeciego słupa, by kolejny, czwarty, osiągnąć tuż pod wieczór.

Szlak stawał się coraz bardziej stromy, drzewa po obu stronach karłały, a roślinność pośród kamieni i spłachetków śniegu prezentowała się coraz mizerniej. Ścieżka nadal meandrowała nieprzerwanie, a niekończące się koleiny omijały szerokim łukiem przeszkody terenowe, przez które ludziom wytyczającym szlak nie udało się przebić. Koleiny zresztą wkrótce stały się jedynie śladami w śniegu, a drzewa całkiem znikły.

Młodzieniec był już tak zmęczony, że zarzucił szybkie tempo i zadowolił się dotarciem do kolejne

Peter V. Brett

go słupa runicznego. Z ulgą wchodził w obręb magicznej ochrony, choć nierzadko musiał oczyszczać znaki ze śniegu, by działały z pełną mocą.

Siódmego dnia po wyruszeniu z Miln Arlen zauważył wysoko na zboczu stanicę, o której mówił Malcum. Była to niewielka budowla, chatynka zaledwie, ale po długich dniach przenikliwego zimna, lodowatego wichru i samotności Arlen oddałby wiele za noc pod dachem i okazję do pogawędki.

- Hej tam, w stancy! - wykrzyknął, a jego powitanie odbiło się echem od skalnego klifu.

- Hej, Posłańcze! - w chwilę później echo przyniosło odpowiedź.

Mimo to upłynęła niemalże godzina, nim Arlen dotarł do wbudowanej w skalną ścianę chaty. Chroniące ją runy nie były dziełem sztuki, ale bariera wydawała się solidna, a co ważniejsze, tworzyło ją wiele znaków, których Arlen nigdy wcześniej nie widział. Wyciągnął dziennik, by je przerysować.

Na spotkanie wyszedł mu gospodarz stancy, żółtobrody mężczyzna w ciężkiej kurcie podbitej skórą nocnego wilka. Na kurcie widniał herb hrabiego Brayana. Gospodarz był człowiekiem młodym, liczącym sobie góra dwadzieścia wiosen, nie nosił też broni. Podeszedł do Arlena i wyciągnął dłoń w rękawicy.

- Spodziewałem się Sandara - powiedział z uśmiechem.

- Sandar złamał nogę - odparł Arlen.

- Stwórca jednak istnieje - zaśmiał się gospodarz. - Jestem Derek ze Złota Brayana.

## Złoto Brayana

- A ja Arlen Bales z Potoku Tibbeta - przedstawił się Arlen i mocno uściskał wyciągniętą dłoń.

- To wiesz, jakie jest życie na końcu świata - rzekł Derek. - Wszystko mi opowiesz.

Z tymi słowami klepnął Arlena po ramieniu.

- W środku mam gorącą kawę. Jak chcesz, wejdź i się rozgrzej, a ja wprowadzę konia i wóz do stajni.

Dopiero co minęło południe, ale nie było wątpliwości, że Arlen zostanie tu na noc. Wyglądało na to, że obaj desperacko pragną towarzystwa.

- Nie jest mi zimno. Sam się zajmę ładunkiem - odparł Arlen, choć przemarzniete stopy i dłonie aż pulsowały bólem i nie miał czucia w twarzy. Po tym, przez co przeszedł z Sandarem, nie miał zamiaru spuszczać skrzyń z patyczkami z oczu, dopóki te nie znajdą się za drzwiami wyposażonymi w mocny zamek.

-Jak chcesz, cierp sobie do woli - wzruszył ra-

mionami Derek. Ujął Porannego Smigacza za uzdę i poprowadził do podwójnych drzwi stajni, która również została wykuta w skale. - No, teraz szybko! - Derek pochwycił ogromny, żelazny pierścień, zwisający ze skrzydła wrót. - Nie chcę, żeby ciepło uciekło ze środka.

Uchylił drzwi na tyle, by wóz się zmieścił, a Arlen bezzwłocznie wprowadził Porannego Smigacza do środka. Na krótką chwilę ogarnęło ich rozkoszne ciepło, lecz potem do stajni wtargnął z wyciem lodowaty wiatr, ubiegając Dereka, który próbował zatrzęsnać wrota. Miłe wrażenie wyparowało.

Drżąc, Arlen uświadomił sobie, iż znalazł się w niewielkiej komnacie. Na jej przeciwległej ścia

Peter V. Brett

nie znajdowała się zasłona z ciepłych, postrzępionych futer. Na ścianach po prawej i po lewej stronie migotały lampy oliwne.

Derek zdjął jedną z nich i odsunął kotarę, by mogli przejść. Arlen wybałuszył oczy. Korytarz okazał się jedynie alkową na skraju wielkiej komnaty wrytej we wnętrzu góry. Znajdowały się w niej zagrody dla całych stad, szopy na paszę i miejsce dla przynajmniej tuzina wozów. Przestrzeń była w większości pusta, ale Arlen bez trudu mógł sobie wyobrazić zamieszanie i krzątanie, jakie panowałyby tutaj po przyjeździe karawany.

Nim wóz znalazł się pod ścianą, a koń został rozkulbaczony, Arlen znów zaczął się pocić w swej zbroi. Rozejrzał się po wielkim pomieszczeniu, ale nigdzie nie dostrzegł przewodów kominowych ani ognia.

- Dlaczego tu jest tak ciepło? - spytał.

Derek zaprowadził go do kamiennej ściany i uklęknął, by pokazać wijący się ciąg runów, wymalowany na wysokości kolan. Rozciągał się na całą długość groty.

Arlen przyjrzał się wzorowi. Genialnemu w swojej prostocie.

- Runy ciepła! A więc otchłańce nacierają na stanicę...

- ...a ich magia zostaje zassana do wnętrza i ogrzewa ściany - dokończył Derek. - Bywa, że jest tu gorąco jak w piecu. Aż zaczynam tęsknić za zimnem.

Zlany potem Arlen wcale się tym nie zdziwił.

## Złoto Brayana

Bocznymi drzwiami przeszli do samej stancy. Zarówno sufit, jak i ściany oraz podłoga okazały się litą skałą - długie korytarze, otwory i komnaty wydrążono bowiem we wnętrzu góry. Tu również biegły rzędy runów ciepła.

- Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że stanica sięga aż tak głęboko! - zdumiał się Arlen.

- To jedyny sposób na rozbudowę - wyjaśnił Derek. - Dobudówka na zewnątrz zablokowałaby drogę, i tak jest dość wąska. Ta chatynka z drewna sosnowego to jedynie ganek. Chodź, pokażę ci pokój.

- Dzięki - westchnął Arlen z ulgą. - Jeśli natychmiast nie wyswobodzę się z tej przeklętej zbroi, roztopię się i rozpuszczę. Śpię w niej od tygodnia.

- Twój zapach już mi to zdradził. Możesz zająć apartament dla wysoko urodzonych, akurat stoi pusty. Jest tam wanna.

Apartament został zbudowany z myślą o tym, by hrabia Brayan i jego rodzina mogli zaznać luksusu podczas inspekcji kopalni. Pomieszczenie prezentowało się bowiem wspaniale - meble wykonano z drewna dębowego, podłogi zaścielały futra, a wzdłuż kamiennych ścian biegły runy ciepła. Dla wędrowca liczyło się jednakże tylko to, że było tam porządne łóżko z pierzyną.

- I wreszcie zaświeciło dla mnie słońce - stwierdził Arlen.

- Wanna jest tam - Derek wskazał wklęsłe zagłębienie w kamiennej podłodze, nad którym wznosiła się ciężka pompa. - Pompa jest podłączona do zbiornika podgrzewanej wody. Możesz się

Peter V. Brett

moczyć, jak długo zechcesz, a potem zapraszam na kolację.

Arlen pokiwał głową i gospodarz zostawił go samego. Młodzieniec zamierzał zdjąć zbroję i wymoczyć się w kąpeli, ale ułożył się na chwilę na pierzynie, rozkoszując się jej miękkością, i nie miał już sił, by się podnieść. Zamknął oczy i zapadł w kamienny sen.

6

Arlen nareszcie ściągnął zbroję i podszedł do wanny. Żeby ją napełnić, musiał kilkakrotnie poruszyć dźwignią pompy, co go rozbudziło, ale wiedział, że jak dłużej posiedzi w gorącej wodzie, to znowu uśnie. Ubrał się dopiero, gdy zaczęło mu głośno i natarczywie burczeć w brzuchu. Powoli wyszedł z komnaty, choć bez zbroi czuł się lekki niczym piórko.

- Derek? - zawołał.

-Jestem w kuchni! - usłyszał odpowiedź gospodarza.

- Idź za nosem!

Arlen wciągnął powietrze i żołądek natychmiast zaburczał ze zdwojoną siłą. Idąc za aromatem, dotarł do kuchni, gdzie zastał Dereka przepasanego fartuchem. Gospodarz w lekkich skórzanych rękawiczkach energicznie krzątał się przy garnkach.

- Siadaj - wskazał Arlenowi najbliższy taboret przy owalnym stole w centrum pomieszczenia. Mebel był tak duży, że mogło się przy nim pożywić jednocześnie dwudziestu ludzi.



## Złoto Brayana

- Kolacja będzie gotowa za chwilę. Znowu czujesz się jak człowiek?

- Dopiero teraz, gdy się umyłem, zdałem sobie sprawę, jak bardzo byłem brudny. - Arlen pokiwał głową i usiadł.

Derek podszedł do baryłki i napełnił kufel pieniącym się piwem, a potem z wyćwiczoną swobodą pchnął naczynie po wypolerowanym stole do Arlena.

- Beczki z piwem trzymam w śniegu, póki nie są potrzebne. Tę odszpuntowałem specjalnie, by uczcić twe przybycie.

Napełnił własny kufel i uniósł go w toaście.

Arlen uczynił to samo i obaj tego pociągęli. Chłopak z zaskoczeniem spojrział w głąb naczynia.

- Spędziłem tydzień na trakcie i może nieco mi odbija, ale byłbym przysięgł, że to piwo Bogginów.

- Otóż to. - Derek wyjął kufel z rąk Arlena, by go ponownie napełnić. - I przyjechało tu prosto z Potoku Tibbeta. - Dobrze znać każdego Posłańca, woźnicę i ochroniarza po imieniu.

- To było pierwsze piwo, które miałem okazję pić - przyznał Arlen, po czym pociągnął po raz drugi, tym razem dłużej rozkoszując się smakiem. Niespodziewanie znów miał dwanaście lat i przysłuchiwał się, jak Ragen i stary Wieprz targują się w składzie w Potoku Tibbeta.

- Pierwsze piwo zawsze smakuje najlepiej - uśmiechnął się Derek.

Młodzieniec pokiwał głową i znów się napił.

- Ten moment zmienił moje życie na zawsze.

- Ten moment zmienia życie każdego z nas! - zaśmiał się gospodarz i odstawił kufel, po czym ujął wydrążony bochenek chleba i wypełnił go gulaszem z warzyw i mięsa.

Arlen rzucił się na jedzenie z łapczywością otchłańca. Odrywał kawałki gorącej skórki, nabierał nimi smakowitą potrawkę i wpychał łakomie do ust. W ciągu zaledwie kilku chwil wymiół talerz do czysta, nie pozostawiając ani okruszka czy plamki sosu. Nie przypominał sobie, by jakkolwiek posiłek w życiu sprawił mu tyle przyjemności.

- Na noc, nawet moja mama tak dobrze nie gotowała. - Westchnął.

Derek się uśmiechnął.

- Nie mam tu wiele do roboty, więc przynajmniej nauczyłem się porządnie gotować.

Gospodarz zebrał ze stołu talerze i kufle, które zastąpił filiżankami z oszałamiająco pachnącą kawą.

-Jeśli chcesz, wypijemy kawę na ganku i popatrzymy na zachód słońca - zaproponował. - Mam wielkie okna zrobione z runicznego szkła, produkuje się je dopiero od kilku lat. Widziałeś kiedyś takie?

Arlen uśmiechnął się lekko. To on przyniósł runy szkła do Miln, a warsztat Coba miał monopol na produkty szklane dostarczane do hrabiego Brayana. Niewykluczone, że sam Arlen wykonał runy dla stancy.

- Słyszałem o tym co nieco - przyznał wymijająco, nie chcąc odbierać satysfakcji gospodarzowi, który wydawał się bardzo dumny z nowego nabytku.

Gdy wyszli z kuchni, kamienna podłoga ustąpiła miejsca wypolerowanemu deskom sosnowym. Doszli

do sporej świetlicy, w której znajdowały się wyściełane ławy i niskie stoły. Uwagę Arlena natychmiast przyciągnęło okno, a to, co tam ujrzał, zaparło mu dech w piersiach.

Swego czasu uważał, że panorama gór widziana z dachu Książęcej Biblioteki w Miln to najwspanialszy widok na świecie, ale był to jedynie drobny wycinek tego, co rozciągało się za oknem. Wydawało się, że stacja góruje nad górami. Daleko w dole kłębiły się chmury, a gdy się wreszcie rozwiały, chłopak dostrzegł malutki, ledwie zauważalny Fort Miln.

Usiedli przy oknach, a wtedy Derek wyciągnął fajki, kapciuch z tytoniem i pudełko z zapalkami. Przez dłuższą chwilę palili i w ciszy pili kawę, przyglądając się zachodowi słońca z wierzchołka świata.

- Wątpię, czy kiedykolwiek przyjdzie mi jeszcze widzieć coś równie pięknego - rzekł Arlen.

Derek westchnął, popijając kawę.

- Kiedyś też tak uważałem, ale teraz to dla mnie jedynie czwarta ściana więzienia.

Arlen spojrzał nań baczniej i policzki gospodarza pokrył rumieniec.

- Przepraszam. Nie chciałem odbierać ci przyjemności.

Młodzieniec zbył przeprosiny machnięciem dłoni.

- Wierz mi, doskonale wiem, jak się czujesz. Jak często następuje tu zmiana?

- Kiedyś wymieniano nas co miesiąc - mruknął Derek. - Ale potem baron przyłapał mnie ze swoją córką w opuszczonym szybie i mało brakowało, a jaja by mi oberznął. Powiedział, że prędzej

go Otchłań pochłonie, niż jego córka poślubi służbę. Siedzę tu od trzech miesięcy bez żadnych szans na zmianę. Pewnie panna doczekała się krwawienia, bo w przeciwnym razie już by mnie ściągnięto i wezwano Opiekuna. Będę miał sporo szczęścia, jeśli wrócę do domu po tym, jak stacja zostanie zamknięta na zimę.

- Siedzisz tu sam od trzech miesięcy? - zdumiał się Arlen. Na samą myśl dostał dreszczy.

- No, zdarza mi się towarzystwo - rzekł gospodarz. - Mniej więcej co dwa tygodnie zatrzymuje się tu jakiś Posłaniec, kilka razy na rok przejeżdżają karawany. Siedzę na dupie przez całe tygodnie, a potem nagle mam na karku tuzin wozów oraz pięćdziesiąt sztuk bydła i zwierząt pociągowych, a do tego trzydziestu ochroniarzy domagających się kwatery i nadętego arystokratę, który nie przestaje na mnie wrzeszczeć.

- Była tego warta? - spytał Arlen.

- Stasy Talor? - zachichotał Derek. - Nie ma piękniejszej dziewczyny na całym świecie. Możesz jej przekazać, że tak powiedziałem. Mogłem zostać zięciem barona, a nie siedzieć na tym wygnaniu!

- Nie możesz odejść? - indagował Arlen. - Nie możesz sobie znaleźć innej pracy?

Derek pokręcił głową.

- W Złocie Brayana jest tylko praca, którą oferuje baron. I jeśli baron zadecyduje, że masz spędzić cały rok w stacji, to cóż... - Gospodarz wzruszył ramionami. - Tak czy owak, myślę sobie, że gadanie do siebie całymi dniami jest lepsze od wyma

## Złoto Brayana

chiwania kilofem w ciemnych szybach, gdzie grozi tąpnięcie bądź przypadkowe otwarcie drogi do Otchłani.

- To chyba tak nie działa - zaproponował Arlen.

- No i jest chyba bezpieczniejsze od pracy Posłańca - dodał Derek. - Co ci się stało w policzek?

Arlen odruchowo przesunął palcami po skaleczeniu, które pozostawiła strzała bandyty. Niedługo po starciu zrobił sobie okład z ziół i zaszył fachowo ranę. Goiła się całkiem nieźle, ale widać było zakrzepłą krew i zaczerwienioną skórę.

- Dostałem od bandytów, którzy chcieli mi ukraść piorunowe patyczki - wyjaśnił. - Tuż za trzecim słupem dla karawan.

W kilku zdaniach opowiedział całą historię.

- Masz jaja twarde jak skalny demon, skoro zdecydowałeś się machać piorunowym patyczkiem - stwierdził Derek. - I szczęście, że złodzieje nie chcieli nikogo skrzywdzić. Po surowej zimie wielu ludziom przestaje zależeć.

Arlen wzruszył ramionami.

- Nie mogłem tak po prostu oddać ładunku podczas mojego pierwszego samodzielnego kursu! Dałbym zły przykład!

Derek pokiwał głową.

- Cóż, przez resztę drogi na bandytów już się nie natkniesz. Dotrzesz do Złota Brayana za dwa dni pod wieczór.

- Jeszcze tak długo? - spytał chłopak. - Przecież to już prawie szczyt! Sądziłem, że wystarczy strzelić z bicza, a po południu będę na miejscu!

- Powietrze jest tu mocno rozrzedzone, Posłańcze - zaśmiał się Derek. - Zobaczysz, będziesz sapał i zipał, jakbyś wspinał się po klifie, a nie szedł traktem dla wozów. Nawet ja przez kilka dni czuję zmęczenie po powrocie do domu, choć przecież przyszedłem na świat w Złocie Brayana.

Słońce zamieniło się już w cienką linię ognia na horyzoncie i w chwilę później całkiem zgasło. Izba pogrążyła się w mroku, a na zewnątrz jedynie biel śniegu kontrastowała z ciemniejącym niebem.

Arlen odwrócił się do Dereka, który stał się tylko ciemną sylwetką. Żar w jego fajce mienił się lekko, gdy pykał.

- Nie zapalisz żadnych lamp?

Derek pokręcił głową.

- Poczekaj.

Arlen wzruszył ramionami i znów skupił uwagę na oknie. Na trakcie właśnie materializował się skalny demon. Jego pancerz miał tę samą szarawą barwę co u jego pobratymców na nizinach, ale potwór był o wiele mniejszy, z długimi, patykowatymi ramionami oraz nogami o dwóch stawach. Wzdłuż kończyn sterczały drobne, ostre narośle. Demon poruszał się równie często na czworakach co w pozycji pionowej.

- Zawsze sądziłem, że czym wyżej, tym większe skalne demony - rzekł Arlen. - Nie wiem, skąd mi się to przekonanie wzięło.

- Tymczasem jest na odwrót - odparł Derek. - Tu nie ma specjalnie na co polować, zresztą tym większym trudniej się poruszać w głębokim śniegu. Potykają się i przewracają.



- Dobrze wiedzieć - powiedział Arlen.

Skalny demon dostrzegł ich i zaatakował okno z przerażającą prędkością. Arlen nigdy nie widział, by któryś z potworów biegał czy skakał tak szybko. Skalniak wyrznął w barierę - magia rozbłysła niczym błyskawica i cisnęła nim z powrotem na drogę, niemalże strącając w dół zbocza. Otchłaniec w ostatniej chwili wbił pazury w krawędź klifu.

Niespodziewanie ożyły wszystkie runy stancy. Zapalały się jeden po drugim, w miarę jak zasysana magia uaktywniała sieć, i skomplikowane wzory ułożone z symboli zaczęły płaszać na ścianach i wzdłuż belek.

Wiele z nich zgasło zaraz po tym, jak zapłonęło, ale Arlen czuł, że runy ciepła nadal słabo emanują, a runy światła, sprzężone z nimi w sieci, zajaśniały łagodną fosforescencją.

Peter V. Brett

Kolejny otchłaniec natarł na okno - tym razem był to wichrowy demon, który wrzasnął, rzucając się do ataku z lotu nurkowego. Sieć zapłonęła ponownie, runy ciepła rozgrzały się bardziej, a runy światła zapłonęły żywiej. Coraz to nowe demony przystępowały do ataku, a w izbie stało się jasno i ciepło. Nawet za pomocą tuzina lamp i huczącego ognia w kominku nie osiągnęłoby się tego efektu.

-Zdumiewające - stwierdził Arlen. - Nigdy dotąd nie widziałem takiego układu runów.

- Hrabia Brayan nie szczędzi wydatków na własne wygody - odparł Derek. Jakiś demon niespodziewanie zaatakował runy tuż przed nim. Gospodarz aż się poderwał zaskoczony, ale potem skrzywił się i pożegnał otchłanica obscenicznym gestem.

- Zawsze atakują okno - powiedział. - Te same demony, noc w noc. Ciągłe mam nadzieję, że kiedyś dadzą sobie spokój, ale one chyba nigdy się nie nauczą.

- To na twój widok im odbija - stwierdził Arlen. - Otchłanice zeżrą wszystko, co dopadną, ale myślę, że przede wszystkim syci je zabijanie, a w szczególności zabijanie ludzi. Jeśli wiedzą, że tu jesteś, będą przychodzić i sprawdzać runy co noc, nawet jeśli przebicie się przez któryś z nich miałyby potrwać sto lat.

- Na noc, toś mnie pocieszył - skrzywił się Derek.

- Póki panuje noc, nie oczekuj pociechy - odparł Arlen, znów spoglądając przez okno. - A zatem tak wysoko spotyka się tylko demony wichrowe i skalne?



- I śnieżne - dodał Derek. - Te jednakże materializują się jeszcze wyżej, tam gdzie śnieg nigdy nie topnieje, ale schodzą niżej wraz ze śnieżycami.

- Widziałeś je? - Arlen rozdziawił usta ze zdziwienia.

- Tak, jasne - rzekł Derek, ale badawcze spojrzenie Arlena sprawiło, że jego pewność siebie zaczęła słabnąć.  
- Znaczą się, raz - poprawił się. - Chyba.

- Chyba?

- No, okno było zaparowane od gorąca z runów...

Arlen uniósł brew, ale Derek wzruszył ramionami.

- Nie mam zamiaru wciskać ci bujdy. Może widziałem któregoś z nich, może nie. Nie ma znaczenia. Na pewno nie przestanę kreślić tych runów. Nawet jeśli do końca życia nie ujrzę otchłāńca, będę rysował runy, a moim dzieciom i wnukom każę robić to samo.

-1 słusznie - zgodził się Arlen. - Nauczysz mnie runów śniegu?

-Jasne. Tam gdzieś leży tabliczka i kreda. - Derek pokazał miejsce, a sam zabrał się do wystukiwania tytoniu z fajki. Arlen podał mu przybory i pochylił się nad tabliczką, z ciekawością przyglądając się rysowanym przez gospodarza symbolom.

Ze zdumieniem odkrył, że podstawowy run trzymający śnieżne demony na dystans jest odmianą znaku, który broni przed demonami wodnymi. Tworzące go linie układały się we wzór przypominający śnieżynkę. Derek rysował, a Arlen, który miał spore doświadczenie w kreśleniu runów, szybko

Peter V. Brett

zrozumiał, w jaki sposób energia rozplywa się po sieci. Jego dłonie poruszały się same, przerysowując symbole do dziennika i opatrując je komentarzami.



Arlen leżał już w puchowej pościeli, gdy Jednoręki natrafił na jego ślad i dotarł do stancy. Młodzieniec usłyszał wyraźnie wycie, a potem łoskot uderzeń w barierę - otchłaniec jak zwykle sprawdzał moc runów. Stanica była dobrze zabezpieczona, ale wściekły atak skalnego demona przekazał więcej mocy runom światła i ciepła, więc w komnacie robiło się coraz cieplej i jaśniej, aż chłopakowi wydawało się, że znalazł się w południe pod bezchmurnym, słonecznym niebem nad Podmokłym Bagniskiem. Leżał zlany potem, a dzięki parze przenikającej z podwórza wszystko pokryła wilgoć. Czuł, że po powrocie do domu czeka go parę dni oczyszczania zbroi z rdzy.

W końcu Arlen uznał, że na pewno nie uda mu się zasnąć, więc wstał i aż do rana rzeźbił śnieżne runy Dereka i dołączał je do swego przenośnego kręgu. Derek również nie zmrużył oka. Bładym świtem zaprzął konia do wozu i pomógł Arlenowi w przygotowaniach do dalszej podróży. Młody Posłaniec wyruszył, gdy tylko słońce wynurzyło się zza grani.

Gospodarz stancy nie przesadzał - wędrówka stała się teraz o wiele trudniejsza. Po nocy spędzonej w dusznej, gorącej komnacie Arlen z początku nie miał nic przeciwko zimnym podmuchom wia

tru, ale wkrótce chłód przeniknął jego ciało, tym bardziej że płaszcz i bielizna były wilgotne, a na napiersniku pojawił się szron. Chociaż próbował ze wszystkich sił, nie był w stanie zaczerpnąć oddechu. Nawet Poranny Smigacz dyszał i rzeził. Poruszali się teraz w ślimaczym tempie i choć od kolejnego słupa dzieliło ich zaledwie kilka mil, dotarli tam późnym popołudniem. Arlen stracił ochotę na dalszą wspinaczkę.

Kolejny dzień okazał się jeszcze trudniejszy. Jego płuca przez noc przyzwyczyły się już nieco do wysokości, ale szlak nadal piął się stromo w górę.

- Na szczycie musi być naprawdę dużo złota -

powiedział Arlen do Porannego Smigacza. - Trzeba go wiele, by zrekompensować taką mękę.

Natychmiast pożałował tych słów - bynajmniej nie dlatego, że powiedział nieprawdę, lecz dlatego, że ledwie się odezwał, a płuca natychmiast zapłonęły żywym ogniem.

Nie było rady, jak tylko przec przed siebie, więc Arlen zwiesił nisko głowę i starał się ignorować przenikliwy wiatr i zasy sypkiego śniegu, miejscami sięgające mu do kolan. Koleiny już dawno znikły i szlak prawie zniknął, niemniej Posłaniec nie potrzebował drogowskazów. Mógł iść bowiem tylko naprzód, między zboczem a stromym klifem.

Około południa ciało Arlena płonęło bólem z braku tlenu, a zbroja ciążyła mu nie do zniesienia. Chłopak zaczął się zastanawiać, czyby jej nie zdjąć, ale obawiał się, że kiedy się zatrzyma, nie zdoła się zmusić do dalszej drogi.

Peter V. Brett

Mnóstwo ludzi pokonało przede mną tę trasę, upomniał się. Dlaczego ja miałbym nie dać sobie rady?

Było już późno, gdy w zasięgu wzroku pojawiła się niewielka górnicza osada. Zarówno Arlen, jak i Poranny Smigacz dobrnęli do niej ostatkiem sił. Okazało się, że Złoto Brayana składa się z domów drewnianych lub wykonanych z kopalnianego urobku, mocno ubitej ziemi oraz pociętych i sproszkowanych kamieni. Większość nie prezentowała się okazale - drzwi przesłaniały wyprawione skóry, a do ścian przylegały namioty - ale w środku osady zacna gospoda górowała nad prymitywną zabudową.

W okolicy kręciło się niewielu ludzi, głównie dzieci i kobiety, jako że mężczyźni pracowali w kopalniach. Arlen zwilżył suche, popękane usta, przytknął do nich róg Posłańca i zagrał długą, czystą nutę. Zimne powietrze wpadło do jego gardła, wywołując kolejną falę bólu.

- Posłaniec! - zawołał jakiś chłopiec.

Chwilę później otoczyły go dzieci, podskakujące wesoło i dopytujące się, co przywiózł. Arlen uśmiechnął się. Jako dziecko zachowywał się identycznie, gdy do Potoku Tibbeta przybył Posłaniec. Dobrze przygotowany rozdał dzieciom cukierki w kukurydzianych łupinkach, zabawki i gry. Ich radość była dlań niczym gorący prysznic. Niespodziewanie wspinaczka po górskim zboczu nie wydawała mu się już trudnym wyzwaniem. Poczul, że siły mu wracają.

-Ja też chcę kiedyś zostać Posłańcem! - oznajmił chłopiec, a Arlen zmierzwił mu włosy i wsunął jeszcze jeden smakołyk do rączki.

## Złoto Brayana

-Jesteś na dzień przed czasem! - zabrzmiał głębszy, dojrzały głos. Arlen odwrócił się i ujrzał drobnego mężczyznę odzianego w piękny futrzany płaszcz oraz zamszowe buty i rękawiczki podbite białym futrem z gronostajów. Za nim stało dwóch barczystych ochroniarzy. Do pasów przytroczyli niewielkie oskardy, które mogły służyć zarówno jako broń, jak i narzędzia. Mężczyzna zaś podszedł i wyciągnął rękę z uprzejmym uśmiechem.

- Natknąłem się na bandytów. - Arlen uściśnął podaną dłoń. - Pognałem więc konia i minąłem jeden ze słupów, by nieco nadgonić.

- Nazywam się Talor - przedstawił się nieznajomy. - Jestem kuzynem hrabiego Brayana i baronem Złota Brayana. Co się stało z Sandarem?

- Złamał nogę - odparł chłopak. - A ja jestem Arlen Bales.

Talor położył dłoń na ramieniu chłopaka i nachylił się do niego:

- Powiem te same trzy rzeczy, które mówię każdemu Posłańcowi, kończącemu tu swój pierwszy kurs. Droga do Złota Brayana jest zawsze najtrudniejsza za pierwszym podejściem. Jutro rano dojdiesz do siebie. Łatwiej się schodzi, niż dociera na górę.

Zaśmiał się, jak gdyby opowiedział świetny dowcip, i klepnął naplecznik Arlena, aż brzęknęło.

- Tak czy owak, dziwię się, że przysłali tu nowicjusza w pojedynkę - dodał.

- Podróżowałem wraz z Posłańcem Curkiem, ale uciekł na widok bandytów.

Peter V. Brett

- A ładunek jest nietknięty? - Talor zmrużył oczy.

- Co do gwoźdźcia - uśmiechnął się Arlen i podał mu zawoskowaną tubę, na której odcisnięto pieczęć hrabiego Brayana z młotem i kilofem.

- Ha! - odetchnął baron i napięcie opuściło go w jednej chwili. Ponownie klepnął Arlena w plecy. - Wygląda na to, że masz mi sporo do opowiedzenia, gdy już usiądziemy w ciepłe!

Uniósł rękę i obaj ochroniarze przejęli wóz. Z Arlenem u boku baron złamał pieczęć, otworzył tubę i wyjął spis ładunku. Skrupulatnie przejrzał listę, na której znalazł się każdy element ładunku wraz z osobistym sprzętem Posłańca. W tubie znajdował się również list napisany przez hrabiego o nieznanym Arlenowi treści. Baron wetknął go do kieszeni płaszcza.

Podeszli do stajni, gdzie chłopcy rozkulbaczali Porannego Smigacza, a ochroniarze rozładowywali wóz. Arlen chciał im pomóc, ale Talor go zatrzymał.

- Spędziłeś ponad tydzień na trakcie, Posłańcze - powiedział. - Pora, by słudzy też trochę pozginali karki.

Wręczył spis ładunku komuś ze swych ludzi w stajni i poprowadził Arlena do gospody.



Podobnie jak stanicę, gospodę chroniły runy ciepła, dlatego w izbach było bardzo przyjemnie. Z przodu znajdował się sklep, będący tu jedynym źródłem

towarów pierwszej potrzeby. Półki za ladą ugięły się od najrozmaitszych towarów, a na tabliczkach wypisano kredą ceny za jedzenie, inwentarz i specjalistyczne narzędzia.

W sklepie panował tłok. Przeważały kobiety, w tym wiele z dziećmi uczeponymi spódnic, wykrzykujące zamówienia do sprzedawczyni za ladą. Ta przyjmowała zapłatę i przekazywała kolejnym barczystym ochroniarzom barona, co mają przynieść z magazynu.

W porównaniu z ciszą na trakcie wrzawa wydawała się przytłaczająca, ale baron, nie zwlekając, zaprowadził Posłańca do izby biesiadnej i usadził w cichej alkwie przy bogato przystrojonym stole. Karczmarz natychmiast przyniósł im kawę.

Arlen dmuchał na parujący napój i popijał go małymi łydkami. Czuł, jak ciepło powoli wnika w jego kości. Baron czekał cierpliwie, pozwalając mu dojść do siebie. Do stołu podeszły dwie kobiety, jedna młoda, a druga w średnim wieku. Ich suknie były o wiele skromniejsze od noszonych przez arystokratki w Forcie Miln, ale wyróżniał je zacny materiał i zgrabny fason.

Arlen powstał uprzejmie, a baron ucałował obie kobiety i przedstawił je gościowi.

- Posłańcze Arlenie Bales, oto moja żona, lady Delia Talor, oraz córka Stasy.

Arlen zauważył, że baron pominął tytuł „Matka” przed imieniem baronowej, ale zachował to dla siebie. Ukłonił się i pocałował dłonie szlachcianek, tak jak nauczył go tego Cob.

Baronowa miała około pięćdziesięciu lat i nie należała do piękności - miała długą szyję i wychudzoną, mizerną twarz, przez co przypominała wodnego ptaka. Stasy jednakże była równie piękna, jak opisywał Derek.

Miała mniej więcej tyle lat co Arlen. Ciemnowłosa, niebieskooka dziewczyna, wysoka i gibka jak mieszkanki Miln. Jej twarz z pewnością można było nazwać śliczną, ale Arlenowi przyszło do głowy, iż naprawdę piękną czyni ją smutek w oczach. Tasiemki gorsetu miała rozwiązane, jakby ubranie było na nią za ciasne.

„Pewnie doczekała się już krwawienia” - powiedział Derek, ale Arlen niespodziewanie zwątpił w jego słowa. Pospiesznie uniósł głowę i spojrzał dziewczynie w oczy, by nie zorientowała się, że przygląda się jej brzuchowi.

Wszyscy usiedli, a baron i baronowa złamali pieczęć i pochylili się nad listem hrabiego Brayana. W pewnym momencie zaczęli rozmawiać ochrypłym szeptem i zerkać na Stasy, ale Arlen udawał, że tego nie widzi. Zerknął na baronównę, lecz dziewczyna nie zwracała na niego uwagi, smutne oczy wbiwszy w rodziców.

W końcu baron chrząknął i spojrzał na Arlena.

- Wkrótce będziemy szykować karawanę do Miln, więc możesz zostawić tu wóz i ruszać konno do domu. Będziesz miał do zabrania jedynie trochę listów.

Chłopak pokiwał głową i w chwilę później uraczono go porządnym obiadem. Baron i jego żona zasypali go tysiącami pytań na temat wydarzeń



w Miln, a Arlen posłusznie opowiadał o wszystkim, co wiedział, nie pomijając również plotek zasłyszanych w Gildii Posłańców. Wyglądało zresztą na to, że właśnie plotkami dwójka arystokratów na wygnaniu interesuje się najbardziej. Stasy nie brała udziału w rozmowie, tylko siedziała z wbitym w po- dołek wzrokiem.

Pod koniec posiłku do stołu podszedł ochroniarz z tabliczką zapisaną kredą oraz spisem ładunku.

- Brakuje jednego patyczka - oznajmił i obrzucił Arlena podejrzliwym spojrzeniem.

- Bzdura - rzekł Talor. - Przeliczcie raz jeszcze.

- Przeliczyliśmy już dwukrotnie - zapewnił ochroniarz.

Baron skrzywił się i zerknął na Arlena, po czym odezwał się z wymuszonym uśmiechem:

- No to przeliczcie po raz trzeci!

Arlen odchrząknął.

- Nie, wasz człowiek ma rację, baronie. Ow brakujący patyk leży z przodu wozu, pod kozłem. Gdyby nie on, nigdy bym się nie opędził od rozbójników.

Usiłował wmówić sam sobie, iż całkiem o nim zapomniał, ale w głębi duszy wiedział, że zostawił go tam celowo, być może łudząc się nadzieją, że umknie uwagi sług barona.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem, nawet Stasy uniosła głowę. Arlen szybko opowiedział o spotkaniu z rozbójnikami, choć nie wspomniał o Sandarze. Baron Talor wpatrywał się w niego z rozwartymi szeroko ustami.

- Przegnałeś ich, machając patykiem i blefując?

Peter V. Brett

- Nie powiedziałem, że blefowałem - uśmiechnął się Arlen.

Talor wybuchnął śmiechem i pokręcił głową.

- Sam nie wiem, czy to najodważniejszy, czy też najbardziej szalony wyczyn, o którym słyszałem! Jeśli to prawda, chłopcze, to oznacza, że masz jaja jak skalny demon!

- Powiada się, że człowiek nie zostaje Posłańcem, jeśli nie zrobi czegoś głupiego - prychnęła baronowa i obrzuciła Arlena spojrzeniem, od którego przeszyły go dreszcze. - Ciekawe jednak, skąd wiedzieli o dostawie? Tylko Matka Cera i ja znałyśmy dokładną datę.

-1 Sandar - rzekł Arlen. - Który rzekomo tegoż poranka złamał nogę.

- To ciężkie oskarżenie, Posłańcze - rzekł Talor, a w jego głosie zabrzmiała groźba. - Masz jakiegokolwiek dowody?

Chłopak wiedział, że jego następne słowa mogły oznaczać dla Sandara wyrok śmierci. Wzruszył więc ramionami.

- Nikogo nie oskarżam. Mówię tylko, że na waszym miejscu, baronie, poprosiłbym o innego Posłańca.

-A skąd mamy wiedzieć, że właśnie nie próbujesz zagarnąć tej pracy dla siebie? - spytała baronowa.

-Jestem tylko uczniem - rzekł Arlen. - Gildia i tak by mi jej nie dała.

- Ba! - Baronowa zbyła jego odpowiedź machnięciem ręki. - Dobrze wiesz, że moglibyśmy to

zmienić jednym podpisem. Jeśli mówisz prawdę, jesteśmy twymi dłużnikami.

- Doceniam to, pani - ukłonił się Arlen. - Ale chciałem rozejrzeć się po świecie, zanim dostanę regularną trasę.

- Wy, młodzi, zawsze jesteście tacy sami - syknęła baronowa. - Nadejdzie jednak dzień, kiedy stała praca na znanym trakcie nie okaże się niczym złym.

## A

Po obiedzie baron z baronową wstali. Arlen również zerwał się na równe nogi, a jako ostatnia podniosła się Stasy, której spojrzenie nadal było smutne i nieobecne.

- Prosimy o wybaczenie - rzekł Talor. - Mamy jednak kilka spraw do załatwienia. Stasy dopilnuje, by przydzielono ci pokój, zatroszczy się też o to, by służba przygotowała ci zapasy na drogę powrotną. Oczywiście przekaz pozdrowienia hrabiemu Brayanowi.

Zafalowały drogie futra i już ich nie było, a Stasy dygnęła lekko.

- Córka Stasy, do usług - wymamrotała.

- Powiedzieliście to takim tonem, jakby was właśnie skazano na śmierć - stwierdził Arlen.

I wtedy baronówna uniosła głowę, by spojrzeć mu w oczy.

- Wybacz, Posłańcze, ale list, który przywiozłeś, być może jest dla mnie wyrokiem.

Peter V. Brett

Mówiła z rezygnacją kogoś, kto wypłakał już wszystkie łzy.

- Nogi nadal mnie bolą od wspinaczki. - Arlen wskazał stół. - Usiądźcie ze mną na chwilę?

Stasy pokiwała głową i pozwoliła, by Arlen podsunął jej krzesło.

-Jak sobie życzysz.

Arlen zajął miejsce naprzeciwko, pochylił się i powiedział cicho:

- Mówią, że jeśli powierzy się sekret Posłańcowi, będzie on bezpieczniejszy od tego, który zdradza się Opiekunowi. Nawet wszystkie demony z Otchłani nie zmuszą Posłańca, by go wydał. Przekaze go tylko temu, dla kogo będzie przeznaczony.

-1 kto to mówi? - zauważyła Stasy. - Człowiek, który przez ostatnią godzinę karmił moją rodzinę plotkami dworskimi.

- Gdy te plotki docierają do Gildii Posłańców, już dawno nie są sekretami - uśmiechnął się Arlen. - Powiem wam jednak, pani, coś, co jest sekretem.

- Czyżby? - Stasy uniosła brew.

- Derek nadal uważa, że nie ma na tym świecie kobiety piękniejszej od Stasy Talor, i modli się o to, by nie doczekała się krwawienia - rzekł Arlen. - Powiedział mi, że mogę wam to przekazać.

Stasy aż westchnęła ze zdumienia i przycisnęła dłoń do piersi. Jej blade policzki zapłonęły rumieńcem, z poczuciem winy rozejrzała się po izbie, ale byli sami. Znów spojrzała Arlenowi prosto w oczy.

-Jak widać, nie doczekałam się. - Westchnęła, nieświadomie dotykając rozwiązanych tasiemek na

brzuchu. - Ale to nie ma właściwie znaczenia. Nie jest mnie godny.

- Czy to wasze słowa czy waszego ojca? - spytał Arlen.

Stasy wzruszyła ramionami.

- A to ma jakieś znaczenie? Mój ojciec może i przybrał szlacheckie nazwisko po śmierci matki i poślubieniu kuzynki hrabiego Brayana, ale wśród innych szlachciców nadal czuje się kupcem, ponieważ związki z kręgami arystokratycznymi zawdzięcza tylko przysiędze małżeńskiej. Chce więc, bym poślubiła kogoś znacznieszego, a to wiąże się z rodzeniem dzieci mężowi-arystokracie i uczęszczaniem do Szkoły Matek.

Arlen opanował chęć splunięcia na podłogę. Ojciec próbował umówić mu małżeństwo, gdy chłopak miał jedenaście lat. Wciąż dobrze pamiętał, jak się wówczas czuł.

- Tam, skąd pochodzę, nie ma ani jednego człowieka, który mógłby nazywać się arystokratą - stwierdził. - Chyba nie najgorzej na tym wychodzimy.

- Chyba tak - zgodziła się ze smutkiem Stasy.

-Jak baron chce to załatwić, gdy twój stan wyjdzie na jaw? - spytał, porzucając grzecznościowe formy.

Stasy zaśmiała się bez wesołości.

- Nic nie będzie mógł poradzić. Najprawdopodobniej więc owa „karawana”, którą wysyła, zabierze mnie na dwór hrabiego Brayana, gdzie urodzę w tajemnicy wśród sług. Wtedy hrabina Matka Cera

Peter V. Brett

przedstawi mnie dworowi, tłumacząc, iż dopiero co przybyłam do miasta, a potem zaaranżuje mi „odpowiednie” małżeństwo. Derek nigdy się nawet nie dowie, że został ojcem.

- Karawana będzie musiała minąć stanicę.

- To nic nie da - rzekła Stasy. - Wraz z karawaną zabierze się nowy gospodarz, który go zwolni. Derek ruszy w drogę powrotną na szczyt, nim zdąży się zorientować, że jestem zamknięta w karcie.

Rozejrzała się, chcąc się upewnić, czy nie są podsłuchiwani, a potem złapała Arlena za dłoń i ścisnęła mocno. W jej oczach błysnęła pasja i głód przygody.

- Ale gdyby Derek wiedział o tym, że nadjeżdżam, i gdyby ukrył gdzieś zapasy, mógłby w tajemnicy ruszyć na dół, a nie w górę. Nawet gdyby ojciec posłał pościg po odkryciu zniknięcia Dereka, mielibyśmy i tak dobry tydzień przewagi. Wystarczy, by się urządzić, sprzedać biżuterię i zniknąć w mieście. Moglibyśmy wówczas się pobrać bez względu na jego pochodzenie i wspólnie wychować nasze dziecko.

Wpatrywała się w Arlena płonącymi oczyma.

-Jeśli mu to przekażesz, Posłańcze, i zachowasz w tajemnicy nawet przed swoim dziennikiem, zapłacę ci każdą cenę.

Arlen spojrział na baronównę, czując się teraz jak opiekuńczy starszy brat. Nie zażądałby żadnej zapłaty, ale nagle uświadomił sobie, że jest coś, czego pragnie. Coś, co córka barona mogłaby mu załatwić.

- Potrzebuję piorunowego patyczka - powiedział cicho.

## Złoto Brayana

- Tylko tyle? - parsknęła Stasy. - Wydam polecenie, by dodano pół tuzina do twoich zapasów.

Arlen aż rozdziawił usta, zaskoczony, jak łatwo mu poszło, ale szybko zamaskował zdziwienie uśmiechem.

- A po co ci patyczek? - spytała dziewczyna.

- Muszę zabić skalnego demona, który mnie prześladowuje - wyznał młodzieniec.

Stasy przechyliła lekko głowę, jak to czynili ludzie ciekawi, czy stroi sobie żarty, czy też jest całkiem szalony. W końcu wzruszyła lekko ramionami i znów spojrzała mu w oczy.

- Obiecaj jednak, że najpierw dostarczysz moją wiadomość.



Arlen spędził w Złocie Brayana kilka dni, by zebrać siły, gdy tymczasem ludzie z miasteczka szykowali dlań listy do przekazania. Rozrzedzone górskie powietrze sprawiało, że nadal szybko się męczył, ale z każdym dniem przeszkadzało mu to coraz mniej. Mądrze wykorzystał wolny czas, przyglądając się, jak górnicy używają patyków w pracy. Każdy robotnik chciał zaskarbić sobie łaski nowego Posłańca, tak więc z ochotą odpowiadano na pytania młodzieńca.

Ujrawszy, jak ogłuszająca eksplozja w okamgnieniu zamienia masywny klif w wielotonową stertę gruzu, Arlen zrozumiał, że niszczycielska moc patyczków nie została wyolbrzymiona w opo

wieściach. Jeśli istniała na tym świecie siła zdolna przebić gruby pancerz Jednorękiego, kryła się ona w piorunowych patyczkach.

W końcu przygotowania dobiegły końca. Arlen nałożył ciężką zbroję i udał się do stajni. Znalazł tam juki z żywnością oraz niewielkie pudełko z patykami owiniętymi słomą. Czekala tam również zapieczętowana koperta z pięknie wykaligrafowanym imieniem Dereka.

Zgodnie z obietnicami barona wędrówka w dół okazała łatwiejsza od drogi w górę. Arlen dotarł szybko do pierwszego słupa i kontynuował podróż, by na długo przed zmierzchem dotrzeć do stancy. Derek wyszedł mu na spotkanie.

- Mam dla ciebie szczególny list. - Arlen podał mu kopertę. Oczy gospodarza zabłyśły. Chwycił przesyłkę i przyjrzał się jej pod słońce.

- Stwórco - pomodlił się - spraw, by nie doczekała się krwawienia.

Z podnieceniem rozdarł kopertę, ale w trakcie lektury jego uśmiech zgasł, a z twarzy odpłynęły wszelkie kolory i stała się biała jak śnieg za oknem. Z przerażeniem spojrzął na Arlena.

- Na noc! - oznajmił. - Całkiem jej odbiło! Niech to Otchłań pochłonie, czy ona naprawdę sądzi, że ucieknę z nią do Miln?

- A czemu nie? - zdziwił się Arlen. - Właśnie się o to modliłeś do Stwórcy.

- Pewnie, bo myślałem, że zostanę zięciem barona. Wybacz, ale nie uśmiecha mi się ponad tydzień w towarzystwie otchłańców.



## Złoto Brayana

- A cóż to za problem? Przecież wzdłuż szlaku znajdują się wygodne obozowiska, a ponadto znasz się na runach.

- Wiesz, jaka jest najgorsza rzecz w doli gospodarza stancy, Posłańcze? - spytał Derek.

- Samotność?

Derek pokręcił głową.

- Nie. Najgorszą rzeczą jest ta jedna jedyna noc, którą trzeba spędzić w drodze do domu. Do stancy schodzi się w ciągu jednego dnia, ale wędrówka w górę zawsze wymaga postoju przy tym przeklętym słupie.

Zadrżał.

- Leżysz, patrzysz na otchłańce, które czają się w mroku, i wiesz, że dzieli cię od nich jedynie magia. Nie wiem, jak wy, Posłańcy, dajecie sobie z tym radę. Ja zawsze docieram do domu z zamarzniętymi szczykami na spodniach. Nigdy zresztą nie wracałem sam. Ojciec i bracia zawsze po mnie wychodzą, gdy moja zmiana dobiega końca, więc możemy się zmieniać na warcie.

- Ludzie podróżują w ten sposób przez cały czas.

- I co roku przynajmniej pół tuzina ginie w drodze - uzupełnił Derek. - Czasami bywa ich więcej.

- To skutki nieostrożności - wyjaśnił mu Arlen.

- Albo pecha - zaproponował Derek. - Żadna dziewczyna nie jest tego warta. Uwielbiam Stasy, w łóżku z niej istna kocica, ale przecież nie jest jedyną dziewczyną w Złocie Brayana.

Arlen skrzywił się. Derek usprawiedliwiał swoje tchórzostwo z zawziętością i przekonaniem, które

przywiodły mu na myśl ojca. Przerażony perspektywą spędzenia nocy na dworze Jeph Bales również odwrócił się od żony i dziecka, co skończyło się śmiercią matki Arlena.

- Wracaj więc do Złota Brayana bez Stasy i dziecka. - Splunął na podłogę. - Nie zasługujesz na miano mężczyzny.

- A co tobie do tego, Poślańcze? - warknął Derek i zacisnął pięść. - A dlaczego tobie miałyby niby zależeć, czy ucieknę z córką barona, czy też nie?

- Zależy mi, bo ta dziewczyna i dziecko, które nosi pod sercem, zasługują na kogoś lepszego od marnego tchórza - oznajmił Arlen.

Pięść Dereka trafiła go między oczy, aż zadzwoniło. Arlen przetoczył się po ziemi i odwrócił, by wbić osłonięty stałą łokieć w nerkę gospodarza. Ten zawył z bólu i złożył się wpół, a Arlen wykorzystał sytuację, grzmotnął go w twarz i rzucił w śnieg. Długo tłumione uczucia przebudziły się niespodziewanie i całkiem nim oładnęły. Zdusił w sobie ochotę, by jeszcze dołożyć gospodarzowi. Dosiadł konia.

- Nie ma mowy, żebym tu został - oznajmił Derekowi, który przetoczył się na brzuch, oparł na łokciach i potrząsnął głową, by odzyskać przytomność. - Wolę spędzić noc na mrozie sam na sam z otchłańcami niż w przytulnym, dobrze chronionym domu wraz z tchórzem, który odwrócił się od własnego dziecka.



Szlak doprowadził Arlena na grzbiet górski, po czym opadł stromo w dolinę. Złoto Brayana oraz stacja pozostały po drugiej stronie zbocza. Obity policzek pulsował tęnym bólem na mrozie, a nastrój Posłańca pogarszał się z każdą chwilą. Nie po raz pierwszy zawiódł się na bliźnim, na pewno też nie po raz ostatni, ale przyczyna tego zawodu zawsze pozostawała taka sama. Strach. Strach przed otchłańcami. Strach przed nocą. Strach przed śmiercią.

„Strach to dobra rzecz - mawiał ojciec Arlena. - Dzięki niemu żyjemy”.

Ojciec mylił się jednak w tej sprawie, podobnie jak w wielu innych. Jeph Bales pogodził się ze swoim strachem i uznał nawet, że wypływa zeń mądrość. Pozwolił, by strach rządził jego życiem, co na pewno przedłużyło żywot Jepha o dobre parę lat, ale to brzemie było tak ciężkie, iż zdaniem Arlena owej egzystencji nie można było naprawdę nazwać życiem.

Będę szanował otchłańce, pomyślał Arlen. Ale nigdy nie przestanę z nimi walczyć.

Na godzinę przed zachodem słońca zatrzymał się i rozbił obozowisko. Rozłożył kręgi, spętał Porannego Smigacza i starannie przykrył go kocami. Zerknął na skrzynkę z patyczkami i zdecydował, że nie ma sensu dłużej czekać. Niedawno minął wąski wąwóz, który idealnie nadawał się do jego celów. Uzbrowił się w dwie włócznie, dwa piorunowe patyki oraz tarczę, Arlen ruszył ponownie w górę. Szybko odnalazł wąwóz, nad którym wznosiła się skarpa przypominająca tamtą, przy której Sandar zaczął się na niego i na Curka.

Posłaniec przeszedł jeszcze kawałek szlakiem w górę i rozrzucił na śniegu kilka polakierowanych płytek z runami światła - na przypuszczalnej trasie Jednorękiego. Następnie wrócił do wąwozu i wdrapał się na skarpę, skąd z niecierpliwością zerkał w dół, czekając na zmierzch.

Ciemności nadeszły szybko, a w chwilę później z ziemi zaczęła się sączyć ohydna mgła, powietrze zaś przepełnił smród demonów. Niewiele ich tu było, ale zaledwie trzy stopy od Arlena na skarpie zaczął się materializować skalny demon, przysadzisty, ciężki potwór o pancerzu barwy skały.

Chłopak wiedział, że stworzenie zauważy go dopiero po całkowitej materializacji, ale nie uciekł ani też nie rozłożył kręgu. Miast tego przysiadł i czekał na koniec procesu. Gdy demon stał się materialny, Arlen rzucił się na niego pod osłoną tarczy. Wokół jej krawędzi wyryto ciąg runów ochrony, które rozbłysły w chwili zderzenia. Demon zachwiał się i runął z urwiska.

Arlen uśmiechnął się, słysząc cichnący ryk otchłańca. Potwór z łoskotem uderzył w ziemię, wzbudzając niewielką, śnieżną lawinę, która go zasypała. Chłopak nie wierzył, by upadek mógł wyrządzić skalnemu demonowi większą krzywdę, ale z satysfakcją przyglądał się jego ślepej furii.

Zapadła już noc. Niebo było bezchmurne i światło księżycy oraz gwiazd mieniło się na śniegu. Łoskot kroków Jednorękiego młodzieniec usłyszał na długo przed tym, jak zobaczył demona.

Czekał, trzymając patyk w wolnej ręce i zapalkę w tej, do której przytroczył tarczę. Obie włącznie,

wbite ostrzami w śnieg, znajdowały się w zasięgu. Gdy zapłonęły runy porozrzucane na szlaku i szczelinę wypełniło światło, Arlen potarł paznokciem kciuka o czubek zapalniczki, zapłonęła z cichym syknięciem. Przytknął ją do lontu, który z trzaskiem zajął się ogniem. Chłopak natychmiast wziął zamach i cisnął, a potem zasłonił się tarczą i tylko wyglądał zza jej krawędzi.

Jednoręki zatrzymał się i z zainteresowaniem popatrzył na pocisk, lecz jego zdrowe ramię wystrzeliło z zaskakującą dla Arlena prędkością i odbiło lecący patyk. Ten zniknął chłopakowi z oczu, a potem eksplodował z siłą, która zatrzęsała górą i rzuciła ogłuszonego chłopaka na kolana. W oddali poniosło się echo wybuchu. Jednoręki wydawał się przez chwilę oszołomiony, ale nie poniósł żadnego uszczerbku.

- Niech to Otchłań - mruknął Arlen, gdy gigantyczny demon skupił na nim uwagę. Chłopak pogratulował sobie w duchu decyzji, by wziąć zapasowe patyczki.

Szybko wyciągnął drugi i zaczął szukać zapalniczki, podczas gdy Jednoręki rzucił się do szarży. Posłańcowi udało się podpalić i rzucić drugi patyk, ale demon znów okazał się niewyobrażalnie szybki. Wyhamował, złapał patyczek w locie i przyjrzał mu się z bliska.

Arlen skrył się za tarczą, a patyk eksplodował tuż przed pyskiem demona. Noc zapłonęła, powietrze zadrżało od ryku, a gorąca fala uderzeniowa niemalże strąciła młodzieńca ze skarpy. Padł na śnieg i wpił się w niego kurczowo, walcząc o życie.

Peter V. Brett

W chwilę później wybuchnął śmiechem i uniósł głowę, spodziewając się, że ujrzy łeb demona oderwany od reszty ciała, ale Jednoręki stał nadal nieruchomo. Nie wyglądał na draśniętego.

- Nie! - wrzasnął Arlen, a potwór wydał z siebie ryk i znów rzucił się do ataku. - Nie! Nie! Nie!

Złapał za jedną z włóczni, wziął zamach i cisnął z całej siły. Pocisk uderzył demona w sam środek klatki piersiowej, lecz pękł na drobne kawałki, nie czyniąc mu krzywdy.

- Czego trzeba, żeby cię zabić? - krzyczał chłopak, ale demon nie zwracał na niego uwagi. Wiedząc, że przegrał to starcie, Arlen zaklął, rzucił tarczę i stanął w jej środku, chroniony wyrysowanym na niej kręgiem.

I wtedy ziemia zadrżała pod nogami pędzącego demona. Rozległ się łomot przypominający długi, niecichnący grzmot i pod Arlenem ugięły się kolana. Nagły wstrząs zrzucił go z tarczy i młodzieniec zrozumiał, że tej nocy jego życia nie ochronią wyryte na niej runy.

Pospiesznie podniósł i przypiął tarczę, po czym pochwycił zapasową włócznię. Zbroja stanowiła pewną ochronę i może zdołałby jakoś dotrzeć do kręgu Porannego Smigacza, ale oczekiwał go długi bieg przez śnieg w środku nocy, tym trudniejszy z siedemdziesięcioma funtami stali na grzbiecie. Potwór zaryczał i zdawało się, że cała góra zadygotała.

Jednoręki dotarł pod skarpę i wyskoczył, by chwycić jej krawędź. Wielkie szpony zdrowego ramienia wbiły się w kamień i potwór zaczął się pod-



ciągać. Arlen bez skutku dźgał demonią łapę, tylko ryk przybrał na sile do tego stopnia, iż stał się ogłuszający. Niespodziewanie chłopak zdał sobie sprawę, że hałas nie wydobywa się z gardzieli Jednorękiego. Uniósł głowę i ujrzał wszechogarniającą biel, która gnała ku niemu niczym gigantyczna fala.

Nie zastanawiając się, Arlen zeskoczył ze skarpy, to zjeżdżając na pośladkach, to turlając się ze zbocza. Nie zwracał uwagi na ostre ukłucia bólu - przywarł do stoku i zasłonił się tarczą.

Uwolniona przez eksplozję lawina uderzyła w Jednorękiego i zmiotła go z klifu w ten sam sposób, w jaki Arlen stracił jego młodszego kuzyna. Posłaniec dostrzegł jeszcze, jak demon spada, a potem śnieg ogarnął i jego.

Śnieg okazał się zaskakująco ciężki i Arlen z trudem wytrzymał jego napór, ale udało mu się zatrzymać go na tyle, by utworzyć małą nieckę. Gdy grzmot ucichł, wygrzebał się z trudem, choć lawina dalej pędziła po zboczu.

Podszedł do krawędzi klifu, ale w ciemnościach nie było śladu Jednorękiego, nie było też słycać jego ryków. Posłaniec zaśmiał się ponownie, a jego pięść wystrzeliła w powietrze w geście tryumfu. Może i nie udało się demona zabić, ale ponownie stawił mu czoła i przeżył, by o tym opowiedzieć. Niewykluczone, że upłynie wiele dni, nim Jednoręki ponownie złapie trop swego dręczyciela.

Od strony zbocza dobiegł naraz głuchy pomruk i uśmiech zamarł na twarzy Arlena. Niewykluczone, że lawina zepchnęła tu jakiegoś demona z wyższych



partii gór. Zacisnął mocno dłoń na drzewcu włóczni i obrócił się powoli z wzniesioną tarczą.

Księżyc i gwiazdy błyszcząły jasno, a ich blask odbijał się od śniegu i młodzieńca otaczał szary półmrok. W pierwszej chwili go nie zauważył, lecz gdy otchłaniec przysunął się bliżej, runy na zbroi i tarczy zassały nieco magii i zaczęły się lekko mienić. W ich blasku uwagę chłopaka przyciągnął ruch, a potem z ciemności wynurzył się demon w całej okazałości. Potwór o idealnie białych łuskach, które migotały niczym płatki śniegu. Przypominał nieco ognistego demona - rozmiarami nie przekraczał bowiem psa średniej wielkości i poruszał się na czworakach, miał też długi pysk i rogi, które ciągnęły się nad ostro zakończonymi uszami i długą, prążkowaną szyją.

Nie zastanawiając się ani chwili, Arlen splunął na potwora i ze zdumieniem przekonał się, że plotki okazały się prawdziwe. Gdy plwocina zetknęła się z nieskazitelnie białymi łuskami, natychmiast zamieniła się w lód i pękła z trzaskiem.

Śnieżny demon zmrużył ślepią, po czym rozchylił szczękę w grymasie przypominającym uśmiech. Z jego gardzieli wydobył się przerażający odgłos, a potem potwór splunął na człowieka.

Arlen zdołał w porę zasłonić się tarczą, ale tę w okamgnieniu pokrył szron. Ramię zdrętwiało mu z zimna.

Demon skoczył, a tarcza, która na skutek lodowego zionięcia stała się krucha, roztrzaskała się przy zderzeniu. Arlen padł w śnieg, ale zdążył jeszcze wymierzyć potworowi solidnego kopniaka. Ot-

chłaniec przetoczył się i spadł poza krawędź klifu, w ostatniej chwili jednak wbił szpony w skałę i uchronił się przed upadkiem. Drapał i skrobał w poszukiwaniu lepszego oparcia i Arlen zrozumiał, że zaraz będzie znów gotów do walki.

Odrzucił resztki tarczy i zaszarżował na potwora z włócznią. Chciał go zepchnąć w przepaść, tam gdzie znalazł się Jednoręki, ale przeciwnik wy dostał się matni szybciej, niż się chłopak spodziewał, i skoczył do zwarcia.

Arlen w biegu obrócił włócznię w poprzek, by się nią zasłonić, ale otchłaniec pochwycił ją w szczęki i przegryzł bez najmniejszego trudu. Chłopak wyrwał więc obie połówki i trzymając je jak pałki, zasypał łeb demona gradem ciosów. Potwór znów potoczył się po śniegu.

Nim się pozbierał, chłopak odwrócił się i rzucił do ucieczki. Wykorzystanie przewagi w sytuacji, gdy demon zwisał z krawędzi klifu, to jedno, a walka jak równy z równym to zupełnie inna sprawa. Na zbroi nie było śnieżnych runów, Arlen nie miał też jak się zasłonić przed lodowym dmuchnięciem.

Runy na pancerzu nadal mieniły się lekko, oświetlając drogę ucieczki, ale też zdradzając pozycję człowieka śnieżnemu demonowi i innym otchłańcom, które być może znajdowały się w pobliżu. Młodzieniec potknął się i padł na śnieg, ześlizgując się jak szalenciec, byle tylko znaleźć się jak najdalej od przeciwnika.

Okazało się jednak, że to nie wystarczy. Nogi człowieka zapadały się w sypkim śniegu, po którym

demon przemykał niczym nartnik po tafli wody. Silne uderzenie w plecy pozbawiło Arlena tchu i rzuciło o ziemię.

Młodzieniec przetoczył się, strząsając demona, nim ten zdołał odnaleźć jakąś szczelinę w zbroi, ale ledwie się uwolnił, a demon już na powrót na nim siedział. Chłopak zasłonił się opancerzonym łokciem, a otchłaniec zacisnął paszczę na grubej, stalowej płycie. Metal zazgrzytał i zaczął się giąć, a choć ramię nadal było odrętwiałe na skutek lodowego zionięcia, Arlen aż zawył. Szpony potwora bez przeszkód rozdzierały kolczugę w szczelinach między płytami, jej grubsze fragmenty szarpały skórę niczym szczypce kowala.

Kiedy szpony zimne niczym sople lodu wbiły się w jego ciało, Arlen wrzasnął z bólu. Demon nadal trzymał jego ramię i szarpał łbem, jakby chciał wyrwać je ze stawu. Po pysku ściekała mu krew ranionego człowieka.

Chłopak był już pewien śmierci, gdy niespodziewanie dostrzegł podbrzusze otchłańca, gładkie niczym świeży śnieg. Miał tylko jedną szansę. Umazał palce wolnej ręki we własnej krwi i błyskawicznie nakreślił prymitywny run ciepła na brzuchu potwora. Symbol od razu zapłonął jaśniej i mocniej od wszystkich, które młodzieniec widział w stancy. Tamte jednak ożywiały bliskość demonów, a ten został wymalowany na ciele potwora, skąd bezpośrednio zasysał magię.

Zrobiło się tak gorąco, że Arlen musiał odwrócić twarz.

Demon wrzasnął i puścił jego ramię, a chłopak odtrącił go szybko. Otchłaniec wylądował na grzbiecie i Arlen ujrzał, jak jego białe łuski czarnieją. W chwilę później eksplodował ogniem niczym demon pochwycony przez promienie słoneczne. Chłopak zaś leżał w śniegu, zakrwawiony i poturbowany. Ciężko oddychał, ale widok miotającego się, płonącego demona przywrócił mu energię.

Pokuszykał pospiesznie do obozowiska i odetchnął z ulgą, gdy przekroczył bezpieczną barierę stworzoną przez kręgi runiczne. Aby zdjąć niektóre elementy zbroi, musiał użyć łomu, ale nie miał wyboru, gdyż powyginane krawędzie wstrzymywały swobodny przepływ krwi w wielu miejscach, a w innych wrzynały się w ciało. Arlen rozpałił zawczasu przygotowane ognisko i spędził przy nim resztę nocy, zaszywając rany i próbując odzyskać czucie w ramieniu.

Czucie z wolna wracało, a wraz z nim potworny ból, zupełnie jakby młodzieńcowi przypalano rękę. Mimo to nie przestawał się uśmiechać. Nie zabił demona, na którego się zasadził, ale zniszczył innego, a takim osiągnięciem mało kto mógł się poszczycić. Nie miał więc nic przeciwko cierpieniu, gdyż oznaczało ono, że przeżył tam, gdzie powinien zginąć.



Następnego ranka Arlen sprowadził Porannego Śmigacza w dół po stromych górskich szlakach, ciesząc się, że krew krąży w jego ciele. Około południa usłyszał za sobą wołanie:



- Posłańcze!

Odwrócił się i ujrzał Dereka, więc zatrzymał się i zaczął czekać, a gospodarz stacyjny wkrótce wyhamował, o mało się przy tym nie przewróciwszy. Arlen chwycił go zdrowym ramieniem i pomógł mu

przytrzymać się siodła Porannego Smigacza. Derek nie mógł złapać tchu, jego twarz była posiniaczona i opuchnięta po razach Arlena.

- Daleko się wypuściłeś ze swojej stacyjny - zauważył młodzieniec, gdy gospodarz wreszcie doszedł do siebie.

- Cała góra słyszała wczoraj wybuchy oraz wywołaną przez nie lawinę - rzekł Derek. - Wziąłem więc narty i wyruszyłem, by cię znaleźć.

- Dlaczego? - spytał Arlen.

Derek wzruszył ramionami.

- Doszedłem do wniosku, że jeśli zginąłeś, muszę cię odnaleźć i odesłać twe kości matce. Jeśli zaś żyjesz, możesz potrzebować pomocy. Nie przepadam za tobą, Posłańcze, ale każdy zasługuje na pomoc.

- Czyli zapewne dotarłeś do miejsca, gdzie zsunęła się lawina, co nastąpiło jakieś sześć godzin temu - powiedział Arlen. - I na pewno widziałeś moje ślady i przekonałeś się, że nic mi się nie stało. Po co jechałeś dalej?

Derek przyjrzał się swym stopom.

- Miałeś rację wczoraj, powinienem wziąć życie we własne ręce. Chyba dlatego wpadłem w taką złość. A potem, gdy zobaczyłem, co zostało z zabitego przez ciebie demona, poczułem się, jakbym do

stał w jaja. Nie wiem, co mnie naszło, ale po prostu pędziłem jak najszybciej, żeby się przypadkiem nie opamiętać. Ludzie z karawany pewnie uznają, że nie żyję, ale i tak będą musieli wywieźć Stasy ze Złota Brayana, nim ciąża stanie się widoczna. Udam się zatem do Miln i tam na nią zaczekam.

Arlen uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.



Gdy Arlen wrócił do warsztatu, Cob akurat strofował jednego z czeladników. Zawsze stawał się wybuchowy, gdy się martwił. Słyszając dzwonki, potrącone przez otwierające się drzwi, stary mistrz uniósł głowę i ujrzał Arlena na progu, a za nim Dereka. Irytacja w jednej chwili znikła z jego twarzy, a czeladnicy skwapliwie skorzystali z okazji i uciekli na zaplecze.

- Wróciłeś - burknął Cob i poczłapał ku ławie, na której spoczął, nie zwracając sobie głowy nawet uściśnięciem dłoni podopiecznego.

Arlen pokiwał głową.

- A oto Derek ze Złota Brayana. Jest całkiem sprawnym Patronem Runów i przydałaby mu się praca.

-Jesteś przyjęty. - Cob ujął dłuto. Wycelował owiniętą w skórę rękojeść w kierunku lewego ramienia Arlena, pozbawionego pancerza i zawieszzonego na temblaku. - Co się stało?

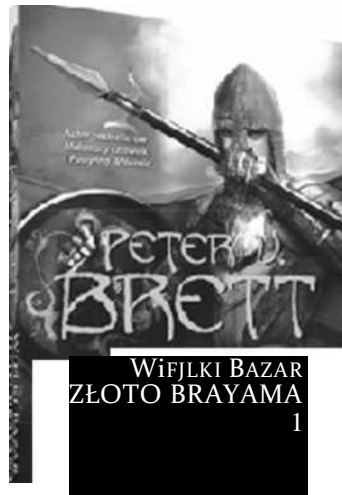
- Teraz już znasz kogoś, kto osobiście zetknął się ze śnieżnym demonem - rzekł Arlen.

Cob pokręcił głową i wybuchnął głośnym śmiechem, po czym pochylił się nad robotą.

- Powinienem był przewidzieć, że jak już po-  
leziesz w góry, to na pewno jakiegoś znajdziesz -  
mruknął.







## Spis cyklu

1. Malowany człowiek - księga 1
2. Malowany człowiek - księga 2
3. Pustynna Włócznia - księga 1
4. Pustynna Włócznia - księga 2

## Opowieści ze świata Arlena 1.

Wielki Bazar, Złoto Brayana

# Spis rzeczy

## Wielki Bazar i inne historie



Wprowadzenie	7
Wielki Bazar	11
Usunięte sceny	73
Arlen	75
Pobita Brianne	85
Słownik krasjański	103
Grymuar runiczny	107

# Złoto Brayana

Wstęp	12
	1
Złoto Brayana	123

COPYRIGHT ©BY Peter V. Brett COPYRIGHT© BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2011  
COPYRIGHT © FOR translation by Marcin Mortka, 2011

TYTUŁ ORYGINAŁU The Great Bazaar, Brayans Gold

WYDANIE I

ISBN 978-837574-660^0

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT 1 adiustacja autorska wydania Eryk Górski, Robert Łakuta

projekt okładki Paweł Zaręba

ILUSTRACJA NA okładce Patryk Olejniczak

ILUSTRACJE Dominik Broniek

redakcja Małgorzata Koczańska

KOREKTA Celina Nikolska

SKŁAD oraz opracowanie okładki Dariusz Nowakowski

SPRZEDAŻ INTERNETOWA

fabryka || • amazonka.pl • gandalf.com.pl  
ponad norm\* W

ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. S.K.A.  
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91  
tel./faks: 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl), e-mail: [hurt@olesiejuk.pl](mailto:hurt@olesiejuk.pl)

WYDAWCA

Fabryka Słów sp. z o.o.

20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a  
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

e - m a i l : [biuro@fabrykaslow.com.pl](mailto:biuro@fabrykaslow.com.pl)



druk 1 oprawa OPOLGRAF.S.A. [www.opolgraf.com.pl](http://www.opolgraf.com.pl)



1 1 1  
yedDoreęKi

...był trzykrotnie wyższy od skalnych demonów widzianych wcześniej. Nawet kikut jego prawego ramienia, odrąbanego **M** - przy tokciu, był dłuższy od człowieka, jednoręki prześlato\* al jHmte/ Arlena od chwil, gdy ten go okaleczył, i ciłopak wiedział że l

**A**

demon nie odpuści, póki jeden z nich nie padnie trupem. ' ;  
Lecz nie będę to ja, obiecał Arlen potworowi w duchu, gdy ich spojrzenia się spotkały.  
Znajdę sposób, żeby cię zabić nawet gcyby miała być to jedyna rzecz, której dokonam w  
życiu.

Uniósł dłonie i zaklaskał, co było jegc zwyczajowym pozdrowieniem.

Ryk atakującego otchłania rozdarł niebiosą, a pulem demności znikły w feerii rozblysków,  
gdy Jednoręki udeżył barierę długimi szponami. Vlagia zaiskrzyła i odrzuciła demona,  
lecz ten zdołał zachować równowagę, obrócić się wokół własnej osi i uderzył w barie-ę  
pancernym ogonem. Magia znów zab- sorbowała uderzenie. Allen wiedział, że moc runów  
zadaje demonowi straszliwy ból, a e Jednoręki nie zawahał się, pcchylił tęb i rogami  
przypominającymi włÓLznie znów ujeizył, wywołując kolejną, oślepiającą eksnl7ję m?.gii.  
Oтчłaniec wrzasnął z frustracji i zaczął okrążyć bar ierę, atakując lu ówdzie szponami,  
royarni, cgonern, a nawet kikutem ramienia, usiłując znaleźć słaby punkt w sieci runów. ' i

„Złoto Brayana” – fragment

# PETER V. BRETT

## WIELKI RAZAR ZŁOTO BRAYAN A

Strach. Strach przed otchłaniami.  
/z Strach przed nocą. Strach przed śmiercią.

*Strach to dobro rzecz. Dzięki niemu żyjemy.*

Jeph Bales z Potoku Tibbeta, ojciec Arlena

TVlen nie rnia\* nic przeciwko cierpieniu, gdyż ozna - /Jca'o  
ero, zc przeżył tam gdzie pov/inien zginąć. \_xTej nocy, kiedy  
spojrzał w ślepia demona, który m.ał istnieć tylko w legendach,  
kiedy życia nic chroniły mu zbaw enne runy, tej nocy z-iienił  
zdanie...

*W "Wielkim Bazarze" zawarłem wszystko to, co kćłmr, iv Arie  
nie. Bez względu na to, czy jesteś nowym czytelnikiem czy też fanem  
serii, sądzę, że „Wielki Baza:” jst | przypnrln'? ci an gustu. \*• |||*

Jw Peter V. Brett

[www.fabrykaslow.com.pl](http://www.fabrykaslow.com.pl)

Wftczyi  
dycrybucoi

Cykl Malowany Człowiek:



DEMOTWATORY.PL

Kawem.pl

students.pl

Wypisaki24.pl

Polish

BIO WORLD  
www.biolife.pl

Patroni medialni

SCIENCEFICTION

WPR